

# MORZE TARCZ

KSIĘGA 10 KRĘGLI CZARNOKSIĘZNIKA

MORGAN RICE

# **MORZE TARCZ**

## **KSIĘGA 10 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA**

Morgan Rice

Earl: Gdybyśmy mieli  
Choć dziesięć tysięcy  
Tych, co beczynnio w Anglii dzisiaj siedzą!

Henry V: Kto tego pragnie? Kuzyn Westmoreland?  
Nie, mój kuzynie, jeżeli mamy zginąć,  
Dość nas jest tutaj na stratę ojczyzny;  
Jeśli zwyciężym, im mniejsza nas liczba  
Tem większa częśćka honoru dla wszystkich.

--William Shakespeare  
Henryk V

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gwendolyn wrzeszczała w niebogłosy, a ból rozdzierał ją od środka.

Leżała na plecach wśród polnych kwiatów. Brzuch bolał ją bardziej niż mogła to sobie wyobrazić. Miotła się na boki i parła próbując wydać na świat dziecko. Część niej pragnęła, by to wszystko się skończyło, by mogła znaleźć jakieś bezpieczne miejsce zanim dojdzie do rozwiązania. Choć w głębi serca, Gwen wiedziała, że dziecko narodzi się teraz, niezależnie czy jej się to podoba czy nie.

*Boże, błagam, nie teraz - modliła się. - Jeszcze tylko kilka godzin. Pozwól nam jedynie znaleźć schronienie.* Los zadecydował jednak inaczej. Gwendolyn poczuła ogromny ból, który po raz kolejny przeszył jej ciało, odchyliła się i wrzasnęła, czując jak dziecko obraca się w niej i jest coraz bliżej opuszczenia jej ciała. Wiedziała, że nie ma sposobu, w jaki mogłaby to powstrzymać.

Zamiast tego, Gwen postanowiła przeciw, próbowała oddychać tak, jak uczyły ją tego akuszerki. Próbowała pomóc dziecku opuścić swe łono. Wydawało się jednak,

że nic nie pomaga. Cierpiała ogromne katusze.

Znów usiadła i rozejrzała się wokół poszukując jakiegokolwiek oznaki, która mogłaby wskazywać, że w pobliżu znajdują się ludzie.

- POMOCY! - krzyczała wprost ze swych trzewi.

Nikt nie odpowiedział. Gwen była w samym środku pól, z dala od żywej duszy. Jej krzyk słyszały jedynie drzewa i wiatr.

Zawsze starała się być silna, musiała jednak przyznać, że teraz była przerażona. Nie bała się jednak o siebie, ale o swoje dziecko. Co jeśli nikt ich nie znajdzie? Nawet jeśli samodzielnie uda jej się powić niemowlę, w jaki sposób mieliby opuścić to miejsce? Coraz bardziej zaczynała się obawiać, że oboje są skazani na śmierć.

Gwen przypominała sobie Nibyświat, tę pamiętną chwilę z Argonem, kiedy go oswobodziła, przypominała sobie wybór, którego musiała dokonać. Poświęcenie. Ten straszny moment, gdy musiała wybrać pomiędzy swoim dzieckiem a mężem. Szlochała teraz przypominając sobie decyzję, której dokonała. Dlaczego życie zawsze wymaga poświęceń?

Gwendolyn wstrzymała oddech, dziecko nagle odwróciło się w niej. Ból był tak ogromny, że czuła go

w każdej części swego ciała - od czubka głowy, po koniuszek małego palca u stopy. Czuła się niczym dąb, który od środka rozdierany jest na dwoje.

Wygięła się w tył i jęknęła. Patrzyła w niebo, starając się wyobrazić sobie, że znajduje się gdziekolwiek indziej, ale nie tutaj. Starła się zająć czymś myśli, przypomnieć sobie coś, dzięki czemu poczuje wewnętrzny spokój.

Pomyślała o Thorze. Przed oczyma stanęło jej ich pierwsze spotkanie, kiedy chodzili pośród tych samych pól, trzymając się za ręce. Krohn skakał, dotrzymując im towarzystwa. Robiła wszystko, by te obrazy ożyły w jej głowie, próbowała skupić się na szczegółach.

Nie było jej to jednak dane. Otworzyła oczy - szarpnął ją ból i powróciła do rzeczywistości. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób w ogóle się tu znalazła, w tym miejscu, sama - przypomniał jej się Aberthol, opowiadający Gwen o jej umierającej matce. Ruszyła, aby się z nią spotkać. Czy w tej chwili jej matka również umierała?

Nagle Gwen zapłakała, poczuła się, jakby miała zejść z tego świata. Spojrzała w dół i ujrzała główkę dziecka. Odchyliła się i wrzasnęła, parła bez ustanku, była cała spocona, a jej twarz przybrała kolor czerwieni.

Wreszcie nadeszło ostatnie parcie, po którym płacz wzbiał się w powietrze.

Płacz dziecka.

Wtem niebo zrobiło się ciemne. Gwen spojrzała w górę i z przerażeniem obserwowała jak wspaniały słoneczny dzień, bez żadnego ostrzeżenia zamienia się w noc. Obserwowała jak oba Słońca poddawały się zaćmieniu przez dwa Księżyce.

Całkowite zaćmienie obu Słońc. Gwen nie mogła w to uwierzyć - wiedziała, że jest to zjawisko, które zdarza się raz na dziesięć tysięcy lat.

Z coraz większym przerażeniem obserwowała jak zanurza się w ciemności. Nagle, niebo wypełniło się błyskawicami, smugami światła spadającymi w dół, a Gwen poczuła, że uderzają w nią małe grudki lodu. Nie potrafiła pojąć, co się dzieje. Aż do momentu, w którym zdała sobie sprawę, że to grad.

Doskonale wiedziała, że to wszystko było doniosłym znakiem, który pojawił się dokładnie w chwili narodzin jej dziecka. Spojrzała na nie i już wiedziała, że ten mały chłopiec jest bardziej potężny, niż mogłaby przypuszczać. Wiedziała, że pochodzi on z innego królestwa.

Kiedy tylko przyszedł na świat, płacząc, Gwen instynktownie schyliła się i wzięła go na ręce. Przycisnęła go do swych piersi, jeszcze zanim ześlizgnął się na trawę i błoto. Osłoniła go przed gradem, okrywając swoimi ramionami.

Mały zapłakał, a kiedy to uczynił, zatrzęsała się ziemia. Gwen poczuła jak drży pod nią grunt. W oddali ujrzała skały, toczące się po zboczach wzgórz. Czuła jak moc tego dziecka przez nią przenika, jak przenika przez cały wszechświat.

Gwen trzymała małego kurczowo, jednak po chwili poczuła, że słabnie, czuła, że straciła za dużo krwi. Coraz bardziej kręciło jej się w głowie, była za słaba, by się poruszyć. Ledwie umiała utrzymać własne dziecko, które nie przestawało płakać na jej piersi. Już prawie nie czuła nóg.

Coraz bardziej wnikało w nią przeświadczenie, że tutaj umrze, na tym polu, z tym maleństwem. Przestawało jej zależeć na niej samej - ale nie potrafiła znieść myśli, że umrze jej dziecko.

- NIE! - wrzasnęła ostatkiem sił. Musiała wykrzyczeć niebiosom swój protest.

Kiedy Gwen odrzuciła swoją głowę w tył, leżąc płasko



na ziemi, w odpowiedzi również usłyszała wrzask. Nie był to jednak ludzki krzyk. Należał do jednej ze starożytnych istot.

Gwen zaczęła tracić świadomość. Spojrzała w górę, choć jej oczy zaczęły się zamykać, i zobaczyła coś, co wydało jej się niebiańskim objawieniem. Była to potężna bestia, która nurkowała po nią w dół. Wydawało jej się, że było to stworzenie, które kochała.

Ralibar.

Ostatnią rzeczą, którą Gwen ujrzała, zanim jej oczy zamknęły się na dobre, był lecący w dół Ralibar. Ralibar ze swoimi ogromnymi, świeącymi oczami i swoimi starożytnymi czerwonymi łuskami. Otworzył szpony i wycelował dokładnie tak, aby ją uchwycić.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Luanda stała jak wryta, gapiąc się w szoku na leżące obok zwłoki Koovii. Wciąż trzymała w ręce zakrwawiony sztylet, ledwie była w stanie uwierzyć w to, co się właśnie stało.

Wszyscy uczujący zamilkli, patrząc na nią z niedowierzaniem. Nikt nie drgnął nawet o włos.

Biesiadnicy spoglądali na martwe ciało Koovii, które leżało u jej stop. Niepokonany Koovia, wielki wojownik królestwa McCloudów, w swej waleczności ustępujący jedynie samemu Królowi. Napięcie w sali stało się tak ogromne, że można było ciąć je siekierą.

Jednak w największym szoku wciąż pozostawała Luanda. Czuła pieczenie w dłoni. I sztylet, który ciągle się tam znajdował. Fala gorąca przeszła jej ciało. Świadomość, że właśnie zabiła tego człowieka sprawiała, że czuła się szczęśliwa i przerażona jednocześnie. Przede wszystkim była zaś dumna. Dumna, że to właśnie ona powstrzymała tego potwora, zanim zdążył położyć swe łapska na jej mężu, czy na pannie młodej. Dostał to, na co zasłużył. Zresztą wszyscy Ci McCloudowie to dzikusy.

Nagle usłyszała krzyk, spojrzała w górę i zobaczyła jednego z dowódców Koovii -dzieliło ją od niego zaledwie kilka stóp - postanowił działać i z zemstą w oczach ruszył w jej kierunku. Uniósł swój miecz wysoko, celując prosto w jej pierś.

Luanda była wciąż zbyt otepiała, aby zareagować, a jej przeciwnik przemieszczał się bardzo szybko. Przygotowała się na to, co ją czeka. Wiedziała że już za moment poczuje w sercu zimny kawałek metalu. Było jej to jednak obojętne. Cokolwiek miałoby się stać, nie

miało to już znaczenia - teraz, kiedy zabiła tego człowieka.

Zamknęła swe oczy czekając na to, aż dosięgnie ją stal, była gotowa na śmierć. Jakże się zdziwiła, gdy zamiast tego, usłyszała brzęk metalu.

Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą Bronsona, który uniósł swój miecz i zablokował cios rywala. Była naprawdę zaskoczona. Nie podejrzewała, że może na niego liczyć, że to właśnie on, ze swoją jedyną sprawną ręką, może zablokować tak potężny cios. Przede wszystkim była jednak poruszona tym, jak bardzo mu na niej zależało. Zależało mu tak bardzo, że zaryzykował dla niej życie.

Bronson niezwykle zręcznie posługiwał się swoim jedynym mieczem. Jego umiejętności i siła sprawiły, że udało mu się dźgnąć przeciwnika prosto w serce, na miejscu zadając mu śmierć.

Luanda nie umiała w to uwierzyć. Bronson kolejny raz uratował jej życie. Poczowała w stosunku do niego głęboką wdzięczność i świeży przypływ miłości. Być może był silniejszy, niż dotychczas podejrzewała.

Krzyki dobyły się z obu stron sali - McCloudowie i MacGilowie ruszyli na siebie nawzajem, pełni żądy,

aby przekonać się, który z rodów pierwszy padnie martwy. Wszystkie pozory grzeczności, które miały miejsce w dniu ślubu i podczas uczty, zniknęły. Teraz doszło do otwartej wojny: wojownik przeciwko wojownikowi. A wszystko podsycane przez alkohol i gniew, przez niegodziwość, której dopuścili się McCloudowie, próbując znieważać pannę młodą.

Mężczyźni przeskakowali nad ciężkimi drewnianymi ławami, wzajemnie pragnąc swojej śmierci - dźgając się, targając za twarze, mocując się ze sobą nad stołami, walcząc wśród strawy i wina. Przestrzeń była wypełniona ludźmi w tak dużym stopniu, że walczącym ledwie starczało miejsca na jakiegokolwiek manewry. Wszyscy charczeli i dźgali, i krzyczeli, i płakali - miejsce pograżyło się w zupełnym, krwawym, chaosie.

Luanda próbowała zebrać się w sobie. Walka była szybka i intensywna, mężczyźni przepelnieni żądzą krwi, byli tak zajęci walką, że nikt oprócz niej nie miał czasu, aby rozejrzeć się wokół i zauważyć co dzieje się na obrzeżach sali. Luanda obserwowała to wszystko z dalszej perspektywy. Była jedyną osobą, która zauważyła, że McCloudowie prześlizgują się w stronę ścian, powoli ryglują po kolei drzwi, a następnie wymykają się na zewnątrz.

Kiedy Luanda nagle zrozumiała co się dzieje, włosy

zjeżyły jej się na karku. McCloudowie chcieli zamknąć wszystkich w budynku - i celowo z niego umykali. Luanda widziała jak łapią za ścienne pochodnie, w panice jeszcze szerzej otworzyła oczy. Z przerażeniem zrozumiała, że McCloudowie zamierzają spalić salę, wraz ze wszystkimi uwięzionymi w niej ludźmi - nawet pomimo tego, że znajdowali się w niej ich własni ziomkowie.

Mogła się tego domyślać. McCloudowie są bezwzględni i zrobią wszystko, by zwyciężyć.

Luanda rozejrzała się, obserwując jak wygląda sytuacja wokół niej. Udało jej się dostrzec jedne drzwi, które wciąż pozostawały niezaryglowane.

Odwróciła się, wyplątała z bójki i jak najprędzej pobiegła w stronę otwartych drzwi, przepychając się między mężczyznami, którzy stali jej na drodze. Zauważyła, że jeden z McCloudów również biegnie do owych drzwi, położonych w najodleglejszej części sali. Teraz biegła szybciej, ledwie starczało jej tchu, była jednak zdeterminowana, aby go pokonać.

McCloud nie widział Luandy. Kiedy dotarł do drzwi, chwycił grubą drewnianą belkę i starał się zablokować drzwi. Luanda zaszła go od tyłu, wyciągnęła swój sztylet i ugodziła go prosto w plecy.

McCloud zawył, wygiął się w tył i opadł na ziemię.

Kobieta chwyciła belkę, wyszarpała ją z drzwi, a następnie je otworzyła i wybiegła na zewnątrz.

Tam, przyzwyczajając swe oczy do ciemności, Luanda rozejrzała się dookoła. Dostrzegła McCloudów, którzy ustawiali się wokół sali, wszyscy dzierżyli pochodnie i przygotowywali się do podpalenia budynku. Luandę ogarnęła panika. Nie mogła pozwolić, aby to się stało.

Odwróciła się, pobiegła do sali, odnalazła Bronsona i wyszarpała go z miejsca bitwy.

- McCloudowie! - krzyknęła nagle. - Przygotowują się do spalenia budynku! Pomóż mi! Niech wszyscy wychodzą! NATYCHMIAST!

Gdy do Bronsona dotarły słowa jego żony, z przerażeniem otworzył oczy i, chwala mu za to, bez wahania ruszył w stronę przywódców MacGilów, wydostawał ich poza bijatykę, a następnie krzyczał do nich i gestykulował wskazując otwarte drzwi. Ci na szczęście go zrozumieli i od razu wydali rozkazy swoim ludziom.

Luandę bardzo ucieszyło, że MacGilowie wycofują się z walki i biegną w stronę otwartych drzwi, które udało jej się dla nich zachować.

Kiedy ci się organizowali, Luanda z Bronsonem nie marnowali czasu. Pobiegli do jedyne go wyjścia, gdzie kobieta z przerażeniem odkryła, że kolejny człowiek McCloudów dopadł drzwi, podniósł belkę i próbuje zablokować przejście. Nie sądziła jednak, aby i tym razem udało jej się pokonać ryglującego.

Zareagował Bronson. Zamachnął się swoim mieczem ponad głowami innych, pochylił się do przodu i rzucił orężem.

Miecz leciał w powietrzu obracając się wokół własnej osi, aż ostatecznie utkwiał w plecach McClouda.

Żołnierz krzyknął i osunął się na posadzkę, a Bronson dotarł do drzwi i w momencie otworzył je na oścież.

Dziesiątki MacGilów przedostało się przez otwartą wnękę, byli wśród nich Luanda i Bronson. Powoli sala opustoszała ze wszystkich MacGilów. McCloudowie pozostali zaś w środku, stojąc i zastanawiając się dlaczego ich przeciwnicy nagle się wycofują.

Kiedy już wszyscy byli na zewnątrz, Luanda trzasnęła drzwiami, wraz z innymi podniosła belkę i zaryglowała drzwi od zewnątrz, tak, aby żaden McCloud nie mógł się wydostać.

McCloudowie pozostający na zewnątrz zaczęli

orientować się co się dzieje. Zaczęli porzucać swoje pochodnie i wyciągać miecze, przygotowując się do ataku.

Jednak Bronson wraz z pozostałymi nie dali im na to zbyt wiele czasu. Natarli na wojowników McCloudów ze wszystkich stron, dźgając ich i zabijając kiedy ci kładli swoje pochodnie i szukali broni. Większość McCloudów wciąż znajdowała się w środku, a tych kilkadziesiąt osób pozostających na zewnątrz nie było w stanie powstrzymać pędzących, wściekłych MacGilów, którzy, prowadzeni żądzą krwi, bardzo szybko ich pozabijali.

Luanda i Bronson stali ramię w ramię, obok nich znajdowali się MacGilowie. Wszyscy oddychali ciężko, ciesząc się, że udało im się przeżyć. Patrzyli z szacunkiem na Luandę - wiedzieli, że zawdzięczają jej życie.

Kiedy tak stali, usłyszeli walenie próbujących wydostać się McCloudów. MacGilowie powoli się odwrócili i, niepewni tego co mają czynić, spojrzeli na Bronsona w oczekiwaniu na rozkazy.

- Musisz zdusić bunt - dosadnie stwierdziła Luanda. - Powinieneś potraktować ich z tą samą brutalnością, z jaką oni próbowali potraktować ciebie.



Bronson spojrział na nią niepewnie, widziała w jego oczach wahanie.

- Ich plan nie zadziałał - powiedział. - Są teraz tam uwięzieni. Są zakładnikami. Wsadziliśmy ich do aresztu.

Luanda pokręciła gwałtownie głową.

- NIE! - krzyknęła. - Ci ludzie szukają w tobie przywódcy. Ta część świata jest brutalna. Nie jesteśmy w Królewskim Dworze. Tu króluje przemoc. To ona wzbudza szacunek. Ludzie, którzy znajdują się w środku nie mogą pozostać przy życiu. Musisz to zrobić, dla przykładu!

Bronson zjeżył się przerażony.

- O czym ty mówisz? - zapytał. - Uważasz, że powinniśmy spalić ich żywcem? Że powinniśmy okazać się takimi samymi rzeźnikami, jakimi oni usiłowali być względem nas?

Luanda zamknęła usta.

- Jeśli nie weźmiesz na poważnie moich słów, przekonasz się, że kiedyś cię zamordują.

MacGilowie stali wokół, obserwując ich kłótnię. Luanda trzęsła się z frustracji. Kochała Bronsona - koniec

końców, uratował jej życie. Jednak w tej chwili nienawidziła jego słabości i tego jak bardzo potrafił być naiwny.

Miała dość władców, którzy dokonują błędnych decyzji. Bolało ją, że nie może rządzić sama. Wiedziała, że byłaby lepszym władcą niż ktokolwiek inny. Wiedziała, że czasami konieczne jest, aby kobieta rządziła w męskim świecie.

Luanda, wygnana i marginalizowana przez całe swoje życie, wiedziała, że nie może już dłużej dać spychać się na boczny tor. W końcu to dzięki niej wszyscy ci mężczyźni zachowali życie. Co więcej, była córką króla, córką pierworodną i nikt nie mógł jej tego zabrać.

Bronson wciąż stał oglądając się do tyłu, wahając się. Luanda widziała, że nie jest on w stanie podjąć żadnej akcji.

Dłużej już nie mogła tego znieść. Wrzasnęła we wściekłości, ruszyła do przodu, porwała pochodnię jednemu z towarzyszy i, na oczach wszystkich tych mężczyzn, którzy obserwowali ją w podniosłym milczeniu, ruszyła do przodu trzymając pochodnię w górze, a następnie rzuciła ją przed siebie.

Pochodnia rozświetliła noc, leciała wysoko w powietrzu

obracając się wokół własnej osi, aż w końcu wylądowała na szczycie krytego strzechą dachu sali zabaw.

Luanda z satysfakcją obserwowała jak płomienie zaczynają się rozprzestrzeniać.

Z ust znajdujących się wokół MacGilów dobył się krzyk, a następnie wszyscy podążyli za jej przykładem. Zaczęli chwytać za pochodnie i nimi rzucać. Wkrótce płomienie rosły coraz wyżej, a skwar stawał się coraz mocniejszy - osmalał jej twarz i oświetlał noc. Po chwili wielka pożoga objęła całą salę.

Krzyki McCloudów uwięzionych w środku przeszywały ciemność. Podczas gdy Bronson się wzdrygał, Luanda stała tam zimna, twarda, bezlitosna, z rękami opartymi na biodrach, czerpała satysfakcję z każdego wrzasku.

Odwróciła się do Bronsona, który wciąż stał z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Oto, - powiedziała niepokornie - co znaczy panować.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Reece szedł obok Stary. Ramię w ramię. Ich ręce

kołysały się blisko siebie, od czasu do czasu ocierając się wzajemnie. Nie trzymali się za nie. Szli przez niekończące się pola kwiatów, wysoko po górskim pasmie. Tereny te olśniewały kolorami i pięknym widokiem na Wyspy Górne. Szli w ciszy. Reecem targały sprzeczne emocje. Ledwie wiedział co powiedzieć.

Wrócił myślami do tej pamiętnej chwili, kiedy wraz ze Starą zamknęli oczy nad górskim jeziorem. Odesłał wówczas swoją świtę, chcąc spędzić z nią na osobności nieco czasu. Towarzysze niechętnie zostawiali ich samych, szczególnie Matus, który aż za dobrze znał ich historię - jednak Reece nalegał. Stara była niczym magnes, który go do siebie przyciągał, Reece nie chciał, aby ktokolwiek im towarzyszył. Potrzebował czasu, aby odbudować ich znajomość, porozmawiać z nią, zrozumieć dlaczego patrzyła na niego z taką samą miłością, jaką on żywił do niej. Aby zrozumieć czy wszystko to jest prawdziwe i co tak naprawdę się z nimi dzieje.

Podczas tej wędrówki, serce Reece'a waliło jak oszalałe. Nie był pewien gdzie zacząć, co zrobić następnie. Rozsądek podpowiadał, wrzeszczał wręcz, aby się odwrócić i uciekał od Stary tak daleko, jak to tylko możliwe. Aby zaciągnął się na najbliższy statek na kontynent i nigdy więcej o niej nie myślał. Aby

powrócił do swej przyszłej żony, która wiernie na niego czekała. Przecież Selese go kochała, a on kochał Selese. Ich ślub miał się odbyć lada dzień.

Reece wiedział, że to byłoby najrozsądniejsze. Że to właśnie *należało* zrobić.

Ale jego rozsądek był owładnięty przez emocje, przez pasje, których nie potrafił kontrolować, które sprawiały, że nie był w stanie poddać się swoim racjonalnym przemyśleniom. Były to siły, które zmuszały go do pozostania tutaj, przy Starze. Do wędrowania przez te pola przy jej boku. Była to nieokiełznana część jego osobowości, ta, której nigdy nie mógł zrozumieć, która nim kierowała przez całe jego życie. Część, która kazała mu ulegać impulsom, kierować się sercem. Nie zawsze skutkowało to najlepszymi decyzjami. Ale potężna siła pełna pasji często ogarniała Reece'a, a ten nie zawsze był w stanie ją kontrolować.

Kiedy tak szedł obok Stary, zastanawiał się czy czuła to samo co on. Podczas marszu, zewnętrzna część jej ręki otarła się o niego i, jak mu się wydawało, zobaczył, że Stara lekko uniosła kącik ust, delikatnie się uśmiechając. Trudno jednak było odszyfrować jej intencje - jak zawsze. Pamiętał, że kiedy spotkali się po raz pierwszy, jako małe dzieci, poczuł się oszołomiony, niezdolny do ruchu, całymi dniami niezdolny do myślenia o

czymkolwiek innym, niż ona. Było coś w jej przezroczyстых oczach, coś w jej postawie, dumnej i szlachetnej. Patrzyła na niego niczym wilk, co było zachwycające.

Jako dzieci wiedzieli, że związki pomiędzy kuzynami są zabronione. Nigdy ich to jednak nie zniechęciło. Coś między nimi istniało. Coś silnego, zbyt silnego, coś co przyciągało ich do siebie, niezależnie od tego, co myślał na ten temat świat. Bawili się razem, od zawsze byli dla siebie przyjaciółmi, zawsze woleli swoje towarzystwo, niż towarzystwo kogokolwiek innego spośród swoich kuzynów i przyjaciół. Kiedy odwiedzili Wyspy Górne Reece zauważył, że spędza z nią każdą chwilę wędrówki. Ona odpłacała się tym samym, wyrrywając do jego boku, całymi dniami czekając na brzegu, aż nadpłynie jego łódź.

Początkowo byli jedynie przyjaciółmi. Lecz kiedy podrośli, pewnej ważnej nocy pod gwiazdami wszystko się zmieniło. Ich przyjaźń nie była już zabroniona, zmieniła się w coś mocniejszego, większego niż oni oboje, w coś czego żadne z nich nie potrafiło odrzucić.

Reece opuścił Wyspy marząc o niej, strapiiony do granic możliwości, przez wiele miesięcy niezdolny do snu. Każdej nocy w łóżku widział jej twarz i marzył, by ocean i prawo rodowe nie stały już dłużej pomiędzy

nimi.

Wiedział, że Stara czuła to samo. Dostawał od niej niezliczone listy, przynoszone mu przez armię sokołów, listy w których wyrażała swoją miłość. Odpisywał, jednak nie tak pięknie i mądrze jak ona.

Dzień, w którym dwa rody MacGilów musiały się rozejść, był jednym z najgorszych dni w jego życiu. Był to dzień, w którym zmarł najstarszy syn Tirusa, otruty napojem przeznaczonym przez Tirusa dla ojca Reece'a. Tym samym Tirus obraził Króla. Rozpoczął się rozłam. Był to dzień, w którym serce Reece'a - i Stary - umarło w środku. Jego ojciec był wszechpotężny, podobnie jak ojciec Stary, obojgu im zakazano kontaktować się z kimkolwiek spośród „tych drugich” MacGilów. Nigdy więcej nie odwiedzali już tamtych stron, a Reece dręczył się całymi nocami, zastanawiając się, co musiałby zrobić, aby ponownie zobaczyć Starę. Marzył o spotkaniu z nią. Z jej listów wiedział, że ona czuła to samo.

Pewnego dnia jej listy przestały przychodzić. Reece podejrzewał, że były w jakiś sposób przechwytywane, nie mógł jednak być tego zupełnie pewien. Podejrzewał również, że wiadomości, które on wysyła, także do niej nie docierają. Z czasem, Reece, nie będąc w stanie dłużej funkcjonować, musiał podjąć bolesną decyzję i usunąć

ze swego serca myśli o Starze. Musiał oczyścić z tych myśli swój umysł. W różnych sytuacjach jej twarz będzie jednak stawała przed jego oczami, a on nigdy nie przestanie się zastanawiać co się z nią stało. Czy ona też wciąż o nim myśli? Czy może wyszła za kogoś innego?

Spotkanie z nią przywołało wszystkie te wspomnienia. Reece pojął jak żywe jest to wszystko w jego sercu, czuł się jakby nigdy jej nie opuścił. Była teraz starszą, pełniejszą, a nawet piękniejszą wersją samej siebie. Jeśli to w ogóle możliwe. Była kobietą. A jej spojrzenie było jeszcze bardziej przeszywające niż kiedykolwiek wcześniej. W tym spojrzeniu Reece odnalazł miłość. Poczul, że Stara wciąż żywi do niego to samo uczucie, które on czuje do niej.

Chciał myśleć o Selese. Był jej to winny. Jednak im bardziej się starał, tym bardziej wydawało mu się to niemożliwe.

Stara i Reece szli razem wzdłuż górskiego pasma. Oboje milczeli, nie za bardzo wiedząc co powiedzieć. Oboje zastanawiali się gdzie zacząć, aby wypełnić całą tę przestrzeń, która dzieliła ich przez te wszystkie stracone lata.

- Słyszałam, że niedługo bierzesz ślub - Stara ostatecznie przerwała milczenie.



Reece poczuł ukłucie w żołądku. Myśl o poślubieniu Selese zawsze sprawiała, że czuł miłość i podekscytowanie, ale teraz, kiedy był ze Starą, poczuł się zdruzgotany, jakby ją zdradził.

- Przepraszam - odpowiedział.

*Nie wiedział co innego może odrzec. Chciał powiedzieć:* Nie kocham jej. Teraz wiem, że to był błąd. Chcę wszystko zmienić. Chciałbym poślubić ciebie.

Ale on *kochał* Selese. Musiał to przed sobą przyznać. Był to inny rodzaj miłości, może nie tak intensywny jak miłość do Stary. Reece był skołowany. Nie wiedział, co tak naprawdę myśli czy czuje. Które uczucie było silniejsze? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak skala miłości? Jeśli kogoś kochasz, czy to nie oznacza, że kochasz tę osobę niezależnie od wszystkiego? W jaki sposób jedna miłość mogłaby być silniejsza od innej?

- Kochasz ją? - zapytała Stara.

Reece odetchnął głęboko, czuł że został pochwycony w emocjonalne sidła, ledwie wiedząc co odpowiedzieć. Szli tak przez chwilę, Reece zbierał swoje myśli, aż w końcu był w stanie odpowiedzieć.

- Tak, - odrzekł - nie mogę skłamać, że jest inaczej.

Reece zatrzymał się i po raz pierwszy chwycił Starę za rękę.

Ona również przystanęła i zwróciła się w jego stronę.

- Ale ciebie również kocham - dodał.

Widział, że jej oczy napełniają się nadzieją.

- Czy może mnie kochasz bardziej? - spytała delikatnie, z nadzieją w głosie.

Reece myślał ciężko.

- Kochałem cię przez całe swoje życie - odrzekł w końcu. - Byłaś obliczem jedynej miłości, jaką kiedykolwiek znałem. Jesteś ucieleśnieniem tego, co znaczy dla mnie miłość. Kocham Selese. Jednak z tobą... jesteś niczym częścią mnie. Niczym częścią mnie samego. Niczym coś, bez czego nie mogę istnieć.

Stara uśmiechnęła się. Wzięła go za rękę, szli dalej obok siebie. Stara zakołysała nimi delikatnie, uśmiechając się przy tym.

- Nawet nie wiesz ile nocy spędziłam tęskniąc za tobą - wyznała patrząc w dal. - Moje słowa rodziły się na tak wielu skrzydłach sokołów - jedynie po to, by mój ojciec mógł je zniszczyć. Po rozłamie, nie mogłam do ciebie

dotrzeć. Próbowałam nawet, raz czy dwa, wymknąć się na statek płynący na kontynent - zostałam jednak schwytana.

Reece był poruszony do głębi, słuchając tego wszystkiego. Nie miał o tym pojęcia. Zawsze zastanawiał się co Stara czuła do niego po rozłamie. Słyszając to, co mówiła, poczuł się do niej przywiązany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Teraz miał pewność, że nie tylko on czuł się w ten sposób. Nie czuł już, że jest tak bardzo szalony. To, czego oboje doświadczyli, było prawdziwe.

- Nigdy nie przestałem o tobie myśleć - odpowiedział Reece.

W końcu dotarli na sam szczyt góry, zatrzymali się i stali obok siebie, wspólnie spoglądając na Wyspy Górne. Mieli stąd doskonały widok, na wyspy przytwierdzone do oceanu i unoszącą się nad nimi mgłę, na rozbijające się u dołu fale oraz setki statków Gwendolyn, które cumowały wzdłuż skalistego wybrzeża.

Stali tam w milczeniu przez bardzo długi czas, trzymając się za ręce, rozkoszując się chwilą. Rozkoszując się byciem razem. Nareszcie. Po wszystkich tych latach, wszystkich ludzkich staraniach i

życiowych momentach, które usiłowały ich rozdzielić.

- Nareszcie jesteśmy razem - jednak, co ironiczne, to właśnie teraz jesteś najbardziej zobowiązany. Zbliża się dzień twojego ślubu. Zdaje się, że zawsze pojawia się przeznaczenie, które wdiera się pomiędzy nas dwoje.

- Ale jestem tu teraz - odpowiedział Reece. - Może jednak przeznaczenie stara się przekazać nam coś innego?

Mocno ścisnęła jego dłoń, a Reece odpowiedział tym samym. Kiedy się rozglądali, serce Reece'a łomotało jak szalone - nigdy w swoim życiu nie czuł się tak skołowany. Czy właśnie tak miało być? Czy właśnie tutaj miał natknąć się na Starę? Czy miał zobaczyć ją przed swoim ślubem, po to by uchronić się przed popełnieniem błędu, wychodząc za kogoś innego? Czy przeznaczenie, po tych wszystkich latach, próbowało jednak ich połączyć?

Reece nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tak właśnie było. Czuł, że wpadł na nią za sprawą pewnego zrzędzenia losu. Być może była to jego ostatnia szansa, jaką dostał przed ślubem.

- Co los złączył, tego człowiek nie rozdzieli - powiedziała Stara.

Jej słowa przeniknęły Reece'a. Stara patrzyła w jego oczy w hipnotyzujący sposób.

- Tak wiele zdarzeń w naszym życiu miało nas trzymać od siebie z daleka - rzekła Stara - Nasze rody. Nasze ojczyzny. Ocean. Czas... Teraz nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Tyle lat minęło, a nasza miłość wciąż pozostaje silna. Czy to zbieg okoliczności, że spotkałeś mnie właśnie teraz, przed swoim ślubem? Los stara się nam coś przekazać. Jeszcze nie jest za późno.

Reece popatrzył na nią, a serce chciało wyskoczyć mu z piersi. Odwzajemniła jego spojrzenie. W jej przezroczystych oczach odbijały się: niebo i ocean. W tych samych oczach skrywała się cała miłość do niego. Czuł się niepewnie jak nigdy w życiu. Czuł, że jest niezdolny do racjonalnego myślenia.

- Chyba powinienem odwołać ślub - powiedział.

- Nie ja będę o tym decydować - odpowiedziała. - Sam powinieneś zajrzeć głęboko w swoje serce.

- W chwili obecnej - powiedział - moje serce podpowiada mi, że to ty jesteś moją jedyną miłością. Jesteś osobą, którą zawsze kochałem.

Spojrzała na niego żarliwie.

- Nigdy nie kochałam nikogo innego - powiedziała.

Reece nie był w stanie nic na to poradzić. Nachylił się, a ich usta się spotkały. Poczuł, że świat zatrząsnął się wokół niego. Kiedy odwzajemniła jego pocałunek, zrozumiał, że miłość całkowicie go pochłonęła.

Trwali w tym pocałunku tak długo, że w końcu nie byli w stanie oddychać. Reece pojął, że pomimo tego, że wszystko w nim próbowało się temu sprzeciwić, nigdy nie mógłby poślubić kogoś innego niż Stara.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Gwendolyn stała na złotym moście. Ścisnęła jego poręczę i patrzyła w dół na płynącą wartko rzekę. Kaskady wrzały ze złości, wzbijając się coraz wyżej. Nawet tutaj mogła poczuć orzeźwiającą mgiełkę potoku.

- Gwendolyn, kochana.

Odwróciła się i zobaczyła Thorgrina stojącego daleko na brzegu, oddalonego może o dwadzieścia stóp, uśmiechniętego, wyciągającego do niej rękę.

- Chodź do mnie - błagał. - Przejdź przez rzekę.

Ucieszona, że go zobaczyła, Gwen zaczęła iść w jego kierunku - wtem inny głos powstrzymał ją przed powzięciem kolejnych kroków.

- Matko - usłyszała delikatny głos.

Obróciła się i ujrzała chłopca na przeciwległym brzegu. Miał może dziesięć lat, był wysoki, dumny. Miał szerokie ramiona, szlachetny podbródek, silną szczękę i błyszczące, szare oczy. Jak jego ojciec. Był odziany w przepiękną błyszczącą zbroję, wykonaną z materiału, którego nie potrafiła rozpoznać. Broń wisiała mu u pasa. Nawet stąd mogła poczuć jego moc. Moc, która była nie do pokonania.

- Matko, potrzebuję cię - powiedział.

Chłopiec wyciągnął dłoń, a Gwen udała się w jego kierunku.

Zatrzymała się, spoglądała to na Thora, to na swego syna - każdy z nich wyciągał do niej dłoń. Była zdezorientowana. Nie miała pojęcia, w którą stronę pójść.

Kiedy tak stała, most nagle się pod nią zawalił.

Gwendolyn wrzasnęła, czując jak opada w stronę płynącej w dole rzeki.

Wpadła do lodowatej wody, a szalejące wody miały ją wte i wewte. Wynurzała się, aby zażyć powietrza. Oglądała się za swoim synem i mężem, którzy stali na przeciwległych brzegach wyciągając do niej ręce. Obaj jej potrzebowali.

- Thorgrinie! - krzyknęła.

A po chwili:

- Synu!

Gwen, wrzeszcząc, starała się sięgnąć ich obu - szybko jednak poczuła, że spada w dół wodospadu.

Wrzasnęła kiedy straciła ich z oczu - spadała przez setki stóp, wprost na znajdujące się w dole ostre skały.

Gwendolyn obudziła się krzycząc.

Rozejrzała się wokół, pokryta zimnym potem, dezorientowana, zastanawiając się, gdzie się znajduje.

Powoli zdała sobie sprawę, że leży w łóżku, w przyćmionej zamkowej komnacie. Pochodnie migotały tuż przy ścianach. Mrugnęła kilka razy, starając się pojąć co się właśnie stało, wciąż oddychała z trudem. Powoli zaczynała rozumieć, że był to tylko sen. Straszny sen.



Kiedy oczy Gwen przywykły do światła, zauważyła kilkoro opiekunów znajdujących się w jej pokoju. Rozpoznała Illeprę oraz Selese, które stały po obu jej bokach i robiły jej zimne okłady na rękach i nogach. Selese delikatnie otarła jej czoło.

- Ciiii... - uspokajała ją Selese. - To był tylko zły sen, pani.

Gwendolyn poczuła, że ktoś ściska jej dłoń, rozejrzała się, a jej serce ucieszyło się na widok Thorgrina. Klęczał przy jej boku, trzymając ją za rękę. Jego oczy rozpromieniły się z radości na widok tego, że się obudziła.

- Kochana, - powiedział - nic ci nie jest.

Gwendolyn mrugnęła, starając się dojść do tego, gdzie się znajduje, dlaczego jest w łóżku i co robią tu ci wszyscy ludzie. Po chwili, kiedy spróbowała się poruszyć, poczuła ogromny ból brzucha - wtedy sobie przypomniała.

- Moje dziecko! - krzyknęła, po czym zastygła. - Gdzie on jest? Czy chłopiec żyje?

Gwen w panice próbowała odczytać, co mówią znajdujące się wokół niej twarze.

Thor mocno ścisnął jej rękę i uśmiechnął się szeroko - już wiedziała, że wszystko jest w porządku. Ten uśmiech uspokajał ją przez całe życie.

- Tak, żyje - odpowiedział Thor. - Dzięki bogu. I Ralibarowi. Ralibar w samą porę przyniósł was tutaj.

- Jest w pełni zdrow - dodała Selese.

Nagle krzyk przeszył powietrze. Gwendolyn rozejrzała się i ujrzała nadchodzącą Illeprę, trzymającą w ramionach płaczące zawiniątko.

Serce Gwendolyn odetchnęło z ulgą, a jej twarz pokryła się łzami. Zaczęła spazmatycznie płakać, szlochała na widok małego. Poczowała taką ulgę, łązy radości napływały jej do oczu. Dziecko żyło. Ona również. Jakoś udało im się przetrwać ten straszny koszmar.

Nigdy w swoim życiu nie była bardziej wdzięczna losowi.

Illepra pochyliła się i położyła dziecko na klatce piersiowej Gwen.

Gwendolyn usiadła, popatrzyła w dół, przyglądając się dziecięciu. Kiedy go dotknęła, kiedy poczuła jego ciężar, jego zapach, kiedy zobaczyła jak wygląda, poczuła się jak nowo narodzona. Kołysała go, mocno

trzymając go w ramionach. Cały czas był opatulony w tkaninę. Gwen poczuła przyływ miłości do tego malca, miłości połączonej z wdzięcznością. Ledwie potrafiła w to uwierzyć - miała dziecko.

Kiedy synek znalazł się w jej ramionach, przestał nagle płakać. Stał się bardzo spokojny, odwrócił się, otworzył oczy i spojrzał wprost na nią.

Gwen doznała wstrząsu, który przeszedł przez jej ciało kiedy ich oczy się spotkały. Dziecko miało oczy Thora - szare i błyszczące - wdawały się pochodzić z innego wymiaru. Wgapiały się w nią. Ona zaś odwzajemniała to spojrzenie. Gwendolyn czuła jakby znała go już wcześniej. Jakby znała go od zawsze.

W tym momencie Gwen wiedziała, że łączy ich silna więź. Więż silniejsza niż wszystkie, które nawiązała dotychczas w życiu. Chwyliła go mocno i przysięgła, że nigdy go nie opuści. Pójdzie za nim w ogień.

- Jest do ciebie podobny, moja pani - powiedział Thor, uśmiechając się i spoglądając na nią.

Gwen również się uśmiechnęła, płacząc, pełna silnych emocji. Nigdy w swoim życiu nie była tak szczęśliwa. Była to jedyna rzecz, której zawsze pragnęła, być z Thorgrinem i ich dzieckiem.

- Ma twoje oczy - odpowiedziała Gwen.

- Nie ma jeszcze imienia - zauważył Thor.

- Może powinniśmy nazwać go na twoją cześć -  
Gwendolyn zwróciła się do Thora.

Thor stanowczo pokręcił głową.

- Nie, on jest synem swojej matki. Nosi twoje cechy. Prawdziwy wojownik powinien nosić w sobie ducha swojej matki i umiejętności swojego ojca. Obie te rzeczy muszą mu służyć. Odziedziczy po mnie umiejętności, imię natomiast powinien mieć po tobie.

- Co więc proponujesz? - zapytała.

Thor pomyślał.

- Jego imię powinno brzmieć podobnie do twojego. Syn Gwendolyn powinien mieć na imię Guwayne.

Gwen uśmiechnęła się. Od razu spodobał jej się dźwięk tego imienia.

- Guwayne - powiedziała. - Podoba mi się.

Gwen uśmiechnęła się szeroko i mocno przytuliła swoje dziecko.

- Guwayne - powtórzyła patrząc na małego.

Guwayne odwrócił się i ponownie otworzył oczy. Patrzył wprost na nią, mogłaby przysiąc, że widziała jak się uśmiecha. Wiedziała, że był na to za mały, ale widziała przeblysłk czegoś, co, jak czuła, miało pokazać, że spodobało mu się to imię.

Selese pochyliła się by posmarować maścią usta Gwen, a następnie dać jej coś do picia, gęsty, ciemny płyn. Gwen natychmiastowo ożywiła się. Czuła, że powoli dochodzi do siebie.

- Jak długo tu jestem? - zapytała.

- Spałaś prawie przez dwa dni, moja pani - odrzekła Illepra. - Od czasu wielkiego zaćmienia.

Gwen zamknęła oczy i sobie przypomniała. Wszystko natychmiast do niej wróciło. Pamiętała zaćmienie, grad, trzęsienie ziemi. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziała.

- Narodzinom naszego dziecka towarzyszyły wielkie znaki - rzekł Thor. - Były widoczne w całym królestwie. Wieść o jego przyjściu na świat dotarła już nawet w najdalsze strony kraju.

Kiedy Gwen mocno tuliła chłopca, poczuła

wszegarniające ciepło, wiedziała, że nie jest to zwyczajny chłopiec. Zastanawiała się jakie siły drzemią w jego żyłach.

Spojrzała na Thora zastanawiając się, czy chłopiec również jest druidem.

- Byłeś tu przez cały czas? - zapytała Thora, kiedy zrozumiała, że cały ten czas trwał przy jej boku. Poczwała do niego ogromną wdzięczność.

- Tak, moja pani. Przyszedłem, jak tylko usłyszałem. Jedyne ostatnią noc spędziłem przy Jeziorze Smutków, modląc się o twój powrót do zdrowia.

Gwen znów zalała się łzami. Nie była w stanie kontrolować swoich emocji. Nigdy nie była tak szczęśliwa; trzymając to dziecko, czwała się kompletna. Było to uczucie, którego w życiu się nie spodziewała.

Niestety Gwen przypomniała sobie tę pamiętną chwilę w Nibyświecie, kiedy to została zmuszona do dokonania wyboru. Ścisnęła Thora za rękę i jednocześnie mocno przytuliła syna. Obaj są blisko niej, chciała, aby zostali z nią na zawsze.

Ale wiedziała, że jeden z nich będzie musiał umrzeć. Płakała.

- Co się stało kochana? - zapytał w końcu Thor.

Gwen potrząsnęła głową, nie mogąc mu o niczym powiedzieć.

- Nie martw się - powiedział. - Twoja matka wciąż żyje. Jeśli to jest powód, dla którego płaczesz.

Nagle jej się przypomniało.

- Jest ciężko chora - dodał Thor. - Jednak wciąż masz czas, aby ją zobaczyć.

Gwen wiedziała, że musi to uczynić.

- Muszę się z nią spotkać - powiedziała. - Natychmiast mnie do niej zabierz.

- Pani, czy jesteś pewna? - zapytała Selese.

- W twoim stanie nie powinnaś się ruszać, pani - dodała Illepra. - Twój poród był bardzo nietypowy, powinnaś odpoczywać. Masz szczęście, że żyjesz.

Gwen zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Chcę zobaczyć swoją matkę zanim umrze. Zabierz mnie do niej. Natychmiast.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Godfrey siedział w karczmie pośrodku długiego drewnianego stołu, w każdej dłoni trzymając kufel wyśmienitego ale. Śpiewał wraz z potężną grupą MacGilów i McCloudów co rusz stukając się z nimi kufelami. Wszyscy kołysali się w przód i w tył, uderzając się w szklanice, aby podkreślić każdą zwrotkę. Piwo wylewało się na ręce i stoły. Godfreyowi było to jednak obojętne. Był bardzo pijany, podobnie jak każdej innej nocy ostatnimi czasy, i czuł się z tym bardzo dobrze.

Po jego bokach siedzieli Akorth i Fulton. Goodfrey rozglądał się wokół i czuł ogromną satysfakcję widząc, że przy stołach zasiadają dziesiątki MacGilów i McCloudów - wcześniejsi wrogowie zebrali się razem podczas zabawy, którą udało mu się zorganizować. Zajął mu to kilka dni przeczesywania Pogórza, aby dotrzeć do tego miejsca. Na początku ludzie podchodzili do tego z dystansem, jednak gdy Godfrey wytoczył kilka beczek ale, gdy pojawiły się kobiety, mężczyźni zaczęli przychodzić.

Zaczął się od kilku mężczyzn, ostrożnie spoglądających w swoim kierunku, zasiadających po przeciwnych stronach sali. Jednak gdy Godfrey



postanowił o spakowaniu karczmy i przeniesieniu jej na ten szczyt Pogórza, mężczyźni rozluźnili się i zaczęli ze sobą rozmawiać. Godfrey wiedział, że nic innego nie łączy mężczyzn tak, jak strumień darmowego ale.

Tym co sprawiło, że puściły im hamulce, że zaczęli zachowywać się jak bracia, był moment, w którym Godfrey wprowadził kobiety. Chłopak musiał użyć swoich znajomości po obu stronach Pogórza, aby opustoszyć wszystkie burdele w okolicy i oczywiście szczerze wynagrodzić wszystkie obecne panie. Teraz sala była nimi wypełniona, siedziały głównie na kolanach żołnierzy, którym bardzo się to podobało. Dobrze opłacone kobiety były zadowolone, mężczyźni byli zadowoleni, więc cała sala wypełniła się radością i toastami, Mężczyźni zaś przestali skupiać się na sobie, zamiast tego zajmując się piciem i kobietami.

Noc stawała się coraz ciemniejsza, a Godfrey co chwila podsłuchiwał rozmowy, z których mógł wnioskować, że MacGilowie i McCloudowie zaczynają traktować się przyjacielsko. Zaczęli nawet umawiać się na wspólny patrol. Właśnie taki rodzaj więzi między nimi poleciła mu osiągnąć jego siostra. Godfrey był dumny, że udało mu się tego dokonać. Podobał mu się również sam sposób dojścia do celu - jego policzki były coraz bardziej czerwone od spożytego alkoholu. Zauważył, że w ale McCloudów było coś innego, piwo po tej stronie

Pogórza było mocniejsze i od razu uderzało do głowy.

Godfrey wiedział, że istnieje wiele sposobów na wzmocnienie armii, na zjednoczenie ludzi i na dowodzenie. Polityka była jednym z nich, powołanie jednostki zarządzającej - innym, egzekwowanie prawa kolejnym. Jednak żadna z tych metod nie trafiała do serc tych ludzi. Godfrey, przy wszystkich swoich wadach, doskonale widział jak dotrzeć do zwykłego człowieka. Bo *sam był* zwykłym człowiekiem. Należał wprawdzie do królewskiego rodu, jednak jego serce zawsze solidaryzowało się z masami. Posiadał pewną mądrość osób urodzonych na ulicy, mądrość, której wszyscy ci rycerze w lśniących zbrojach nigdy nie posiadają. Oni byli ponad tym wszystkim. I Godfrey podziwiał ich za to. Jednak zrozumiał, że to właśnie on, Godfrey, ma nad nimi przewagę dzięki temu, że kiedyś był częścią takiego świata. Dało mu to inną perspektywę, inny sposób patrzenia na ludzi - a czasami konieczne są obie perspektywy, aby w pełni zrozumieć potrzeby ludu. Koniec końców, największe pomyłki jakich dopuszczali się Królowie, zawsze wynikały z tego, że nie pozostawali oni w kontakcie z ludem.

- McCloudowie jednak umieją pić - powiedział Akorth.

- Oj, nie zawodzą - dodał Fulton, kiedy dwa kolejne kufle ślizgiem pojawiły się przed nimi.

- To piwo jest za mocne - rzekł Akorth, bekając przy tym doniośle.

- Jakoś nie tęsknię za naszym lokalnym - odpowiedział Fulton.

Godfrey dostał kuksańca w żebra, rozejrzał się wokół i zobaczył, że niektórzy spośród McCloudów kołyszają się za mocno, śmieją za głośno i są naprawdę pijani, podobnie jak rozpieszczane przez nich kobiety. Godfrey zrozumiał, że McCloudowie są zdecydowanie bardziej nieokrzesani niż MacGilowie. MacGilowie byli szorstcy, ale McCloudowie. Było w nich coś takiego. coś dzikiego. Kiedy swoim okiem eksperta przeanalizował sytuację w sali, zobaczył, że McCloudowie ściskają swoje kobiety nieco za mocno, uderzają się kufłami ze zbyt dużą siłą, że szturchają się łokciami w sposób zbyt gwałtowny. Było w tych ludziach coś, co sprawiało, że Godfrey czuł się przy nich nerwowo i to pomimo tych wszystkich dni, które spędził w ich towarzystwie. Z jakiegoś powodu, nie potrafił całkowicie zaufać tym ludziom. A im więcej czasu z nimi spędzał, tym lepiej rozumiał dlaczego oba te rody trzymają się od siebie z daleka. Zastanawiał się czy kiedykolwiek mógłby zostać jednym z nich.

Pijaństwo osiągnęło swój szczyt. Wokół krążyło dwa razy więcej kufli niż dotychczas. Jednak McCloudowie

nie zwalniali tempa, jak w takim momencie zwykli czynić żołnierze. Co więcej, zaczęli pić jeszcze więcej, dużo za dużo. Godfrey, wbrew swojej naturze, stał się nieco zdenerwowany.

- Czy sądzisz, że mężczyzna może wypić za dużo? - zapytał Akortha.

Akorth zaśmiał się z drwiną w głosie.

- Cóż za pruderyjne pytanie! - odparł bez chwili zastanowienia.

- Co ci się stało? - zapytał Fulton.

Jednak Godfrey bacznie obserwował jak jeden z McCloudów, tak pijany, że ledwie widział na oczy, wpadł na grupkę swoich kolegów, przewracając ich wszystkich z hukiem.

Przez chwilę w sali zapadła cisza, wszyscy odwrócili się, by zobaczyć grupkę leżących na podłodze żołnierzy.

Ci jednak szybko się podnieśli krzycząc radośnie, śmiejąc się i wiwatując. Godfreyowi ulżyło, że zabawa trwała dalej.

- Nie sądzisz, że mają już dość? - zapytał Godfrey, zaczynając się zastanawiać czy to wszystko nie było

przypadkiem złym pomysłem.

Akorth spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Dość? - zapytał. - A co to w ogóle znaczy?

Godfrey zauważył, że sam bełkotał, a jego umysł nie był tak bystry jakby sobie tego życzył. Pomimo wszystko, ciągle wydawało mu się, że zaczyna się tu dzieć coś złego. Że coś jest nie tak. Zachowania były zbyt intensywne, a biesiadnicy zaczęli tracić nad sobą kontrolę.

- Precz z łapami - nagle ktoś wrzasnął. - Ona jest moja!

Ton tego głosu był złowrogi i niebezpieczny. Kiedy dźwięk dotarł do Godfreya, ten się odwrócił.

Po drugiej stronie sali żołnierz MacGilów stał wyprostowany, kłócąc się z jednym z McCloudów. McCloud pochwycił kobietę, która siedziała na kolanach MacGila, objął ją ramieniem wokół talii i pociągnął do siebie.

- *Była* twoja. Teraz jest moja! Znajdź sobie jakąś inną!

Oblicze MacGila zachmurzyło się. Żołnierz dobył miecza. Charakterystyczny dźwięk rozniósł się po sali, sprawiając, że wszystkie głowy obróciły się w jego

stronę.

- Powiedziałem, że jest *moja!* - krzyknął MacGil.

Jego twarz była teraz całkiem czerwona, a włosy zmierzwił i polepione od potu. Cała sala patrzyła na nich przykuta śmiertelnym tonem wypowiedzi.

Zabawa ustała gwałtownie, w karczmie nastała cisza, a biesiadnicy bo obu stronach sali zamarli, by obserwować rozwój zdarzeń. McCloud, potężny, muskularny mężczyzna, skrzywił się, chwycił kobietę i gwałtownie cisnął nią w bok. Poleciała w tłum, potknęła się i upadła.

McClouda z całą pewnością nie obchodziło co się z nią stało. Dość oczywistym było, że jedyne na co miał teraz ochotę to bójka, nie kobieta.

Również dobył miecza, gotowy do walki.

- Zapłacisz za nią życiem! - powiedział.

Żołnierze z wszystkich stron odsunęli się w tył, tworząc niewielkie pole do walki. Godfrey obserwował narastające napięcie. Wiedział, że musi przerwać tę sytuację, zanim zamieni się ona w otwartą wojnę. Przeskoczył przez stół, ślizgając się po kuflach z piwem, przemknął korytarzem i wbiegł w sam środek

poła oczyszczonego do walki. Prosto pomiędzy tę dwójkę. Wyciągnął dłonie, aby ich rozdzielić.

- Panowie! - zawołał bełkocząc nieco. Starał się być skupiony, zmusić swój umysł do trzeźwego myślenia. Żałował jednocześnie, że dał się upić tak bardzo.

- Wszyscy jesteśmy ludźmi! - krzyknął. - Stanowimy wspólnotę! Jedną armię! Walka jest tu niepotrzebna! Wokół jest wiele kobiet! Żaden z was zapewne nie chciał doprowadzić do tej sytuacji!

Godfrey spojrział na MacGila, który stał tam krzywiąc się i trzymając swój miecz.

- Jeśli przyzna, że to jego wina, przyjmę jego przeprosiny - powiedział MacGil.

McCloud był nieco skołowany, po chwili jego wyraz twarzy stał się łagodniejszy, aż

ostatecznie uśmiechnął się.

- W takim razie przepraszam! - McCloud wykrzyczał, wyciągając swoją lewą rękę.

Godfrey odsunął się. MacGil ostrożnie uścisnął wyciągniętą dłoń.

Kiedy mężczyźni wymieniali uścisk, McCloud zmiądzzył rękę MacGila, szarpnął go w swoim kierunku, a następnie uniósł miecz i wbił go prosto w jego klatkę piersiową.

- Przepraszam, - dodał - że nie zabiłem cię wcześniej!  
Szmato MacGilów!

MacGil padł na ziemię, bezwładnie, krew rozlała się wokół niego.

Był martwy.

Godfrey był zszokowany. Znajdował się raptem stopę od nich, nie mógł wprawdzie pomóc, ale w pewien sposób czuł, że to jego wina. Zachęcił MacGila, aby ten opuścił swoją broń, to on starał się doprowadzić do rozejmu. Został zdradzony przez tego McClouda, zrobiono z niego głupca na oczach jego własnych ludzi.

Godfrey nie myślał jasno, był pijany jak bela, jednak coś w nim pękło.

Jednym szybkim ruchem, schylił się, pochwycił miecz martwego MacGila, podszedł do McClouda i dźgnął go prosto w serce.

McCloud spojrział w bok, otworzył szeroko oczy, następnie zsunął się na ziemię, martwy, z mieczem,



który wciąż tkwił w jego klatce.

Godfrey spojrział w dół na swoje skrwawione dłonie i nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Był to pierwszy raz kiedy zabił człowieka własnymi rękami. Nigdy nie sądził, że jest do tego zdolny.

Nie planował go zabić, nawet tego porządnie nie przemyślał. Coś tkwiło głęboko w nim. Zawaładnęła nim jakaś część niego samego, część, która zapragnęła zemsty za krzywdy.

Sala nagle pogrążyła się w chaosie. Ze wszystkich stron dało się słyszeć krzyki, mężczyźni atakowali się we wściekłości. Przestrzeń wypełniły odgłosy uderzających o siebie mieczy. W pewnym momencie Akorth popchnął Godfreya mocno do przodu, sprawiając, że jego głowa uniknęła spotkania ze zbliżającym się mieczem.

Inny żołnierz - Godfrey nie pamiętał kto to był i dlaczego to zrobił - chwycił go i rzucił nim wzdłuż stołu wypełnionego po brzegi piwem. Ostatnią rzeczą jaką zapamiętał Godfrey było to, jak leci wzdłuż drewnianej ławy, uderzając po kolei w każdy kufel ale, aż wreszcie spada na ziemię, waląc o nią głową i jedyne czego pragnie, to być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwendolyn siedziała na wózku inwalidzkim, trzymając Guwayne'a w ramionach. Oczekiwała, aż sługa otworzy drzwi, a Thor wwiezie ją do komnaty swojej chorej matki. Strażnicy Królowej pochylili głowy i odsunęli się na bok. Gwen przytuliła dziecko mocniej, kiedy wchodzili do ciemnego pokoju. Było tu cicho i duszno. Pochodnie migotały na każdej ze ścian. Wydawało się, że w powietrzu czai się śmierć.

Guwayne, *pomyślała*. Guwayne. Guwayne.

Powtarzała imię w myślach, wciąż i na nowo, starając skupić się na czymś innym niż jej umierająca matka. Kiedy o nim myślała, czuła się dużo lepiej, to imię sprawiało, że ogarniało ją ciepło. *Guwayne*. Cudowne dziecko. Kochała go bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić.

Gwen chciała, aby jej matka ujrzała go, zanim umrze. Chciała, aby matka była z niej dumna. Gwen pragnęła jej błogosławieństwa. Musiała to przyznać. Pomimo ich wyboistej przeszłości, Gwen potrzebowała pokoju i porozumienia w ich relacji. Zanim matka umrze. Była teraz w delikatnym stanie, a świadomość, że przez ostatnie miesiące zbliżyły się do siebie, sprawiała, że Gwen czuła się jeszcze bardziej zrozpaczona.

Jej serce ścisnęło się, kiedy drzwi się za nią zatrzęsły. Rozejrzała się po pokoju i ujrzała dziesiątki sług stojących w pobliżu matki. Ludzi ze starej gwardii, których potrafiła rozpoznać, którzy opiekowali się także jej ojcem. Komnata była nimi wypełniona. Czuwali przy umierającej. Przy boku matki stała oczywiście Hafold, jej wierna służka do samego końca. Trzymała przy niej straż, nie pozwalając nikomu zbliżyć się zbyt blisko, podobnie jak zwykła to czynić przez całe swoje życie.

Kiedy Thor podjechał z Gwendolyn blisko matki, córka chciała wstać, pochylić się nad starą Królową i ją uściskać. Jej ciało wciąż jednak było całe obolałe - będąc w tym stanie, nie potrafiła tego uczynić.

Zamiast tego wyciągnęła swoją dłoń i ujęła matkę za nadgarstek, był zimny w dotyku.

Kiedy to uczyniła, jej rodzicielka, leżąc dotychczas nieprzytomna, powoli otworzyła jedno oko. Wyglądała na zaskoczoną i uradowaną na widok Gwen.

Niespiesznie otworzyła drugie oko, a następnie usta. Chciała przemówić.

Próbowała wypowiedzieć słowa, jednak miast tego dało się słyszeć jedynie sapanie. Gwen nie mogła jej zrozumieć.

Matka odchrząknęła i skinęła na Hafold.

Ta natychmiast się pochyliła, przyłożyła ucho blisko ust Królowej.

- Tak moja pani? - zapytała Hafold.

- Odeślij wszystkich. Chcę zostać sama z moją córką i Thorgrinem.

Hafold spojrzała przelotnie na Gwen, wydawał się być jej niechętna, następnie odpowiedziała - Jak sobie życzysz, pani.

Hafold natychmiast zebrała wszystkich, a następnie wyprowadziła ich przez drzwi; po czym wróciła i zajęła swą pozycję u boku Królowej.

- Sama - Królowa powtórzyła i spojrzała wymownie na Hafold.

Hafold popatrzyła w dół zaskoczona, następnie z zazdrością rzuciła okiem na Gwen i gwałtownie wyszła z komnaty, stanowczo zamykając za sobą drzwi.

Gwen siedziała z Thorem, czuła ulgę, że wszyscy sobie poszli. Ciężki całun śmierci wciąż wisiał w powietrzu. Gwendolyn czuła go cały czas - już niedługo matki z nią nie będzie.

Królowa ścisnęła dłoń Gwen, a ta odwzajemniła ten uścisk. Matka uśmiechnęła się, a łza spłynęła jej po policzku.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała. Czy raczej wyszeptała. Jej słowa były ledwie słyszalne.

Gwen czuła, że chce jej się płakać, jak mogła, starała się być silna, starała się oszczędzić matce łez. Jednak nie potrafiła się opanować. Łzy nagle same zaczęły płynąć.

- Matko - powiedziała. - Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Za wszystko.

Gwen czuła ogromny żal, że w życiu nie były ze sobą bliżej. Nigdy nie potrafiły się zrozumieć. Ich osobowości zawsze się ze sobą ścierały, nigdy nie postrzegały rzeczy w ten sam sposób. Gwen było przykro, że ich relacja wyglądała w ten sposób, nawet jeśli nie była osobą, którą należało za to winić. Pragnęła, spoglądając w przeszłość, aby istniało coś, co mogła powiedzieć bądź zrobić, aby sprawy potoczyły się inaczej. Jednak te kobiety zawsze były po dwóch różnych stronach barykady, niezależnie od sytuacji, o którą chodziło. I wydawało się, że żaden wysiłek, z którejkolwiek ze stron, nie był w stanie tego zmienić. Były po prostu dwiema całkowicie różniącymi się od siebie istotami, które utknęły w tej samej rodzinie, które

utknęły w relacji matka-córka. Gwen nigdy nie była córką, której pragnęła jej matka, a Królowa nigdy nie była matką, jakiej życzyłaby sobie Gwen. Gwen zastanawiała się dlaczego świat połączył je ze sobą.

Królowa skinęła głową, a Gwendolyn wiedziała, że matka ją rozumie.

- To ja przepraszam - odpowiedziała. - Jesteś wyjątkową córką. I wyjątkową Królową. Dużo wspanialszą Królową niż ja kiedykolwiek byłam. I dużo wspanialszym władcą, niż kiedykolwiek był twój ojciec. Byłby z ciebie dumny. Zasługujesz na lepszą matkę niż ta, którą jestem ja.

Gwen otarła łzy.

- Byłaś doskonałą matką.

Matka potrząsnęła głową.

- Byłam dobrą Królową. I oddaną żoną. Ale nie byłam dobrą matką. A przynajmniej nie dla ciebie. Myślę, że widziałam w tobie zbyt dużo siebie. To mnie przerażało.

Gwen ścisnęła jej rękę. Płakała. Pragnęła, aby dano im więcej czasu dla siebie, aby ta rozmowa odbyła się o wiele wcześniej. Teraz, kiedy była Królową, kiedy obie były starsze, i kiedy miała dziecko, Gwen pragnęła, aby matka była przy niej. Chciała móc korzystać z jej rad.

Ironicznie, moment, w którym najbardziej pragnęła jej przy sobie, był czasem, w którym nie mogła jej mieć.

- Mamo, chciałabym, abyś poznała moje dziecko. Mojego syna. Oto Guwayne.

Królowa, zaskoczona, otworzyła szeroko oczy, uniosła głowę nad poduszkami, spojrzała w dół i dopiero teraz dostrzegła, że Gwen trzyma na rękach Guwayne'a.

Królowa westchnęła, podniosła się nieco bardziej, a następnie wybuchła płaczem.

- Och Gwendolyn - powiedziała. - To najpiękniejsze dziecko jakie kiedykolwiek widziałam.

Wyciągnęła rękę i dotknęła Guwayne'a, położyła dłonie na jego czole, a kiedy to uczyniła, załkała jeszcze mocniej.

Następnie odwróciła się i spojrzała na Thora.

- Będziesz dobrym ojcem - powiedziała. - Mój mąż cię uwielbiał. Zaczynam rozumieć dlaczego. Myliłam się co do ciebie. Wybacz mi. Cieszę się, że jesteś z Gwendolyn.

Thor uroczyście skinął głową, wyciągnął rękę i chwycił Królową za ramię. Ona również wyciągnęła do niego dłoń.

- Nie mam czego wybaczać - powiedział.

Królowa spojrzała na Gwendolyn, a jej oczy znów stały się twarde. Gwen zobaczyła w nich nagłą zmianę, zobaczyła, że wraca stara Królowa.

- Staniesz teraz w obliczu wielu prób - powiedziała matka. - Cały czas starałam się je kontrolować. Wciąż mam wszędzie swoich ludzi. Obawiam się o ciebie.

Gwendolyn poklepała ją po dłoni.

- Matko, nie martw się tym teraz. To nie czas na sprawy państwa.

Matka pokręciła głową.

- Zawsze jest czas na sprawy państwa. A teraz przede wszystkim. Pogrzeby, nie zapominaj, są sprawami państwa. Nie są wydarzeniami rodzinnymi, a politycznymi.

Królowa kaszlała przez długi czas, a następnie odetchnęła głęboko.

- Nie pozostało mi wiele czasu, więc słuchaj uważnie - powiedziała, a jej głos stawał się coraz słabszy. - Weź sobie moje słowa do serca. Nawet jeśli nie masz ochoty ich usłyszeć.



Gwen nachyliła się bliżej i uroczyście skinęła głową.

- Cokolwiek powiesz matko.

- Nie ufaj Tirusowi. Zdradzi cię. Nie ufaj jego ludziom. Ci MacGilowie nie są jednymi z nas. Łączy ich z nami jedynie nazwisko. Nie zapominaj o tym.

Matka zaczęła sapać, próbując złapać oddech.

- McCloudom również nie ufaj. Nie wyobrażaj sobie, że będziesz żyć z nimi w pokoju.

Matka sapała, a Gwen zastanawiała się nad jej słowami, starając się pojąć ich głębsze znaczenie.

- Dbaj, aby twoja armia była silna, a obrona jeszcze silniejsza. Im mocniej zdasz sobie sprawę z tego, że pokój to iluzja, tym dłużej uda ci się go zachować.

Matka znów dyszała. Przez długi czas. Zamknęła oczy. Serce Gwen krwawiło, gdy patrzyła jak wiele wysiłku kosztują ją te słowa.

Z jednej strony, pomyślała Gwen, być może były to tylko słowa umierającej Królowej, która zbyt długo czuła się znużona; z drugiej jednak strony, Gwen nie mogła oprzeć się wrażeniu, jest w tym wszystkim jakaś mądrość. Mądrość, której być może nie chciała przyjąć.

Jej matka znów otworzyła oczy.

- Twoja siostra, Luanda - wyszeptała. - Chcę, aby była na moim pogrzebie. Jest moją córką. Moją pierworodną.

Gwendolyn westchnęła, zaskoczona.

- Uczyniła straszne rzeczy, zasłużyła na wygnanie. Ale okaż jej łaskę, tylko raz. Kiedy będą wsadzać mnie do ziemi, chcę, aby była tutaj. Nie odrzucaj prośby umierającej matki.

Gwendolyn znów westchnęła, czuła się rozdarta. Chciała sprawić matce przyjemność. Jednak nie chciała pozwolić Luandzie wrócić. Nie po tym co zrobiła.

- Obiecuj mi - powiedziała matka, ściskając stanowczo dłoń Gwen. - *Obiecuj mi.*

Ostatecznie Gwendolyn skinęła - nie była w stanie jej odmówić.

- Obiecuję ci, Matko.

Matka westchnęła i skinęła głową. Była usatysfakcjonowana, osunęła się z powrotem na poduszkę.

- Matko, - powiedziała Gwen i odchrząknęła -

chciałabym, abyś pobłogosławiła moje dziecko.

Matka delikatnie otworzyła oczy i spojrzała na nią, następnie zamknęła je powoli i potrząsnęła głową.

- To dziecko ma wszelkie błogosławieństwa jakich noworodek może tylko potrzebować. Ma również moje, jednak go nie potrzebuje. Zobaczysz córko, że twoje dziecko będzie dużo potężniejsze niż ty, Thorgrin czy ktokolwiek inny, kto narodził się wcześniej, bądź narodzi się później. Wszystko to zostało przepowiedziane lata temu.

Matka dyszała przez długi czas, a kiedy Gwen wydawało się, że skończyła, kiedy Gwen przygotowywała się już do wyjścia, matka otworzyła oczy po raz ostatni.

- Nie zapominaj czego nauczył cię ojciec - powiedziała, jej głos był tak słaby, że ledwie mogła mówić. - Czasem w królestwie największy pokój panuje podczas wojny.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Steffen odwiedził już wiele wiosek, w imieniu Królowej rozdzielił wiele wagonów pełnych towarów. Robił to bardzo dokładnie, starając się jak najlepiej rozdysponować je pomiędzy wioski i rodziny, które

najbardziej ich potrzebowały. Był dumny widząc radość na twarzach ludzi, kiedy rozdawał im towary i przydzielał pracowników, którzy mieli pomóc w odbudowie wiosek znajdujących się w okolicy Królewskiego Dworu. Wioska po wiosce, wszystko w imieniu Gwendolyn. Steffen pomagał odbudować wiarę w potęgę Królowej, w możliwość odbudowy Kręgu. Po raz pierwszy w życiu ludzie nie zwracali uwagi na jego wygląd, patrzyli na niego z szacunkiem, jak na normalnego człowieka. Pokochał to uczucie. Ludzie również mieli poczucie, że Królowa o nich nie zapomniała, Steffen zaś był szczęśliwy mogąc brać udział w przedsięwzięciu, które sprawiało, że lud jeszcze bardziej kochał Królową i czuł się jej oddany. Niczego więcej nie pragnął.

Los chciał, że, po odwiedzeniu wielu wsi, trasa wyznaczona przez Królową zawiodła Steffena do jego własnej wioski, do miejsca w którym się wychował. Steffen poczuł strach, pewne ukłucie w żołądku, kiedy zobaczył, że jego osada jest następna na liście. Chciał zawrócić, zrobić cokolwiek, aby tylko tego uniknąć.

Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Przysiągł Gwendolyn, że wypełni jej rozkazy, na szali leżał więc jego honor - musiał spełnić swój obowiązek, nawet jeśli wiązało się to z powrotem do miejsca, które widywał w największych koszmarach. Było to miejsce, w którym

mieszkali wszyscy ludzie, których znał jako dziecko, ludzie, którzy czerpali ogromną przyjemność z dręczenia go i szydzenia ze sposobu w jaki został ukształtowany. Ludzie, którzy sprawili, że przez całe życie odczuwał wstyd z powodu tego, kim jest. Kiedy stamtąd odszedł, przysiągł sobie, że już nigdy tu nie wróci, że nigdy nie ujrzy już swojej rodziny. Teraz, o ironio, przywiodła go tu jego misja, podczas której w imieniu Królowej miał rozdać im wszelkie towary, których mogą potrzebować. Los bywa jednak okrutny.

Steffen wjechał na grzbiet góry i pierwszy raz od dawna ujrział swoją osadę. W żołądku wszystko mu się przewracało. Wystarczyło, aby tylko zobaczył to miejsce, a od razu poczuł, że jest mniej wart. Zaczynał kurczyć się w sobie, czołgać w środku własnego ciała, było to uczucie, którego szczerze nienawidził. A przecież jeszcze przed chwilą czuł się tak wspaniale, lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Szczególnie teraz, mając tę pozycję, będąc w tym otoczeniu. Teraz, kiedy odpowiadał przed samą Królową. Jednak kiedy zobaczył to miejsce, wróciły wspomnienia, dotyczące tego w jaki sposób ludzie traktowali go wcześniej. Nienawidził tego uczucia.

Czy ci wszyscy ludzie wciąż tu mieszkali? Zastanawiał się. Czy wciąż byli tak okrutni, jak zazwyczaj. Miał jedynie nadzieję, że nie.

Jeśli Steffen natrafi tu na swoją rodzinę, co im powie? Co oni mu powiedzą? Czy będą z niego dumni, kiedy zobaczą jaki urząd piastuje? Osiągnął w swoim życiu więcej niż ktokolwiek z jego rodziny, niż ktokolwiek z wioski. Był jednym z najważniejszych doradców Królowej, był członkiem małej królewskiej rady. Będą zdumieni słysząc co udało mu się osiągnąć. Ostatecznie będą musieli przyznać, że mylili się co do niego. Że wcale nie był nic nie warty.

Steffen miał nadzieję, że może właśnie w ten sposób potoczą się sprawy. Może wreszcie jego rodzina będzie go podziwiać, może zyska wśród swych ludzi szacunek.

Steffen i jego królewska karawana zatrzymali się przed bramami tej niewielkiej osady. Steffen nakazał wszystkim zatrzymać się.

Odwrócił się przodem do swoich ludzi, do dziesiątek żołnierzy Straży Królewskiej, którzy czekali na jego rozkazy.

- Poczekać tutaj na mnie, - krzyknął - poza murami miasta. Nie chcę, aby moi ludzie was zobaczyli. Chcę stawić im czoła w samotności.

- Tak jest, Panie Dowódco - odpowiedzieli.

Steffen zsiadł z konia, chcąc pieszo przebyć resztę drogi

do miasta. Nie chciał, aby jego rodzina zobaczyła królewskiego konia, czy królewską świtę. Chciał zobaczyć jak zareagują na jego widok, kiedy zobaczą go takim jaki jest, bez obecnej pozycji czy rangi. Ściągnął nawet królewskie oznaczenia ze swojej nowej odzieży i pozostawił je w siodle.

Steffen wszedł przez główną bramę do małej, brzydkiej wioski, którą pamiętał. Miała zapach dzikich psów, kurcząt biegających wolno po ulicach, starych kobiet i przeganiających je dzieci. Szedł obok rzędów chat, których kilka zrobionych było z kamienia, ale większość - ze słomy. Ulice były w bardzo złym stanie, pełne dziur i zwierzęcych zwłok.

Nic się nie zmieniło. Przez wszystkie te lata, zupełnie nic się nie zmieniło.

Steffen ostatecznie dotarł na koniec ulicy, skręcił w lewo, a kiedy ujrzał dom swego ojca, przewróciły się w nim wszystkie wnętrzości. Wyglądał tak, jak zawsze - mały drewniany domek z pochyłym dachem i krzywymi drzwiami. Z tyłu szopa, w której kazano spać Steffenowi. Widok ten sprawił, że natychmiast chciał ją zburzyć.

Steffen podszedł do frontowych drzwi, które były otwarte. Stanął w wejściu i zajrzał do środka.

Zaparło mu dech w piersiach. Była tu cała jego rodzina: ojciec, matka, wszystkie jego siostry i bracia. Wszyscy stłoczeni w tej malutkich chatce. W tej kwestii również nic się nie zmieniło. Zebrali się przy stole, jak zwykle, walcząc o ochłapy, śmiejąc się do siebie. Nigdy nie śmiali się ze Steffenem. Zawsze tylko z niego.

Wszyscy wyglądali starzej, ale poza tym, tak samo. Obserwował ich ze zdumieniem. Naprawdę pochodził właśnie stąd?

Matka Steffena zauważyła go jako pierwsza. Odwróciła się, a kiedy go ujrzała jęknęła i upuściła talerz, który rozbił się na podłodze.

Następnie odwrócił się ojciec i wszyscy pozostali. Gapili się, będąc w szoku, że znów go widzą. Byli wyraźnie niezadowoleni, jak podczas wizyty nieproszonego gościa.

- Więc... - powoli powiedział ojciec, zagniewany, obchodząc stół i zbliżając się do niego, ocierając serwetką tłuszcz z dłoni. Jego ruchy miały sprawiać wrażenie groźnych. - Koniec końców, powróciłeś.

Steffen pamiętał, że ojciec miał w zwyczaju skręcać tę serwetkę, namaczać ją, a potem go nią batożyć.

- Cóż to się stało? - dodał ojciec, z ponurym uśmiechem



na twarzy. - Nie powiodło się w wielkim mieście?

- Sądził, że jest na nas za dobry. A teraz przybiegł do domu jak pies z podkulonym ogonem! - krzyknął jeden z jego braci.

- Jak pies! - powtórzyła jedna z sióstr.

Steffen kipiał ze złości, oddychał ciężko - zmusił się jednak, aby trzymać język za zębami, aby nie zniżać się do ich poziomu. Ostatecznie byli to prowincjusze, którzy doznali uszczerbku, na skutek życia w małej wiosce. On natomiast widział świat, doświadczył innego życia i powinien zachować się lepiej.

Jego rodzina - czyli wszyscy, którzy znajdowali się w izbie - śmiała się z niego.

Jedyną osobą, która się nie śmiała i która patrzyła się na niego z szeroko otwartymi oczami, była jego matka. Pomyślał, że może ona jako jedyna się zmieniła. Pomyślał, że może ucieszyła się na jego widok.

Ta jednak pokiwała jedynie głową.

- Och Steffen, - powiedziała - nigdy nie powinieneś wracać. Nie jesteś częścią tej rodziny.

Jej słowa, wypowiedziane tak spokojnie, bez żadnej

złośliwości, zabołały Steffena najbardziej.

- Nigdy nią nie był - powiedział jego ojciec. - Jest zwykłą kreaturą. Co tu robisz chłopcze? Przyjechałeś po więcej odpadków?

Steffen nie odpowiedział. Nie miał daru do przemówień, do dowcipnych, błyskotliwych odpowiedzi, a już na pewno nie w tak obciążających emocjonalnie chwilach jak ta. Był tak zdenerwowany, że ledwie potrafiłby sklecić słowo. Było tak wiele rzeczy, które chciał im wszystkim powiedzieć. Jednak słowa, które mogłyby to wyrazić, nie pojawiały się w gardle.

Stał tam więc jedynie, kipiący ze złości, w milczeniu.

- Zapomniałeś języka w gębie? - zadrwił jego ojciec. - W takim razie zejź mi z oczu. Marnujesz mój czas. Mamy dziś wielki dzień i nie pozwolę, abyś go zepsuł.

Ojciec usunął Steffena z drogi i przeszedł obok niego. Wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się w obu kierunkach. Cała rodzina czekała i obserwowała go. Ojciec wszedł z powrotem, chrząknął rozczarowany.

- Nie ma ich jeszcze? - matka zapytała z nadzieją.

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia gdzie mogą być - odpowiedział ojciec.

Następnie odwrócił się do Steffena, wściekły, czerwony ze złości.

- Wyłaź stąd - warknął. - Czekamy na bardzo ważną osobę, a ty blokujesz wejście. Wszystko zepsujesz, tak jak zawsze wszystko potrafiłeś zepsuć. Cóż za wycucie czasu, żeby pojawiać się właśnie w takim momencie. Dowódca Królowej, we własnej osobie, nadjedzie tu lada chwila, aby rozdać w wiosce jedzenie i zaopatrzenie. To jest nasz moment, chwila, w której będziemy mogli się do niego zwrócić. Spójrz na siebie - ojciec uśmiechnął się szyderczo. - Stoisz w drzwiach i blokujesz wejście. Jedno spojrzenie na ciebie i przejedzie obok naszego domu. Pomyśli, że to chata dziwadeł.

Jego bracia i siostry zaczęli pokładać się ze śmiechu.

- Chata dziwadeł! - powtórzył jeden z chłopaków.

Steffen stał tam, robiąc się cały czerwony. Odwzajemniał spojrzenie swojego ojca, który patrzył się na niego skrzywiony.

Steffen, zbyt zdenerwowany, by mu odpowiedzieć, powoli odwrócił się, pokiwał głową i wyszedł z chaty.

Poszedł na ulicę, a kiedy już się tam znalazł, skinął na swoich ludzi.

Nagle pojawiły się dziesiątki lśniących królewskich powozów, które wjechały do wsi.

- Nadjeżdżają! - krzyknął ojciec Steffena.

Cała jego rodzina wybiegła na zewnątrz, przebiegli obok Steffena i ustawili się w linii, gapiąc się na wozy pilnowane przez królewską straż.

Cała straż odwróciła się i spojrzała w stronę Steffena.

- Panie, - powiedział jeden z nich - czy mamy rozdać towary, czy powinniśmy jechać dalej?

Steffen stał podpierając się rękami na biodrach i wpatrywał się w swoją rodzinę.

Ci zaś, co do jednego, odwrócili się całkowicie zadziwieni tym, co usłyszeli. Odwracali się to w przód to w tył, gapiąc się to na Steffena to na królewskie straże. Byli zaskoczeni, jakby nie potrafili zrozumieć co się właśnie stało.

Steffen wolnym krokiem podszedł do swojego konia, wspiął się na niego i usiadł na czele gwardii w swoim srebrno-złotym siodle, a następnie spojrzał w dół na

swoją rodzinę.

- *Mój Panie?* - wykrztusił jego ojciec. - To jakiś żart? Ty? Królewskim dowódcą?

Steffen siedział tylko i patrząc na swojego ojca pokiwał głową.

- Tak Ojczy - odpowiedział. - Jestem królewskim dowódcą.

- To niemożliwe - powiedział ojciec. - To niemożliwe. W jaki sposób taka kreatura mogła zostać wybrana do gwardii Królowej?

Wtem, dwóch gwardzistów zsiadło z konia, dobyło swoich mieczy i ruszyło w stronę ojca Steffena. Trzymali końcówki swojej broni przy jego gardle, naciskając je na tyle mocno, że ten z przerażenia otworzył szeroko oczy.

- Kto obraża człowieka Królowej, obraża samą Królową - jeden z mężczyzn warknął w stronę ojca Steffena.

Ojciec, przerażony, przełknął ślinę.

- Panie, czy powinniśmy aresztować tego człowieka - drugi gwardzista zapytał Steffena.

Steffen spojrział badawczo na swoją rodzinę, widział szok i niedowierzania na wszystkich tych twarzach.

- Steffen! - jego matka ruszyła do przodu, ścisnęła jego nogi, błagała. - Proszę! Nie wtrącaj ojca do aresztu! I proszę - przekaż nam dary. Potrzebujemy ich!

- Jesteś nam to winny! - rzucił jego ojciec. - Za wszystko, co ci dałem przez całe twoje życie. Jesteś nam to winny.

- Proszę! - błagała matka. - Nie mieliśmy pojęcia. Nie wiedzieliśmy kim się stałeś! Błagam, nie krzywdź ojca!

Padła na kolana i zaczęła płakać.

Steffen tylko pokręcił głową, patrząc na tych kłamliwych, oszukańczych ludzi bez honoru. Na ludzi, którzy przez całe życie byli dla niego okrutni. Teraz, kiedy zobaczyli, że stał się kimś ważnym, oczekiwali czegoś od niego.

Steffen zrozumiał, że nie zasługuje nawet na jego odpowiedź.

Zrozumiał coś jeszcze: przez całe życie, umieszczał swoją rodzinę na piedestale. Jakby byli wspaniali, perfekcyjni, jakby coś osiągnęli, jakby byli kimś, kim on chciał się stać. Teraz zrozumiał, że jest dokładnie na

odwrót. To wszystko, całe jego dzieciństwo, było wielkim złudzeniem. To byli żałośni ludzie. Pomimo swojej postawy, był po nad nimi wszystkimi. Zrozumiał to po raz pierwszy w swoim życiu.

Spojrzał w dół na swojego ojca, na skierowane w jego kierunku miecze i szczerze mówiąc jakaś jego część chciała skrzywdzić ojca. Ale inna część zrozumiała, że nie zasługują oni nawet na zemstę. Musieliby być kimś, aby na nią zasłużyć. A byli nikim.

Odwrócił się do swoich ludzi.

- Myślę, że ta wioska poradzi sobie sama - powiedział.

Spiął konia i w wielkich kłębach dymu, wszyscy wyjechali z osady. Steffen przysiągł sobie, że już nigdy tu nie wróci.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Słudzy otworzyli stare, dębowe drzwi. Na zewnątrz szalała okropna pogoda. Reece był cały mokry od deszczu i wiatru Wysp Górnych, czym prędeej chciał się więc schronić w suchym forcie Sroga. Kiedy tylko drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, ucieszył się, że wreszcie znajduje się w jakimś suchym miejscu.

Strzepnął wodę ze swoich włosów i z twarzy, a gdy spojrział w górę, ujrzał Sroga, który spieszył w jego kierunku, aby uściskać go na powitanie.

Reece odwzajemnił jego uścisk. Zawsze myślał ciepło o tym wspaniałym wojowniku i przywódcy, o tym mężczyźnie, który tak doskonale zarządzał Silesią, który był lojalny wobec jego ojca i może nawet bardziej lojalny wobec jego siostry. Widząc Sroga, z jego sztywną brodą, szerokimi ramionami i przyjaznym uśmiechem, przypomniał sobie swojego ojca, i całą starą gwardię.

Srog odchylił się w tył, a swoją muskularną ręką chwycił Reece'a za ramię.

- Teraz, kiedy jesteś starszy, aż za bardzo przypominasz swojego ojca. - Powiedział ciepło.

Reece uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że to dobrze.

- Oczywiście - odpowiedział Srog. - To był wspaniały człowiek. Poszedłbym za nim w ogień.

Sorg odwrócił się i poprowadził Reece'a wzdłuż korytarza. Wszyscy jego ludzie podążyli za nimi, towarzysząc im przez całą drogę po forcie.



- Jesteś jedną z osób, które najchętniej witam w tym smutnym miejscu - powiedział Srog. - Jestem wdzięczny twojej siostrze, że cię tu przysłała.

- Wygląda na to, że nie wybrałem najlepszego dnia na odwiedzin - powiedział Reece kiedy przeszli obok otwartego okna, deszcz lał zaledwie kilka stóp od nich.

Srog uśmiechnął się.

- Tutaj każdy dzień tak wygląda - odpowiedział. - Zresztą aura w każdej chwili może się zmienić. Powiadają, że na Wyspach Górnych w ciągu jednego dnia można doświadczyć wszystkich czterech pór roku - i muszę przyznać, że jest to prawda.

Reece spojrział na zewnątrz, na mały, pusty zamkowy dziedziniec. Znajdowała się na nim garstka starych, kamiennych budynków, szarych, starodawnych - wyglądały jakby wkomponowały się w deszcz. W ich sąsiedztwie znajdowało się zaledwie kilka osób. Ta wyspa wydawała się smutnym, opuszczonym miejscem.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał Reece.

Srog westchnął.

- Ludzie zamieszkujący Wyspy Górne pozostają w domach. Patrzą głównie na siebie. Są rozrzućeni. To

miejsce nie jest jak Silesia, czy Królewski Dwór. Tu ludzie żyją na całej wyspie. Nie skupiają się w miastach. Są dziwnymi samotnikami. Uparci i trudni w obyciu, tak jak pogoda.

Srog prowadził Reece'a w dół korytarza, kiedy minęli róg znaleźli się w Wielkiej Sali.

W komnacie znajdował się tuzin mężczyzn Sroga, żołnierzy odzianych w swoje buty i zbroje. Ponuro siedzieli wokół stołu ustawionego blisko ognia. Przy palenisku spały psy. Ludzie spożywali kawały mięsa, a resztki rzucali zwierzętom. Spojrzeli na Reece'a i chrząknęli.

Srog poprowadził gościa w pobliże ognia. Ten roztarł ręce nad płomieniami, szczęśliwy, że wreszcie doznał nieco ciepła.

- Wiem, że nie masz zbyt wiele czasu przed odpłynięciem twojego statku - powiedział Srog. - Chciałem jednak zapewnić ci choć trochę ciepła i suche ubrania.

Służący podszedł i podał Reece'owi zestaw suchych ubrań oraz pancerz. Wszystko dokładnie w jego rozmiarze. Reece spojrzał zaskoczony na Sroga. Był mu bardzo wdzięczny. Zdjął swoje mokre ubranie i zastąpił

je tym, które właśnie dostał.

Srog uśmiechnął się.

- Dobrze traktujemy tu swoich ludzi - powiedział. - Byłem pewny, że w tym miejscu, będziesz tego potrzebował.

- Dziękuję - odpowiedział Reece, zaledwie w jednej chwili poczuł, że jest mu dużo cieplej. - Nigdy nie potrzebowałem ich bardziej.

Obawiał się, że będzie musiał wracać w mokrych ubraniach, było więc to dokładnie to, czego potrzebował.

Srog zaczął rozprawiać o polityce, był to długi monolog, a Reece co chwila kiwał grzecznie głową, udając, że słucha. W rzeczywistości był jednak mocno rozkojarzony. Wciąż owładnięty myślami o Starze - nie potrafił wyrzucić jej ze swojej głowy. Nie mógł przestać myśleć o ich spotkaniu. Za każdym razem kiedy o niej pomyślał, czuł w sercu ogromną ekscytację.

Nie mógł też przestać myśleć, z przerażeniem, o zadaniu jakie miał do wykonania na kontynencie. Konieczność powiedzenia Selese - i wszystkim innym - że ślub zostanie odwołany. Nie chciał jej zranić. Niestety nie widział innego wyjścia.

- Reece?- powtórzył Srog.

Reece zamrugał i spojrział w jego kierunku.

- Słuchasz mnie? - zapytał Srog.

- Przepraszam - odpowiedział Reece. - O czym to mówiłeś?

- Zapytałem, czy twoja siostra dostała moje depecze.

Reece skinął głową, starając się skupić.

- Tak - odpowiedział. - Jest to powód, dla którego mnie tu przysłała. Poprosiła mnie, abym sprawdził co u ciebie, chciała dowiedzieć się z pierwszej ręki, co się dzieje.

Srog westchnął, wpatrując się w płomień.

- Jestem tu już od szczęściu miesięcy - powiedział - i mogę śmiało powiedzieć, że Wyspiarze nie są tacy jak my. Są MacGilami jedynie z nazwiska. Brakuje im cech twojego ojca. Nie chodzi tylko o to, że są uparci - po prostu nie można im ufać. Codziennie sabotują statki Królowej, szczerze mówiąc, sabotują wszystko, cokolwiek tutaj robimy. Nie chcą nas tutaj. Nie chcą mieć nic wspólnego z kontynentem - oczywiście oprócz najechania go. Wydaje mi się, że życie w zgodzie, nie

jest po prostu w ich stylu.

Srog westchnął.

- Tracimy tu tylko czas. Twoja siostra powinna odpuścić. Zostawić ich tu na pastwę losu.

Reece skinął głową, słuchał. Pocierał dłonie nad ogniskiem kiedy nagle słońce wyłoniło się zza chmur, a ciemność i ulewa zamieniły się w piękny, słoneczny letni dzień. W oddali zabrzmiał róg.

- Twój statek! - krzyknął Srog. - Musimy iść. Musisz odpłynąć zanim pogoda znów się zmieni. Odprowadzę cię.

Srog wyprowadził Reece'a z fortu bocznymi drzwiami. Reece był zdumiony, kiedy poraziło go jasne słońce. Wydawało się, jakby był piękny, letni dzień.

Reece i Srog szli szybko, obok siebie, za nimi kroczyło kilku ludzi Sroga. Kamienie chrupały pod ich stopami kiedy schodzili krętymi szlakami w dół wzgórza, kierując się w stronę oddalonego nieco wybrzeża. Minęli szare głazy, kamienne wzniesienia i klify obsiane kozami, które wspięły się na zbocza i meły trawę. Gdy zbliżyli się do brzegu, wszędzie wokół biły dzwony, ostrzegające statki o podnoszącej się mgle.

- Widzę, z jakimi warunkami musisz się zmagać - odezwał się w końcu Reece. -Widzę, że nie jest łatwo. Udało ci się trzymać to wszystko w kupie dużo dłużej niż komukolwiek wcześniej. To pewne. Dobrze sobie tutaj radzisz. Możesz być pewny, że przekażę to Królowej.

Srog z wdzięcznością skinął głową.

- Dziękuję, że to mówisz - powiedział,

- Dlaczego tutejsi ludzie są niezadowoleni? - spytał Reece. - Przecież są wolni. Nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy - po prawdzie, dostarczyliśmy im zapasy i ochronę.

Srog pokiwał głową.

- Nie spoczną dopóki Tirus nie będzie wolny. Uważają, że dopóki więziony jest ich przywódca, dotyka ich osobista potwarz.

- Powinni być szczęśliwi, że siedzi w więzieniu, a nie został stracony za zdradę.

Srog znów pokiwał głową.

- To prawda, jednak ci ludzie tego nie rozumieją.

- A jeśli byśmy go uwolnili? - spytał Reece. - Czy to spowodowałoby pokój?

Srog zaprzeczył.

- Wątpię. Myślę, że to tylko ośmieliłoby ich do tego, aby wyrazić niezadowolenie z jakiegoś innego powodu.

- Więc co należy zrobić? - zapytał Reece.

Srog westchnął.

- Opuścić to miejsce - powiedział. - Tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie podoba mi się to, co tutaj widzę. Czuję, że bunt wisi w powietrzu.

- Przecież znacznie przewyższamy ich liczbą mężczyzn i statków.

Srog pokręcił głową.

- To tylko złudzenie - powiedział. - Są doskonale zorganizowani. Są na swojej ziemi. Znają milion subtelnych sposobów na sabotaż, których nie możemy przewidzieć. Siedzimy tutaj, niczym w siedlisku węży.

- Nie jeśli mówimy o Matusie - powiedział Reece.

- To prawda- odpowiedział Srog. - Ale on jest jedynym

wyjątkiem.

Jest jeszcze jeden, pomyślał Reece, Stara. Jednak zatrzymał tę myśl dla siebie. Słuchając tego wszystkiego, coraz bardziej chciał uratować Starę, zabrać ją stąd tak szybko, jak tylko to możliwe. Przysiągł sobie, że to uczyni. Ale najpierw musiał powrócić do domu i uporządkować wszystkie swoje sprawy. Potem będzie mógł po nią wrócić.

Kiedy wkroczyli na piasek, Reece spojrzął w górę i zobaczył stojący przed nim statek. Jego ludzie czekali na niego.

Zatrzymał się, Srog odwrócił się w jego kierunku i ciepło ścisnął go za ramię.

- Podzielę się całą tą wiedzą z Gwendolyn - powiedział Reece. - Poinformuję ją o wszystkich twoich obawach. Wiem jednak, że jest zdecydowana na utrzymanie tych wysp. Postrzega je jako część większego planu dla Kręgu. Póki co musisz więc zachować tutaj spokój. Za wszelką cenę. Czego potrzebujesz? Więcej statków? Więcej ludzi?

Srog zaprzeczył.

- Nie, wszyscy ludzie i wszystkie statki tego świata nie są w stanie zmienić Wyspiarzy. Jedyłą rzeczą, która może



to uczynić, jest krawędź miecza.

Reece obejrzał się, przerażony.

- Gwendolyn nigdy nie zabije niewinnych ludzi - odparł.

- Wiem - odrzekł Srog - i właśnie dlatego obawiam się, że wielu naszych ludzi zginie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stara stała na murach fortecy swojej matki. Kwadratowej, kamiennej fortecy, tak starej jak ta wyspa. Było to miejsce, w którym mieszkała, odkąd zmarła jej matka. Dziewczyna szła wśród murów, szczęśliwa, że wreszcie ukazało się słońce. Patrzyła w stronę horyzontu i, przy wyjątkowo dobrej widoczności, obserwowała jak statek Reece'a odpływa coraz dalej. Patrzyła jak jego okręt odłącza się od floty, chciała patrzeć na niego tak długo jak tylko mogła. Obserwowała więc jak statek zbliża się do linii horyzontu, każda kolejna fala oddalała go od niej.

Mogłaby obserwować statek Reece'a przez cały dzień, jeśli tylko wiedziałyby, że on tam jest. Nie umiała znieść, że odpływa. Czuła się jakby część jej serca, część jej samej, opuszczała wyspę.

W końcu, po tych wszystkich latach, na tej samotnej, okropnej, jałowej wyspie, Stara czuła, że ogarnia ją radość. Spotkanie z Reecem sprawiło, że na nowo poczuła, że żyje. Spotkanie to zapełniło pustkę, którą Stara miała w sobie. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że przez te wszystkie lata owa pustka tak bardzo ją dręczyła. Teraz, kiedy wiedziała, że Reece odwoła ślub, kiedy wiedziała, że do niej wróci, że zostaną sobie poślubieni, że wreszcie będą ze sobą na zawsze, Stara wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Że wszystkie nieszczęścia, które musiała znosić w swoim życiu, były tego warte.

Musiała jednak przyznać, że pewna mała część niej czuła się źle z powodu Selese. Stara nigdy nie chciała zranić niczyich uczuć. Z drugiej strony, wiedziała, że stawką jest tutaj jej życie, jej przyszłość, jej mąż - wiedziała również, że to jedyne uczciwe wyjście z tej sytuacji. Koniec końców to ona, Stara, znała Reece'a przez całe swoje życie, odkąd byli dziećmi. To ona była Reece'a pierwszą i jedyną miłością. Ta druga dziewczyna, Selese, ledwie go znała i to w dodatku tylko przez chwilę. Na pewno nie znała go tak dobrze jak Stara. Nie mogła go tak dobrze znać.

Selese, tłumaczyła sobie Stara, zapomni o wszystkim i znajdzie sobie kogoś innego. Stara zaś, gdyby miała go stracić, nigdy by się z tym nie pogodziła. Reece był

całym jej życiem. Jej przeznaczeniem. Byli dla siebie stworzeni, tak było od zawsze. Reece najpierw był jej mężczyzną i, jak poostrzegła to Stara, to Selese chciała go jej odebrać, a nie na odwrót. Stara chciała tylko zabrać to, co już do niej należało. To, do czego miała pełne prawo.

Niestety, Stara nie potrafiła postąpić inaczej, choć próbowała. Niezależnie od tego co racjonalnie wydawało jej się dobre, a co złe, nie potrafiła się temu podporządkować. Przez całe jej życie wszyscy wokół - a także jej własny zdrowy rozsądek - powtarzali jej, że kuzyni nie powinni być razem. I nawet wtedy, nie mogła tego słuchać. Całym sercem kochała i uwielbiała Reece'a. Od zawsze. I nic co ktokolwiek miałby powiedzieć, nie było w stanie tego zmienić. Ona *musiała* być z nim. Nie było innej możliwości.

Kiedy Stara stała tam, patrząc w dal, obserwując jak jego statek robił się coraz mniejszy i mniejszy, usłyszała czyjeś kroki. Ktoś inny był na dachu fortecy. Zobaczyła, że to jej brat, Matus, który szybko podążył w jej kierunku. Ucieszyła się na jego widok, jak zawsze. Można powiedzieć, że Stara i Matus przez całe życie byli najlepszymi przyjaciółmi. Różnili się od reszty swojej rodziny, od reszty Wyspiarzy z Wysp Górnych. Oboje gardzili swoim rodzeństwem i swoim ojcem. Stara uważała, że oboje z Matusem są bardziej

dystyngowani i szlachetniejsi niż pozostali. Resztę rodziny postrzegała jako osoby zdradliwe i niegodne zaufania. Było to trochę tak, jakby tworzyli z Matusem małą rodzinę, wewnątrz rodziny.

Stara i Matus mieszkali na osobnych piętrach fortecy ich matki, w odosobnieniu od innych, którzy z kolei zamieszkiwali zamek Tirusa. Teraz, kiedy ich ojciec był w więzieniu, ich rodzina była podzielona. Jej pozostali bracia, Karus i Falus, winili ich za zaistniałą sytuację. Matusowi zawsze mogła ufać, wiedziała, że weźmie jej stronę. On też zawsze mógł na niej polegać.

Ci dwoje wiele razy rozmawiali o tym, aby opuścić Wyspy Górne i przenieść się na kontynent, dołączyć do tych drugich MacGilów. A teraz, nareszcie, wydawało się, że wszystkie te rozmowy mogą stać się rzeczywistością. Szczególnie po tych wszystkich sabotażowych działaniach, których Wyspiarze dopuścili się na flocie Gwendolyn. Stara nie mogła znieść myśli, że musi tu dłużej mieszkać.

- Bracie - Stara powitała go radośnie.

Jednak oblicze Matusa było niespotykanie zachmurzone, od razu spostrzegła, że coś go niepokoi.

- O co chodzi? - zapytała. - Co się stało?

Spojrzał na nią i potrząsnął głową z dezaprobatą.

- Myślę, że wiesz co jest nie tak, siostrzyczko - powiedział. - Nasz kuzyn. Reece. Co się między wami wydarzyło?

Stara zarumieniła się i odwróciła plecami do Matusa, na powrót patrzyła w stronę oceanu. Wychyliła się, usiłując dostrzec w oddali statek Reece'a. Jednak na próżno - zniknął już z pola widzenia. Przeszła przez nią fala gniewu, przegapiła ostatnie spojrzenie na Reece'a.

- To nie twoja sprawa - warknęła.

Matus nigdy nie pochwalał jej związku z kuzynem, a ona miała tego dość.

Był to jedyny punkt co do którego się nie zgadzali, jedyna rzecz, która ich od siebie oddalała. Nie obchodziło ją co Matus - czy ktokolwiek inny - sądził na ten temat. Nikogo nie powinno to obchodzić, tak długo, jak dotyczyło to tylko niej.

- Wiesz, że on bierze ślub, prawda? - Matus zapytał oskarżycielsko, zbliżając się przy tym do niej.

Stara potrząsnęła głową, aby odepchnąć od siebie tę okropną myśl.

- Nie ożeni się z nią - odpowiedziała.

Matus spojrzał na nią zdziwiony.

- Skąd wiesz? - naciskał.

Odwróciła się w jego kierunku. Była pewna siebie.

- Powiedział mi. A Reece nigdy nie kłamie.

Matus spojrzał na nią wstrząśnięty. Po chwili jego twarz zachmurzyła się.

- Czyli przekonałaś go żeby zmienił zdanie, tak?

Popatrzyła niepokornie na brata, była teraz wściekła.

- Nie musiałam go do niczego przekonywać -  
powiedziała. - Sam tego chciał. Dokonał wyboru. On  
mnie kocha. A ja kocham jego.

Matus zmarszczył brwi.

- Nie przeszkadza ci, że zniszczysz serce tej  
dziewczyny? Kimkolwiek ona jest.

Spojrzała gniewnie, nie chcąc tego usłyszeć.

- Reece kocha mnie dużo dłużej, niż tę nową  
dziewczynę.

Matus nie ustępował.

- A co z całym pieczołowicie przygotowanym planem na rozwój królestwa. Zdajesz sobie sprawę, że to nie jest tylko ślub. To polityczny teatr. Spektakl dla mas. Gwendolyn jest Królową i to jest również jej ślub. Ludzie z całego królestwa i z odległych krain wszystko to obserwują. Co się stanie jeśli Reece odwoła ślub? Myślisz, że Królowa przejdzie nad tym do porządku dziennego? A MacGilowie? Sprawisz, że cały Krąg pograży się w nieładzie. Nastawisz ich przeciwko nam. Czy twoje pragnienia są tego wszystkiego warte?

Stara patrzyła na Matusa, zimno, hardo.

- Nasza miłość jest silniejsza niż jakikolwiek spektakl. Niż jakiegokolwiek królestwo. Nie zrozumiałbyś. Nigdy nie kochałeś nikogo tak jak my siebie.

Teraz Matus całkowicie poczerwieniał. Potrząsnął głową, wyraźnie opanowała go furia.

- Popełniasz największy błąd swojego życia - powiedział. - I życia Reece'a. Pociągniesz ze sobą wszystkich na dno. Twoja decyzja jest głupia, dziecinna i samolubna. Twoja dziecięca miłość powinna przejść do przeszłości.

Westchnął zirytowany.

- Napiszesz obszerną wiadomość do Reece i wyślesz mu ją sokołem. Powiadomisz go, że zmieniłaś zdanie. Nakażesz mu poślubić tę dziewczynę. Kimkolwiek by ona nie była.

Starę ogarnął ogromny gniew. Była wściekła na brata, jak nigdy dotąd.

- Właśnie przekroczyłeś granicę - powiedziała. - Nie udawaj, że dajesz mi rady. Nie jesteś moim ojcem. Jesteś moim bratem. Odezwij się do mnie w ten sposób raz jeszcze, a możesz już nigdy więcej ze mną nie rozmawiać.

Matus patrzył na nią wyraźnie oszołomiony. Stara nigdy nie odzywała się go niego w ten sposób. I, z pewnością, wiedziała co mówi. Jej uczucia do Reece'a były dużo silniejsze niż jej więź z bratem. Dużo silniejsze niż cokolwiek innego w jej życiu.

Matus, zszokowany i zraniony, odwrócił się wreszcie na pięcie i wybiegł z dachu.

Stara popatrzyła znów w stronę morza, mając nadzieję, że uda jej się dojrzeć statek Reece'a. Wiedziała jednak, że już dawno zniknął za horyzontem.

Reece, - *pomyślała* - kocham Cię. Nie zbaczaj z kursu. Cokolwiek stanie na twojej drodze, nie zbaczaj z



obranego kursu. Bądź silny. Odwołaj ślub. Zrób to dla mnie. Dla nas.

Stara zamknęła oczy i zacisnęła dłonie, błagała, modliła się do każdego znanego jej boga, aby Reece miał siłę do wytrwania w swoim postanowieniu. Aby po nią wrócił. Aby wreszcie mogli być razem.

Niezależnie od tego, jaką cenę trzeba będzie za to zapłacić.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Karus i Falus, synowie Tirusa, szybko schodzili spiralnymi, kamiennymi schodami, coraz niżej i niżej, aż do lochów, w których przetrzymywany był ich ojciec. Byli wściekli z powodu poniżenia, jakiego doznawali schodząc do tego miejsca, aby spotkać się z ojcem, wielkim wojownikiem, który był prawowitym władcą Wysp Górnych. W milczeniu przysięgali, że się zemszczą.

Tym razem, przynosili nowiny, które mogły wszystko zmienić. Wieści, które wreszcie napawały jakąś nadzieją.

Karus i Falus maszerowali w dół aż dotarli do żołnierzy pełniących straż przy wejściu do więzienia. Mężczyzn

wiernych Królowej. Zatrzymali się, czerwoni od gniewu, byli wściekli, że musieli znosić poniżenie, którego wymagało poproszenie o widzenie z ojcem.

Ludzie Gwendolyn przepytali ich na różne okoliczności, a następnie skinęli do siebie głowami i wystąpili naprzód.

- Wyciągnijcie ręce - rozkazali Karusowi i Falusowi.

Ci wykonali polecenie, czekając aż strażnicy ich rozbroją.

Następnie żołnierze otworzyli zamki żelaznej bramy, po czym powoli ją uchylili. Pozwolili braciom wejść, zamykając bramę z trzaskiem i blokując ją za nimi.

Karus i Falus wiedzieli, że mają niewiele czasu. Mogli spędzić z ojcem jedynie kilka minut, jak zazwyczaj. Odwiedzali go raz w tygodniu, odkąd tylko został uwięziony. Po upływie tych kilku minut, ludzie Gwendolyn zawsze kazali im wychodzić.

Szli do końca długiego korytarza. Wszystkie cele, które mijali były puste, ich ojciec był jedynym osadzonym w tym starym więzieniu. W końcu dotarli do ostatniej celi po lewej stronie, ledwie oświetlonej przez migającą przy ścianie pochodnię. Odwrócili się w stronę krat i z uwagą zaczęli oglądać pomieszczenie, w poszukiwaniu

swojego ojca.

Powoli Tirus wyszedł z ciemnego zakamarka celi i podszedł do krat. Spojrzał na nich. Jego twarz była wychudzona, broda zaniedbana, był ponury. Patrzył na nich bez nadziei, wyglądał na człowieka, który wiedział, że już nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Karusowi i Falusowi serce krajało się na ten widok. Wszystko to sprawiło, że jeszcze bardziej pragnęli znaleźć sposób, aby go uwolnić i zemścić się na Gwendolyn.

- Ojcie - powiedział Falus z nadzieją w głosie.

- Przynosimy najnowsze wieści - dodał Karus.

Tirus spojrział na nich, wyczuwając dźwięk nadziei w ich tonie.

- Mówcie zatem - warknął.

Falus odchrząknął.

- Wygląda na to, że nasza siostra na nowo zakochała się w naszym kuzynie, Reece'u. Szpiedzy przekazali nam, że planują wziąć ślub. Reece ma zamiar odwołać swój ślub na kontynencie i zamiast tego poślubić Starę.

- Musimy znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać - powiedział oburzony Karus.

Tirus patrzył na nich bez wyrazu, ale mogli dostrzec, że jego oczy zwężyły się, kiedy

usłyszał to wszystko.

- Czyżby? - Powiedział powoli Tirus. - A to niby dlaczego?

Bracia spojrzeli na ojca skonfundowani.

- Jak to dlaczego? - zapytał Karus.- Nasza rodzina nie może połączyć się z Reecem. Byłoby to na rękę Królowej. Nasze rodziny zostałyby zespolone i Gwendolyn uzyskałaby całkowitą kontrolę nad sytuacją.

- To sprawiłoby, że utracilibyśmy ostatnią uncję niepodległości, jaką w tej chwili wciąż mają nasi ludzie - wtrącił Falus.

- Pierwsze kroki zostały już powzięte - dodał Karus. - A my musimy znaleźć sposób, aby ich powstrzymać.

Czekali na odpowiedź, jednak Tirus jedynie powoli pokręcił głową.

- Głupi, głupi chłopcy, - powiedział powoli, jego głos

stawał się coraz bardziej ponury, nie przestawał potrząsać głową - dlaczego wychowałem tak głupich chłopców? Czy naprawdę niczego was nie nauczyłem przez te wszystkie lata? Wciąż patrzycie tylko na to co znajduje się przed wami, a nie na to co za tym stoi.

- Nie rozumiemy o czym mówisz, Ojciec.

Tirus się skrzywił.

- To jest właśnie powód, dla którego znalazłem się w tej pozycji. To jest powód, dla którego teraz to nie wy władacie. Przeszkodzenie w zawarciu tego przymierza byłoby najgłupszą rzeczą jaką zrobilibyście w życiu i najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się przydarzyć naszej wyspie. Jeśli nasza Stara poślubi Reece'a, będzie to najlepsza rzecz jaka w chwili obecnej może się przydarzyć nam wszystkim.

Spojrzeli na siebie zdziwieni, niczego z tego nie rozumieli.

- Najlepsza? Jak to?

Tirus westchnął zniecierpliwiony.

- Jeśli nasze dwie rodziny się połączą, Gwendolyn nie będzie mogła trzymać mnie w więzieniu. Nie będzie miała wyboru i będzie musiała mnie uwolnić. To

wszystko zmieni. Nie odrze nas to z siły - ale nam jej doda. Będziemy uznanymi MacGilami, będącymi na takich samych prawach jak ci z kontynentu. Gwendolyn będzie w stosunku do nas zobowiązana. Nie widzicie tego? - zapytał. - Dziecko Reece'a i Stary będzie tak samo naszym potomkiem, jak i ich.

- Ale Ojczy, to jest nienaturalne. Oni są kuzynami.

Tirus pokiwał głową.

- Polityka nie ma nic wspólnego z naturą, synu. Ta unia musi się zawiązać - nalegał z przekonaniem w głosie. - A wy dwaj zrobicie wszystko co w waszej mocy, aby to właśnie się stało.

Karus odchrząknął, zdenerwowany, niepewny.

- Ale Reece właśnie odpłynął na kontynent - powiedział.  
- Jest za późno. Reece, jak słyszeliśmy, już podjął decyzję.

Tirus podniósł się i uderzył w żelazne kraty z taką siłą z jaką życzyłby sobie uderzyć Karusa w twarz. Karus odskoczył zaskoczony.

- Jesteście nawet głupszy, niż mi się wydawało - powiedział Tirus. - Sprawicie że to się stanie. Macie mieć co do tego całkowitą pewność. Mężczyźni

zmieniali zdanie, w ważniejszych kwestiach. I wy macie mieć pewność, że Reece zdanie zmieni.

- Jak to zrobić? - zapytał Falus.

Tirus stał tam zastanawiając się co zrobić. Pocierał swoją brodę przez dłuższą chwilę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy jego oczy pracowały, skupione, myślące, układające plan. Po raz pierwszy w jego oczach pojawiły się nadzieja i optymizm.

- Ta dziewczyna, Selese, ta z którą ma się ożenić, - powiedział w końcu Tirus - ona musi się dowiedzieć. Odnajdziecie ją. I dostarczycie jej dowód... dowód miłości Reece'a i Stary. Powiecie jej o tym pierwsim, zanim on do niej dotrze. Musicie być pewni, że dziewczyna się dowie, że Reece kocha inną. W taki sposób, nawet jeśli Reece by się rozmyślił i tak będzie już za późno. Będziemy mieli pewność, że się rozstaną.

- Ale skąd mamy wziąć dowód ich miłości? - zapytał Karus.

Tirus potarł brodę myśląc. W końcu się poderwał.

- Pamiętacie te zwoje? Te, które przechwyciliśmy kiedy Stara była młoda? Te listy miłosne, które pisała do Reece'a? I te, które on odpisywał do niej?

Karus i Falus skinęli głowami.

- Tak, - powiedział Falus - przechwytywaliśmy sokoły.

Tirus skinął głową.

- Są schowane w moim zamku. Zanieście jej te listy. Powiedzcie jej, że są aktualne i zróbcie to w przekonujący sposób. Dziewczyna nigdy nie odgadnie ich wieku - i wszystko będzie załatwione.

Karus i Falus w końcu pokiwali głowami, uśmiechając się, rozumiejąc sposób myślenia ich ojca, jego spryt i mądrość.

Tirus również się do nich uśmiechnął. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

- Nasza wyspa rozkwitnie na nowo.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Thor siedział na grzbiecie swego konia i prowadził go wzdłuż rzędu kandydatów do Legionu. Wszyscy ci chłopcy stali przed nim w szeregu na baczność, na nowej arenie Legionu.



Thor spoglądał na dziesiątki nowych twarzy, analizując wnikliwie każdą z nich - czuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Nowi rekruci przybyli tutaj z całego Kręgu. Wszyscy chętni, aby dołączyć do odbudowywanego Legionu. Wybranie nowych żołnierzy było trudnym zadaniem - wszak to oni będą stanowili w najbliższych latach podporę Kręgu.

Jakaś część Thorgrina czuła, że nie zasługuje, aby tutaj być. Przecież nie tak wiele miesięcy temu on sam tak stał, mając nadzieję, że zostanie wybrany do oddziału. Kiedy myślał o tym teraz, wydawało mu się, że od tego czasu minęły wieki. Było to zanim spotkał Gwen, zanim urodziło mu się dziecko, zanim został wojownikiem. Teraz to jemu powierzono odbudowę Legionu, to on ma wskazać ludzi, którzy zastąpią wszystkie dzielne dusze, które zginęły w obronie Kręgu.

Kiedy Thor przyglądał się chłopcom, ujrzał cmentarz, który wzniósł. Nagrobki wystawały z ziemi lśnić w późnopopołudniowym słońcu. Zawsze będą przypominały im o minionym Legionie. To Thor wymyślił, aby pochować ich tutaj, na obrzeżach nowej areny - dzięki temu zawsze będą obecni, na zawsze zostanie zachowana ich pamięć i zawsze będą towarzyszyli nowym rekrutom. Thor czuł nad sobą ich ducha, pomagali mu, motywowali go.

Cieszył się, mając świadomość, że jego bracia z Legionu, Reece, Conven, Elden i O'Connor zostali wysłani w różne części Kręgu, aby załatwić konkretne sprawy. On sam mógł tutaj pozostać, być blisko domu i skupić się na swoich zadaniach. Był Kapitanem Legionu, więc dość naturalne było to, aby to właśnie jemu powierzyć odpowiedzialność nad odbudową formacji.

Thor patrzył na dziesiątki stojących przed nim chłopców. Z niektórymi wiązał już pewne nadzieje, niestety nie ze wszystkimi. Starali się najlepiej jak mogli, aby zwrócić jego uwagę, kiedy się do nich zbliżał. Wiedział już, że niektórzy z nich nigdy nie będą wojownikami; inni zaś mogą nimi być, potrzebują tylko odpowiedniego treningu. W ich oczach można było dostrzec niepokój, strach przed tym, co nastąpi.

- Panowie, - krzyknął Thor - bo wszyscy jesteście już *mężczyznami*, niezależnie od swojego wieku. Dzień, w którym weźmiecie do ręki broń, aby chronić swojej ojczyzny, aby wraz z braćmi ryzykować życie, będzie dniem, w którym staniecie się mężczyznami. Jeśli wstąpicie do Legionu, będziecie mężnie walczyć o honor. To właśnie to, co odróżnia mężczyzn od młodzieńców. Czy to jasne?

- TAK JEST! - krzyknęli.

- Walczyłem u boku mężczyzn, którzy byli dwa razy starsi ode mnie - kontynuował Thor. - To, że byli starsi nie sprawiło, że byli bardziej mężni niż ja. Nie uczyniło ich to lepszymi ode mnie wojownikami. Mężczyzną staje się ten, kto bierze na siebie wiele obowiązków, a lepszym wojownikiem ten, który nieustannie doskonali swoje umiejętności.

- TAK JEST!

Thor prowadził swego konia powoli, w górę i w dół szeregów, obserwował, przyglądał się każdemu rekrutowi, patrzył im w oczy.

- Uzyskanie miejsca w Legionie to rzecz święta. Nie ma większego zaszczytu, jakim mógłby obdarzyć Krąg. Nikt nie dostaje tego za darmo. To więcej niż pozycja. To kodeks. Kodeks braterstwa. Jeśli zostaniesz przyjęty, nie będziesz żyć po to, aby chronić siebie. Będziesz żyć po to, aby chronić swoich braci.

- TAK JEST!

Thor zsiadł z konia. Szedł powoli, odwrócił się i spojrzął na znajdującą się za nim przestrzeń, na nowo odbudowaną arenę.

- Tam, w oddali, znajduje się kilkanaście celów. Przed wami na ziemi leżą włócznie, po jednej dla każdego z

was. Macie jedną szansę, aby trafić do celu. Pokażcie na co was stać - powiedział Thor, a następnie odsunął się na bok i obserwował.

Chłopcy ruszyli przed siebie, prześcigali się, chcąc pochwycić jedną z włóczni leżących na ziemi. Byli podekscytowani. Każdy ciskał bronią, każdy chciał być pierwszym, któremu uda się dobyć uformowanego z siana celu, oddalonego o jakieś trzydzieści jardów.

Thor okiem profesjonalisty oceniał ich technikę rzutu. Nie zdziwiło go to, że prawie wszyscy chybili.

Jedynie niewielkiej garstce chłopców udało się trafić do celu. Jednak żaden z nich nie rzucił w środek. Thor powoli pokiwał głową. Widział, że będzie to długi i wyczerpujący proces. Zastanawiał się czy w ogóle kiedykolwiek będzie w stanie znaleźć młodzieńców, którzy godnie zastąpią swoich poprzedników. Musiał przypomnieć sobie, jak on i jego bracia prezentowali się pierwszego dnia swojej służby.

- Weźcie swoje włócznie, wróćcie tu i spróbujcie jeszcze raz.

- TAK JEST!

Sprintem pobiegli po broń na drugą stronę areny, a kiedy Thor ich obserwował, dotarł do niego głos.

- Thorgrin.

Thor rozejrzał się i zobaczył twarz chłopca, którego ledwie mógł poznać, chłopca, który spoglądał na niego z nadzieją.

- Pamiętasz mnie?

Thor zmrużył oczy, starając się dopasować twarz do imienia.

- Ja ciebie pamiętam - powiedział chłopiec. - Uratowałeś mi życie. Ty mogłeś o tym zapomnieć, ale ja nie zapomnę tego nigdy.

Thor coś zaczynał sobie przypominać.

- Gdzie to było? - zapytał.

- Spotkaliśmy się w lochach - powiedział chłopiec. - Zostałeś oskarżony o zabicie Króla MacGila. Ja przebywałem tam pod zarzutem kradzieży. Uratowałeś moją dłoń, którą chciano mi odciąć. Była to łaska, której nigdy nie zapomnę.

Thor wszystko już sobie przypomniał.

- Merek! - powiedział. - Merek złodziej!

Merek skinął głową i uśmiechnął się. Wyciągnął dłoń, a Thor ją uściskał.

- Przyszedłem odpłacić się za przysługę - powiedział Merek. - Słyszałem, że rekrutujesz do Legionu. Zgłaszam się na ochotnika.

Thor spojrział na niego zdziwiony.

- Myślałem, że jesteś złodziejem.

Merek uśmiechnął się.

- A jaka umiejętność lepiej przyda ci się w Legionie? Ostatecznie walka polega na kradnięciu ludziom broni i kradnięciu im odwagi. Złodziej jest szybki i odważny. Gotowy pójść tam, gdzie inni pójść nie chcą. Jest przebiegły i nieustraszony. Złodziej bierze to, czego inni sobie jedynie życzą. Nie pyta o pozwolenie. I nie waha się. Czy nie są to cechy potrzebne do zwycięstwa?

Thor przyjrzał mu się wnikliwie, myśląc o tym, co usłyszał.

- Masz biegłość w posługiwaniu się słowem - powiedział Thor. - To ci przyznaję. I doskonale to przemyślałeś. Ale jednak czegoś nie dostrzegasz. Najważniejszej rzeczy, jeśli mam być szczery. I jest to coś, czego złodzieje nie posiadają. Honor. Sercem i

duszą wojownika włada honor. A złodzieje honoru nie posiadają.

Thor westchnął.

- Mógłbyś być najlepszym wojownikiem, spośród wszystkich tu obecnych - powiedział Thor - Ale nie mogę pozwolić na to, abyś stanowił plamę na naszym honorze.

Thor odwrócił się, ale Merek położył swoją dłoń na jego ramieniu.

- Proszę, - powiedział Merek - daj mi jedną szansę. Wiem, że moje dotychczasowe wybory nie miały nic wspólnego z honorem. Ale moja rodzina znalazła się w skrajnej sytuacji i musiałem im pomóc. Nie miałem wyboru. I nie można mnie za to winić. Łatwo mówić o honorze siedząc w luksusach zamkowej wieży i patrząc z góry na tych, którzy nie mają niczego. Nikt niczego mi w życiu nie dał. Musiałem sam sięgnąć po to, co moje.

Thor skrzywił się.

- Mnie również nikt niczego nie dał - odpowiedział. - A pomimo tego, nigdy niczego nie ukradłem.

Merek przełknął ślinę, zdesperowany.

- I właśnie dlatego proszę o wybaczenie - powiedział. - I przysięgam zmienić mój sposób postępowania.

Thor spojrział na niego.

- Dobrze usłyszałeś - powiedział Merek. - Przysięgam nigdy już niczego nie ukraść jeśli przyjmiesz mnie do Legionu. Nie przyszedłem tutaj kraść. Przyszedłem, bo pragnę lepszego życia. Chcę zostawić moje stare życie za sobą. Chcę stać się lepszym człowiekiem.

Thor popatrzył na niego. Zastanawiał się. Pamiętał kiedy on sam prosił o miejsce, o tę jedną szansę, niezależnie czy na nią zasługiwał czy nie.

- Jesteś bardzo zdeterminowany - powiedział Thor. - I wydaje się, że mówisz szczerze. Masz rację, że wszyscy popełniają błędy i wszyscy zasługują na drugą szansę - Thor pokiwał głową. - Dam ci tę szansę. Możesz spróbować. Ale jeśli tylko nadużyjesz mojego zaufania, wylecisz natychmiast.

Merek uśmiechnął się szeroko i poklepał Thora po ramieniu.

- Dziękuję! - powiedział. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Thor odwzajemnił jego uśmiech.



A teraz chwytaj za włócznie, tak jak pozostali.  
Zobaczmy co potrafisz.

Merek z radością podbiegło do grupy chłopców i chwycił za broń.

Merek rzucał jako ostatni. Thor z zainteresowaniem obserwował, jak jego włócznia leci w powietrzu, by ostatecznie trafić w sam środek celu.

Strzał w dziesiątkę.

Wszyscy inni chłopcy patrzyli na niego zszokowani. Thor również spojrział ze zdziwieniem. Także był zaskoczony. I pełen podziwu.

- Jeszcze raz - krzyknął Thor, chcąc sprawdzić czy był to przypadek i czy inni chłopcy będą potrafili zbliżyć się do tego wyniku.

Rekruci ponownie pobiegli po swoje włócznie. Kiedy Thor się odwrócił, zobaczył samotnego malca, który przechodzi przez bramy areny treningowej Legionu i idzie wprost w jego kierunku. Thor rozpoznał tego chłopca, stojącego tam w brudnych ubraniach z twarzą pokrytą kurzem. Nie umiał sobie jednak przypomnieć, skąd go znał.

Chłopiec spojrział na niego.

- Przyszedłem sprawdzić czy nadaję się do twojego Legionu, tak jak mnie zaprosiłeś.

Thor przyglądał się małemu starając się gdzieś go przyporządkować. Był mniejszy i młodszy niż pozostali.

- Ja cię zaprosiłem? - zapytał Thor.

- Powiedziałeś, że powinienem przyjść spróbować. Nie pamiętasz? W Imperium. W chacie mojego ojca. Ocaliłem twoją grupę przed potworami dżungli. Przepłynąłem ocean, aby cię odnaleźć. Wiem, że jestem młody. Ale pozwól mi spróbować, tak jak innym.

Thor patrzył na niego oniemiały. Wszystko mu się przypomniało.

- Ario? - zapytał.

Ario skinął na potwierdzenie.

Thor był zadziwiony. Ledwie potrafił uwierzyć, że ten chłopiec przemierzył cały świat, aby tu dotrzeć. To mówiło samo za siebie. Pamiętał tego chłopca z Imperium - był zwinny, nieustraszony i wyczulony na każdy hałas. No i pamiętał go jako dzieciaka, który uratował ich przed Gathorbeast. Gdyby nie ten chłopak, wszyscy byliby martwi.

A z drugiej strony, Ario wydawał się taki mały i młody.

Thor jednym okiem spoglądał na dużą grupę chłopców, którzy właśnie kończyli kolejną rundę rzucania włóczniami. Tym razem nieco polepszyli swój wynik - wielu więcej udało się trafić w cel, a w Thora zaczęła wstępować jakaś nadzieja.

- Łuki i strzały! - krzyknął Thor.

Wszyscy chłopcy odwrócili się i pobiegli do długiego rzędu łuków i strzał leżących na ziemi z boku. Następnie obrali znajdujące się w oddali cele.

Wszyscy na raz wystrzelili, a Thor tylko pokiwał głową, widząc, jak wielu z nich spuściło łuk.

Thor spojrzał na Aria, który wciąż stał w tym samym miejscu.

- Pamiętam - powiedział. - Wszyscy zawdzięczamy ci życie, Ale jesteś jeszcze za młody. I za mały. Obawiam się, że mogłaby stać ci się krzywda, chłopcze. Proszę jednak, abyś wrócił kiedy nieco podrośniesz - no i będziesz starszy. Przykro mi, że musiałeś przebyć tak długą drogę, aby tu dotrzeć. Jednak nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Ario zmarszczył brwi.

- Nadaję się dużo bardziej, niż którykolwiek z tych chłopców! - krzyknął pewny swego.

Thor uśmiechnął się.

- Tak?

Thor kiwnął w stronę łuków.

- Czy w takim razie trafisz bliżej celu niż pozostali?

Ario również się uśmiechnął.

- Daj mi szansę.

Thor westchnął.

- Dobrze - powiedział poddając się. - Jedna szansa.

Ario ruszył do przodu, chwycił łuk, nałożył strzałę i wystrzelił, ledwie zwalniając, aby obrać cel.

Thor obserwował jak strzała sunie w powietrzu i mija cel. Wtedy zrozumiał, że Ario obrał cel, który był oddalony najbardziej ze wszystkich - i trafił w sam jego środek.

Thor spojrzał z powrotem na chłopca z ustami otwartymi ze zdziwienia. Nigdy w życiu nie widział tak

doskonałego strzału.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- W dżungli musisz umieć strzelać. To sposób na przetrwanie. Dla tych chłopaków to kwestia treningu, dla mnie jest to sprawa życia i śmierci.

Thor z uznaniem skinął głową.

- Udowodniłeś, że się myliłem - powiedział. - Możesz dołączyć do reszty.

Ario uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję, panie - powiedział zadowolony. - Nie zawiodę cię!

Ario pobiegł dołączyć do reszty.

- Idźcie po swoje strzały i strzelajcie jeszcze raz! - krzyknął Thor, a wszyscy od razu włączyli się do działania.

- Thorgrin!

Thor odwrócił się, rozpoznawszy wołający go głos. Był

zdziwiony kiedy zobaczył, że Erec i Kendrick z powagą stoją naprzeciw niego w zbrojach.

- Czy mógłbyś na kilka chwil porzucić sprawy Legionu?  
- spytali. - Mamy do ciebie sprawę. Chodź z nami.  
Musimy przedyskutować z tobą coś ważnego.

Thor zastanawiał się o co może chodzić. Nigdy wcześniej nie prosili go na bok.

Thor obejrzał się przez ramię na chłopców.

- Nie martw się - powiedział Kendrick. - Zaraz do nich wrócisz.

Thor odwrócił się w stronę rekrutów.

- Panowie, nie przestawajcie strzelać! - wrzasnął. -  
Macie to robić tak długo, aż nie wrócę.

Następnie odwrócił się i poszedł z Kendrickiem i Ereciem. Jego serce przyspieszyło swój rytm, zaczął zastanawiać się gdzie u licha mogą prowadzić go ci dwaj mężczyźni, których szanował bardziej, niż kogokolwiek na świecie.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Thor podążał za Ereciem i Kendrickiem po krętej leśnej ścieżce, którą go prowadzili. Był ciekaw dokąd zdużąją. Wiedział, że Erec i Kendric byli ostatnio zajęci sprawami związanymi ze Srebrnymi. Przyszło mu więc na myśl, że może potrzebują pomocy w tym zakresie.

Kendrick, który zazwyczaj jest dość gadatliwy, tym razem prawie się nie odzywał, co sprawiało, że sprawa stawała się jeszcze bardziej zagadkowa. Żaden z nich nie powiedział dokąd się udają, co również było do nich zupełnie niepodobne. Od czasu kiedy ich poznał, Thor przekonał się, że Erec i Kendrick traktują go jak brata i bardzo go szanują. Nie rozumiał więc o co w tym wszystkim chodzi. Czy miała to być reprimenda? Czy popełnił jakiś błąd podczas odbudowywania Legionu? Czy może postanowili wybrać kogoś innego na to stanowisko?

W końcu Kendrick odchrząknął.

- Zanim poślubisz moją siostrę, - Kendrick odezwał się idąc obok Thora - musi stać się coś bardzo ważnego. Moja siostra postrzega cię jako osobę, która zasługuje na tę samą pozycję w społeczeństwie co ona. Sam z siebie powinieneś jednak posiadać odpowiednią ragę.

Thor obejrzał się za siebie, był zdziwiony. Niczego z tego nie rozumiał.

Pojawiła się przed nimi leśna polana, gdzie, ku zdziwieniu Thora, znajdowało się dwunastu członków Srebrnych. Oczekiwali na niego w swoich błyszczących zbrojach, które odbijały promienie popołudniowych słońc. Wszyscy wyglądali dość beznamiętnie, co pogłębiło uczucie lęku u Thora. O co mogło chodzić? Czy może nie podobało im się, że Andronicus jest jego ojcem?

Zmieszanie Thora było jeszcze większe, kiedy zobaczył między nimi Aberthola w towarzystwie kilku członków Wielkiej Rady Królowej. Zaś najbardziej zaskakujące ze wszystkiego, było to, że stał pośród nich również Argon, który bardzo intensywnie przyglądał się Thorowi. Jego oczy lśniły, a w ręce ścisnął laskę.

Thor nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma się tu odbyć skierowany przeciw niemu proces.

- Czy zrobiłem coś nie tak? - Thor zapytał Ereca i Kendricka, kiedy ci do niego podeszli.

Kendrick pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział. - Jesteś prawdziwie szlachetnym wojownikiem i to od pierwszego dnia, w którym przyjechałeś do Królewskiego Dworu. Bezinteresownie broniłeś naszej ojczyzny. Walczyłeś



przeciw Imperium. Sprowadziłeś smoki. Odbudowałeś Tarczę i powróciłeś z Mieczem Przeznaczenia. A to wszystko w stosunkowo krótkim czasie.

Erec wystąpił do przodu i położył rękę na ramieniu Thora.

- Thorgrinie, najwyższy czas, abyś uzyskał tytuł i pozycję, które oddadzą to, kim jesteś. Nie jesteś już dłużej zwykłym chłopcem. Nie będziesz już dłużej zwykłym członkiem Legionu.

Erec przyglądał się Thorowi z uwagą, temu zaś serce waliło jak oszalałe - cały czas zastanawiał się o co w tym wszystkim chodzi.

- Thorgrinie, - powiedział Kendrick - nadszedł czas, abyś wstąpił w nasze szeregi. Nadszedł czas, abyś przystąpił do najbardziej elitarnej formacji wojskowej Kręgu. Nadszedł czas, abyś dołączył do Srebrnych.

Thor stał tam, oglądał się wokoło, ledwie był w stanie zebrać myśli, usłyszane słowa dzwoniły mu w uszach. Srebrni. Nie było to coś czego się spodziewał - szczerze mówiąc, *w ogóle* się tego nie spodziewał. To był zaszczyt zarezerwowany dla największej królewskiej elity, dla szlacheckich synów, synów królów, legendarnych bohaterów. Dla najwspanialszych

wojowników, którzy kiedykolwiek służyli Kręgowi. Był to zaszczyt, o którym większość mogła tylko marzyć, zaszczyt, który Thor mógł ledwie pojąć i którego nie spodziewał się dostąpić w całym swoim życiu.

Kiedy tak stał, twarzą w twarz z tymi ludźmi, słowa ugrzęzły mu w gardle. Nie miał pojęcia co powiedzieć.

- Do Srebrnych? - powtórzył. - Ja?

Erec i Kendrick uśmiechnęli się i skinęli głowami.

Gdyby nie ci wszyscy wspaniali mężczyźni, którzy stali na leśnej polanie obok jeziora, Thor pomyślałby, że to jakiś dowcip.

Jednak zważając na powagę wszystkich tych ludzi, mógł wnioskować, że jednak nie był to żart.

Thor spojrział na nich - nigdy, w całym swoim życiu, nie czuł się bardziej akceptowany i bardziej uhonorowany. Nie istniał żaden przywilej, o którym mógłby marzyć bardziej niż o tym, aby stać się jednym z tych doskonałych wojowników. Aby mieć ten sam stopień, nosić ich zbroję, ich oznaczenia, ich broń. Aby stać się członkiem Srebrnych

- Czy przyjmujesz ten zaszczyt? - zapytał Kendrick.

Thor skinął głową, ledwie radząc sobie z emocjami.

- Nie potrafię wyobrazić sobie większego zaszczytu, panie - powiedział schylając głowę.

Kendrick odsunął się na bok, a w ślad za nim poszła reszta - opuścili ścieżkę, a kiedy to uczynili, Thor zobaczył za nimi lśniące czerwone jezioro. Było niewielkie, mistyczne, spowite delikatną mgłą, Thor od razu je rozpoznał - było to Święte Jezioro. Magiczne miejsce, zarezerwowane dla elit, ukryte głęboko w lesie. Ludzie, którzy o nim wiedzieli, przychodzili tu, by modlić się do bogów o wewnętrzną przemianę.

Argon stanął na jego brzegu.

- Podejź - skinął na Thora.

Thor podszedł do niego powoli, mężczyźni rozstępowali się, aż dotarł do brzegu wody. Argon wyciągnął rękę i położył ją na czole Thora, a następnie zamknął oczy.

Thor poczuł intensywną energię, palące ciepło wypływające z dłoni Argona. Promieniowało ono do jego ciała. Thor również zamknął oczy i starał się skupić.

Argon zaczął wypowiadać pod nosem starożytną pieśń. Jego surowy, dudniący głos przeszywał ciszę letniego popołudnia.

- W świetle siedmiu brzasków, dzięki łasce zachodniego wiatru...

Argon załamywał intonowaną pieśń, zatrzymywał ją i rozpoczynał, aż Thor całkowicie zagubił się w ceremonii. Argon przeszedł na starożytny, martwy język, więc Thor nie rozumiał kolejnych słów. Potrafił jednak rozpoznać ich ton, była to część formalnego, rytualnego języka Kręgu. Starożytny język zarezerwowany dla królów i świętych wydarzeń.

Argon recytował śpiewnie przez długi czas, a Thor czuł jakby wtapiał się w jego dłoń, jakby oddał mu swój mózg, jakby się zmieniał i stawał kimś innym.

Wreszcie Argon przestał śpiewać, następnie powoli ściągnął swoją dłoń.

Thor otworzył oczy. Świat wypełniony był intensywnym, jasnym światłem. Zobaczył stojącego i spoglądającego w dół Argona.

- Thorgrinie z Zachodniego Królestwa Kręgu - Argon odezwał się oficjalnym tonem - dostępujesz najwyższego zaszczytu Kręgu. Zostajesz włączony w

społeczność, której członkiem był każdy panujący Król. Zostajesz wpuszczony do świętego braterskiego kręgu, zostajesz mianowany jednym z najznamienitszych wojowników wszechczasów. Będziesz najmłodszym członkiem, który kiedykolwiek dołączył do Srebrnych. Jest to zaszczyt, którego nigdy nie można się zrzec. Zaszczyt, który pozostanie przy tobie przez całe życie, i przez czas, który nadejdzie po nim. W związku z tym, pytam cię: Czy przyjmujesz ten zaszczyt?

- Tak - odpowiedział Thor.

- Czy przysięgasz przestrzegać zasad Srebrnych, chronić słabszych, być orędownikiem biednych, oddać swe życie za swoją rodzinę, za swoich ludzi i za każdą kobietę, która znajdzie się w niebezpieczeństwie?

- Przysięgam - odpowiedział Thor.

- Czy przysięgasz bronić swoich towarzyszy broni, i oddać za nich życie?

- Przysięgam.

- Czy przysięgasz, że każdą krzywdę wyrządzoną twoim braciom, będziesz traktował jak krzywdę wyrządzoną tobie?

- Przysięgam.

Argon przerwał i trwał w ciszy. Zamknął oczy.

Wreszcie skinął głową.

- Pójdź za mną - powiedział.

Argon odwrócił się. Thor obserwował, zadziwiony, jak Argon wchodzi na taflę wody. Nie umiał uwierzyć w to co widzi: Argon szedł po jeziorze i nie tonął, jego stopy stapały po wodzie, tak, jakby szedł po suchej ziemi.

Thorgrin obserwował go, a następnie podążył za nim. Wszedł do jeziora - nie potrafił unosić się na nim, tak jak Argon. Woda była nienaturalnie zimna jak na letni dzień. Wchodził coraz dalej, głębiej i głębiej, nie zważał na szczękające zęby, wreszcie stanął obok Argona, woda sięgała mu do klatki piersiowej.

Argon wyciągnął swoją laskę, umieścił jej dół na czubku głowy Thora, a następnie delikatnie zaczął ją naciskać.

- Zanurz się Thorgrinie - rozkazał - i wynurz się jako członek Srebrnych. Wynurz się jako Lord. Wynurz się jako Rycerz.

Thor poczuł jak Argon wkłada jego czoło pod wodę, poddał się temu.

Thor zanurzył się i po chwili jego głowa w całości znajdowała się pod wodą. Poczł spokój na całym cieie. Pozostał tam przez kilka sekund, a laska Argona przytrzymała go w dole.

Thor znajdował się pod wodą, czuł, że jego całe życie się zmienia, że przelatuje mu przed oczyma. Czuł, jakby zostawiał za sobą jedną osobę i stawał się kimś innym.

Argon podniósł swoją laskę, a Thor wynurzył się nad wodę, łaknąc powietrza. Stał tam, z wodą wpływającą mu do oczu i oddychał głęboko.

Kiedy się wynurzył, słońce przebiło się przez chmury nad jeziorem. Thorowi nie było już zimno. Odwrócił się, spojrział w tył. Kiedy ujrzał wszystkich swoich braci, stojących w zbrojach na brzegu i z radością spoglądających w jego kierunku - wydawało mu się, że urodził się na nowo.

Wreszcie znalazł się w miejscu, do którego należy.

Wszyscy unieśli w górę swe pięści.

- THORGRIN! - krzyknęli - THORGRIN!

\*

Thorgrin, wciąż szczęśliwy po ceremonii, siedział w

małym kamiennym warsztacie Brendana - królewskiego płatnerza - ogrzewając się obok huczącego na palenisku ognia. Był ubrany w nowe, suche ubrania, które dostał, aby móc spokojnie obserwować proces powstawania jego zbroi. W izbie siedzieli z nim Erec i Kendrick, którzy przyprowadzili go tutaj zaraz po ceremonii i którzy również obserwowali pracę płatnerza.

Brendan był niskim, korpulentnym mężczyzną po pięćdziesiątce, z wielkim brzuchem, łysiejącą głową i długą czarną brodą. Siedział pochylony w swojej kuźni, wykonując swoją pracę, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie. Kiedy tak siedział, skrupulatnie wyjaśniał do czego służy każdy kawałek zbroi i z czego jest zrobiony.

Pracował nad kilkunastoma małymi częściami na raz - podnosił je, sprawdzał, dopasowywał do postury Thora, a następnie zabierał je i poprawiał.

Brendan kładł ostatnie sznyty na najbardziej lśniącej, najpiękniejszej, bogato zdobionej srebrnej zbroi, jaką Thor kiedykolwiek widział. Mieniła się nad paleniskiem, a Thor z ledwością mógł uwierzyć, że jest ona przeznaczona dla niego. Kiedy Brendan uderzył w nią młotem, spłaszczając ją na kamieniu, tak aby osiągnąć odpowiedni kąt nachylenia, dźwięk odbił się po całej izbie.



- Srebrni muszą nosić najwspanialsze zbroje jakie widział świat - wyjaśnił siedzący koło Thora Erec, obserwując pracę, którą płatnerz wykonywał nad płomieniami.

- Zwykły pancerz nie wystarczy. Zbroja ta musi być mocniejsza niż jakakolwiek inna, wzmocniona tysiące razy.

- A jednocześnie lekka - dodał Kendrick.

- Nie mówiąc już, że najbardziej błyszcząca - dorzucił Brendan, odwracając się do nich z uśmiechem i ocierając pot z brwi. - Zbroja musi nie tylko być najlepsza, ale i wyglądać najlepiej. Wygląd zewnętrzny jest dla Srebrnych powodem do dumy.

- Bądź dumny z tego jak wyglądasz, - powiedział Kendrick - a będziesz dumny z tego kim jesteś.

Thor oczarowany obserwował proces wykuwania jego zbroi, był podekscytowany tym, że będzie ją nosił.

- Ten metal pochodzi z wyjątkowego miejsca, - kontynuował - zanim zostanie pokryty srebrem, proces rafinacji trwa lata.

Płatnerz w końcu stworzył jedną część, która go satysfakcjonowała. Podniósł ją i umieścił na ramionach

Thora, aby wziąć kolejną miarę i jeszcze lepiej dopasować pancerz do ramion rycerza.

- Naramiennik - wyjaśnił Brendan, przyglądając się na oko - chroni twoje ramię, a jednocześnie musi ochraniać stawy. Dobra zbroja pozwala ci ruszać się i oddychać. A przy tym chroni najbardziej newralgiczne punkty twojego ciała.

Brendan obniżył naramiennik, ściągnął go, wziął narzędzie do wygładzania i zaczął go polerować. Pracował tak szybko, że Thorowi wydawało się, jakby miał do czynienia z magią. Salę wypełniały dźwięki jego pracy, zapachy palącego się metalu i polerowanego srebra. Thor patrzył z podziwem na wszystko co się tutaj działo.

Po chwili Brendan odwrócił się, aby dopasować napierśnik do klatki Thora. Nałożył go, następnie obszedł Thora na około, dopasował go pod pachą i mocno przywiązał do rycerza. A potem ułożył na nim naramiennik, związując go mocno.

- I jak się w tym czujesz? - zapytał.

Thor zgiął łokieć kilka razy, sięgnął ręką w górę i w dół, w lewo i w prawo - był zupełnie zdumiony. Nigdy nie miał na sobie tak lekkiej, a jednocześnie tak

wytrzymałej, zbroi. Kiedy się poruszał, jego zbroja lśniła, odbijając światła niby ryba wyskakująca z wody. Czuł się inaczej kiedy miał ją na sobie. Czuł się niezwyciężony.

- Jest doskonała - powiedział Thorgrin.

- Oczywiście, - odpowiedział Brendan z uśmiechając się zawadiacko - moja praca zawsze jest doskonała.

Brendan zebrał wszystkie części pancerza i położył je przed Thorem.

- Wszystko gotowe, moi panowie - powiedział do Erec i Kendricka.

Kendrick podszedł do przodu.

- Tradycją jest, że kiedy rycerz dostaje swoją pierwszą zbroję, to ojciec ją na niego nakłada - Kendrick powiedział do Thora. - Jednak, jako że nie ma tu twojego ojca, wraz z Ereciem chcielibyśmy wypełnić to zadanie, jeśli oczywiście pozwolisz nam czynić honory.

Thora ogarnęła wdzięczność.

- To wielki zaszczyt - odpowiedział.

Erec i Kendrick zaczęli wkładać na Thora poszczególne

części zbroi, przytwierdzając je po kolei. Kiedy to robili, Thor czuł jakby był odbudowywany. Czuł się wzmocniony nie tylko przez zbroję, ale przede wszystkim przez tych dwóch mężczyzn, którzy byli dla niego niczym ojcowie. Dzięki nim był w stanie pogodzić się z tym, że nie miał prawdziwego ojca, którego mógłby zaakceptować.

- Nawet gdyby żył, - powiedział Thor - to nie chciałbym, aby taki człowiek był tu w tym momencie. W pewien sposób, - zrozumiał Thor - ja nie mam ojca.

Kendrick skinął głową.

- Rozumiem - powiedział - ja nie mam matki, a przynajmniej nigdy jej nie spotkałem. Przez całe swoje życie byłem bękartem królewskiego dworu. Odczuwasz w sobie pewną pustkę, kiedy nie masz rodzica, czy nawet gorzej - masz takiego, którego nie rozumiesz, albo którego nie cenisz.

Kendrick skinął ponownie.

- Powiem ci jednak coś, co usłyszałem kiedy byłem młody, coś co towarzyszyło mi przez całe życie i co mnie zawsze wzmacniało. Kiedy raz to zrozumiałem, zacząłem w inny sposób patrzeć na świat.

Thor spojrział na niego z ciekawością, widział, że

Kendrick myśli - z powagą zmarszczył brwi.

- Mamy możliwość wyboru swoich rodziców - powiedział.

Thor spojrzał na niego, zdziwiony.

- Wybrać? - zapytał Thor.

- Mamy biologicznych rodziców. Jednak w środku, mentalnie, - powiedział Kendrick, kładąc palec na głowie Thora - w swoim umyśle, możesz wybrać sobie rodziców. Możesz wybrać sobie ojca. Możesz wybrać tego kogo podziwiasz i tego kogo darzysz szacunkiem. Co więcej, nie musisz mieć tylko jednego ojca. Możesz wybrać kilku. W twojej głowie mogą zasiadać oni wokół stołu, niczym rada. Niczym Królewska Rada. Ich wspólnota może stać się twoim nowym ojcem. Wspólnota tych, których podziwiasz i szanujesz. I którzy podziwiają i szanują ciebie. Wspólnota tych, którzy stanowią dla ciebie wzór do naśladowania.

Thor zastanowił się nad tym.

- Kiedykolwiek chcesz pomyśleć o ojcu, którego nie masz, albo którego nie szanujesz - dodał Kendrick - zamiast tego pomyśl o tych ludziach. Dokładnie ich sobie wyobraź. Umieść ich w swojej głowie tak, jakby byli twoim ojcem. Z czasem, to oni staną się twoim

prawdziwym rodzicem. Tak samo prawdziwym - albo nawet bardziej - jak twój biologiczny ojciec. I wtedy zdasz sobie sprawę, że twój biologiczny ojciec wcale nie jest aż tak ważny. Nie jest dla ciebie autorytetem. Może też być tak, że zobaczysz, iż ci ludzie również nie stanowią dla ciebie autorytetu. Sam dla siebie staniesz się autorytetem.

Thor dokładnie to wszystko rozważał. Starał się zrobić to co powiedział Kendrick. Wyobraził sobie stół, a wokół niego ludzi, których kochał, podziwiał i szanował. Był tam Kendrick. I Erec. A także Argon, Król MacGil i Aberthol. Znalazło się tam również kilku wspaniałych wojowników których znał i z którymi walczył...

Thor zamknął oczy, a w jego głowie wszyscy ci ludzie zasiedli za stołem, powoli zaczął postrzegać ich wszystkich jako swojego ojca. Każdy z nich tworzył kawałek rodzica, którego Thor nigdy nie miał. Powoli zaczynał czuć, że jednak ma ojca. Nowego ojca. Kendrick miał rację.

Skończyli zabezpieczać zbroję na Thorze, a on sam nie mógł uwierzyć jak wspaniale się w niej czuł. Jak była lekka, jak doskonale srebro zostało dopasowane do jego ciała -była wygodna w każdym calu. Spojrzał w swoje odbicie w wielkim lustrze i był zdumiony. Ledwie

potrafił się w nim rozpoznać. Nie był już chłopcem. Stał przed nim mężczyzna. Członek Srebrnych. Wielki wojownik i rycerz. Zaparło mu dech - po raz pierwszy czuł się w ten sposób.

Thor założył swój hełm, zdobiony, wykuty z ostrymi krawędziami, jego nos był doskonale dopasowany. Był to najpiękniejszy hełm jak Thor kiedykolwiek widział. Kiedy go przywdział, zdał sobie sprawę, że wygląda niczym mężczyzna, którego należy się bać.

Ściągnął hełm i przytrzymał go w rękach, czując moc, która od niego biła.

- Żadna zbroja nie jest kompletna bez tego - powiedział Kendrick.

Thor spojrział w dół i zobaczył, że Erec trzyma w dłoni sztylet, piękny, zdobiony sztylet, z wygrawerowanymi inicjałami Króla.

- Jest zdobiony inicjałami rodu MacGilów. Wkrótce poślubisz moją siostrę. Jesteś teraz członkiem królewskiej rodziny. Jesteśmy braćmi. Zasługujesz na to.

Kiedy Thor wziął w ręce sztylet, poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Był zaszczycony mogąc trzymać go w dłoni, był zaszczycony, że ci wspaniali mężczyźni stanowią część jego życia. Niczego więcej nie pragnął.

Otworzyli drzwi i poprowadzili go w dół starego korytarza. Nowe ostrogi brzęczały, a Thor czuł się niczym człowiek stanowiący przykład do naśladowania. Zastanawiał się dokąd go prowadzą. Dwóch służących otworzyło ogromne podwójne drzwi i Thor został wprowadzony do wielkiej sali.

Zdziwiło go to, co zobaczył: wewnątrz zasiadali wszyscy członkowie Srebrnych, setki mężczyzn, wszyscy w zbrojach, wszyscy czekali, aby go powitać. Spoglądali na jego nową zbroję z wielkim szacunkiem. Najwspanialszy wojownik królestwa, gotowy, aby powitać go w swoich szeregach.

- Thorgrinson! - zakrzyknęli chórem, unosząc w górę swoje miecze.

- Thorgrinson!

- THORGRINSON!

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Romulus maszerował w dół zwirową ścieżką przez jałowe pustkowia na obrzeżach stolicy Imperium. Towarzyszyli mu nowi członkowie rady oraz tuzin generałów. Romulus był zaniepokojony, w jego głowie



roilo się od raportów, które rzez cały dzień licznie do niego spływały. Bunt rozszerzał się w kolejne miejsca Imperium. Wieści dotyczące awansu Andronicusa i Romulusa nie przestawały się rozprzestrzeniać, a poszczególne prowincje widziały w tym szanse na swoją wolność. Niektórzy spośród jego własnych dowódców, jego własnych batalionów, również wzniesli bunt. Romulus wysłał swoich żołnierzy do każdego zakątka Imperium, aby zdusić te rebelie w zarodku. Wydawało się, że takie działania przynosi skutek. Jednak teraz, każdego dnia, przychodził nowy raport donoszący o kolejnej rewolcie. Romulus wiedział, że konieczne były zdecydowane działania, które położyłyby kres niestabilności państwa i umocniłyby pozycję Imperium. Bez tego, jak się obawiał, Imperium mogłoby zacząć się rozpadać.

Bunty nie martwiły Romulusa jakoś szczególnie. Jego armia była ogromna i, jak dotychczas, lojalna. Miał świadomość, że mógłby wszystkie te rebelie bezlitośnie zdusić, a tym samym umocnić swoją władzę. Tym co go naprawdę martwiło - tym co martwiło go o wiele bardziej - były raporty dotyczące smoków.

Wieść głosiła, że były ogarnięte żądzą zemsty od czasu kradzieży miecza i szerzyły spustoszenie w całym Imperium. Paliły wioski i miasta, mszcząc się właśnie w ten sposób. Wielki gniew jaki został uwolniony, był

czymś, czego nie widziano od czasów jego ojca - rozprzestrzenił się z dnia na dzień. Również z dnia na dzień, ludzie podnosili coraz większą wrzawę, aby gniew ten uciszyć. Romulus wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, smoki zajmą stolicę - i nawet ci, którzy dotychczas byli mu wierni, teraz powstaną przeciw niemu.

Przez te ostatnie miesiące, Romulus wysyłał swoich ludzi w każdy zakątek Imperium, aby znaleźli magiczne zaklęcie, dzięki któremu można było walczyć ze smokami. Zbadał już wiele fałszywych tropów, przeprowadzał się przez mroczne bagna, torfowiska i lasy, wysłuchując cierpliwie czarowników, którzy dawali mu różne zaklęcia, eliksiry i wszelaką broń. Wszystko to okazywało się ślepym zaułkiem. W gniewie, Romulus zamordował absolutnie każdego z tych czarnoksiężników - w ten sposób, wieści przestały nadchodzić.

Jednak teraz pojawił się kolejny trop i Romulus, krzywiąc się nieco, wspinał się, podążając za kolejną ścieżką. Tym razem znajdowała się ona na bezludnych bezdrożach. Jego nadzieje były niewielkie - prawdopodobnie był to kolejny szarlatan. Szedł szybko, niecierpliwie, zmierzając krętym szlakiem przez pola cierni. Już teraz był w kiepskim nastroju. Jeśli ten czarnoksiężnik okaże się fałszywy, Romulus zabije go

własnymi rękami.

Wreszcie Romulus doszedł na szczyt i zobaczył przed sobą, wysoką wapienną jaskinię i wydostający się z niej upiorny zielonkawy blask.

Zatrzymał się przed nią. Było w niej coś takiego co posuwało go naprzód. To miejsce wydawało się inne niż pozostałe - groza garnęła mu się w ramiona. Jego doradca podszedł i stanął obok niego.

- To jest właśnie to miejsce Najwyższy Dowódco - złożył raport. - Czarnoksiężnik mieszka w środku.

Romulus groźnie spojrzał na niego z góry.

- Jeśli jest to kolejny człowiek, który zmarnuje mój czas, zabiję nie tylko jego, ale i ciebie.

Doradca przełknął ślinę.

- Wielu za niego ręczyło, Panie Dowódco. Jest znany jako najlepszy czarnoksiężnik w Imperium.

Romulus szedł dalej, prowadząc grupę mężczyzn wprost do jaskini. Luminescencyjne ściany jaskini świeciły zielonym blaskiem - było na tyle jasno, że wszystko było widać, więc Romulus wchodził dalej i dalej w głąb jaskini. Dziwne dźwięki odbijały się od jej ścian.

Brzmiało to niczym jęki i drapanie, niczym uwięzione duchy. Romulus, człowiek, który nie bał się absolutnie niczego, zaczął zastanawiać się nad tym co robi. Powietrze było ciężkie, wilgoć i smród unosiły się gdzieś w oddali.

Romulus miał coraz gorsze przeczucie i zaczął się niecierpliwić, kiedy coraz bardziej posuwał się w ciemność.

- Jeśli marnujesz mój czas. - powiedział Romulus odwracając się do swojego doradcy, cały czerwony, przymierzając się do tego, aby zawrócić i zastanawiając się czy to kolejny ślepy zaułek.

Doradca przełknął ślinę.

- Przysięgam, że nie marnujemy czasu, Panie Dowódcu. Powiedziano mi że.

Nagle Romulus zatrzymał się gwałtownie, a za nim wszyscy pozostali mężczyźni - wyczuli czyjąś obecność na kilka stóp przed sobą. Smród był obezwładniający.

- Podejdź bliżej - powiedział ciemny, skrzeczący głos, dobiegający z drugiej strony jaskini. Brzmiał niczym głos demona.

Romulus badawczo przyglądał się ciemności i nagle

jaskinia rozjaśniła się - na ziemi przed nimi pojawił się krąg światła. Oświetlił niewielkiego mężczyznę, stojącego naprzeciw. Mężczyzna nie miał nóg, jego kciuki spoczywały na posadzce. Był ubrany w pelerynę bez kaptura, a jego łysa głowa pokryta była brodawkami. Podobnie jak jego przykurczone ręce. Twarz miał okrągłą i pucułowatą, a jego oczy przypominały szczeliny. Otworzył je i spojrzał na Romulusa. Jego czarne oczy płonęły blaskiem.

- Mam to, czego szukasz - odezwał się mężczyzna.

Romulus podszedł kilka kroków do przodu, aż do krawędzi kręgu ognia, a następnie spojrzał przez płomień na czarnoksiężnika.

Kiedy patrzył na to stworzenie, poczuł się dziwnie. Poczuł ciarki. Poczuł jakby, wreszcie, po raz pierwszy, ten czarnoksiężnik był prawdziwy.

- Czy znasz sposób, by powstrzymać smoki? - zapytał Romulus.

Czarnoksiężnik pokręcił głową.

- Nie, - odpowiedział - mam coś, co posiada większą moc.

- A cóż może mieć większą moc? - zapytał Romulus.

Czarnoksiężnik wpatrywał się w niego, jego oczy były demoniczne, przerażające, świecące nad promieniami.

Romulus trząśł się w środku.

- Sposób, aby je kontrolować.

Romulus spojrział na niego niepewnie, starał się zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał. Było w nim coś prawdziwego. Prawdziwie złego.

- Kontrolować? - spytał.

- Przez jeden cykl Księżyca - odpowiedział czarnoksiężnik - smoki będą twoje. Będziesz mógł je kontrolować według własnego uznania. Poprowadzić je, gdziekolwiek zechcesz. Posiędziesz osobistą armię. Posiędziesz możliwość zmienienia Imperium na zawsze. Będziesz mógł uczynić cokolwiek zechcesz. Staniesz się najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Romulus zmrużył oczy. Zastanawiał się. Jego serce rosło. Czy to mogłaby być prawda?

- Jeśli to prawda, - powiedział Romulus - czego oczekujesz w zamian? Czarnoksiężnik zaśmiał się, był to okropny zgrzytający dźwięk, który brzmiał niczym tysiąc tamiasów.

- Hmm, jedynie twojej duszy - powiedział. - Niczego więcej.

- Mojej duszy? - spytał Romulus.

Czarnoksiężnik skinął głową

- Po twojej śmierci, twoja dusza będzie należała do mnie. Będę mógł zrobić z nią cokolwiek zechcę. Bo widzisz, ja kolekcjonuję dusze. To moje hobby.

Romulus zmrużył oczy, włosy na rękach stanęły mu dęba.

- I co się dzieje z twoimi duszami? - zapytał.

Czarnoksiężnik zmarszczył brwi, niezadowolony.

- To akurat nie jest twoja sprawa - zagrział jego głos, wzmocniony dodatkowo pogłosem ścian tak mocno, że uszy Romulusa niemal pękły.

Romulus spojrzał na tę kreaturę, zastanawiając się czym ona tak naprawdę jest. Czuł intensywną grozę, którą spowita była ta jaskinia - część niego miała ochotę odwrócić się i uciec.

- Panie, nie rób tego - powiedział doradca Romulusa. - Proszę, opuśćmy to miejsce. Jednak Romulus pokiwał

przecząco głową, wciąż gapiąc się na czarnoksiężnika.

Miał wrażenie, że jego moce są prawdziwe. Że czarnoksiężnik posiadał to, czego Romulus potrzebował. I nie mógł pozwolić, aby taka okazja przeszła mu koło nosa.

Kontrolować smoki. Romulus wyobraził sobie w jaki sposób mógłby wykorzystać taką moc. Mógłby stłumić wszystkie powstania. Umocnić swoją pozycję raz na zawsze. Kontrolować Imperium. A nawet przejąć kontrolę nad Kręgiem. Byłby najpotężniejszym człowiekiem jaki kiedykolwiek stąpał po świecie. Bardziej potężnym niż kiedykolwiek mógł to sobie wyobrazić. Nawet jeśli miałyby to trwać tylko przez jeden cykl Księżyca, byłoby to warte oddania swojej duszy. Koniec końców i tak poszedłby do piekła. Skoro i tak będzie już martwy, czemuż miałyby go obchodzić co się stanie z jego duszą?

- Co muszę uczynić? - zapytał Romulus.

Czarnoksiężnik uśmiechnął się.

- Spójrz w dół. Spójrz w płomienie mojego kręgu. Wstąp do odbijającej się wody. To wszystko co musisz zrobić.

- I to wszystko? - spytał Romulus z niedowierzaniem. To



nie mogło być aż tak proste.

Romulus powoli spojrział w dół i zobaczył swoje odbicie, które spoglądało na niego spośród płomieni. Oblicze, na które patrzył wykrzywiało się, zmieniało kształty i rozmiary. Widząc je, Romulus był przerażony.

- Dobrze, - rzekł czarnoksiężnik - trzymaj teraz ręce na boki.

Romulus zrobił to, powoli i ostrożnie.

- A teraz zapadnij się w wodę. Wpierw zanurz twarz w tafli odbijającej oblicze.

- Zapadnij? - zapytał Romulus.

Po raz pierwszy w życiu, bał się tego, co miało nastąpić.

- Kiedy zapadniesz się w wodę, zostaniesz odmieniony. Wynurzysz się jako Pan Smoków.

Romulus czuł, że całe jego ciało drży i wiedział, że to co usłyszał przed chwilą jest prawdą. Stał tam, z rękami rozciągniętymi na boki i powoli pochylał się wprzód, przygotowując się na uderzenie w tą płytką sadzawkę, głęboką jedynie na kilka cali. Był przekonany, że jego twarz z impetem uderzy o posadzkę.

Kiedy Romulus wpadł do płomieni, ku swojemu zdziwieniu poczuł, jakby zanurzał się w wodzie. Wiedział, że to niemożliwe - wszak woda miała jakiś cal głębokości. Pomimo tego, zanurzał się coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie jego ciało w całości było pod wodą. Czuł jak opanowują go zewnętrzne siły, jakby nakłuwało go tysiąc małych igieł. Krzyczał pod wodą lecz nie dobył się żaden dźwięk.

Nagle, Romulus się wynurzył, wyskoczył z wody pojawiając się na powrót w jaskini. Woda spływała wszędzie wokół niego.

Staął na nogach, zszokowany. Czuł się dwa razy większy niż wcześniej i dwukrotnie silniejszy. Czuł się niczym gigant. Był całkowicie ogarnięty siłą. Wydawało mu się, że nic na świecie nie jest w stanie go powstrzymać.

Romulus odchylił się w tył i ryknął. Nowa moc krążyła w jego żyłach. Był to ryk, który zatrzęsął ziemią, odbijając się od ścian jaskini.

Kiedy to uczynił, słyszał w bardzo dalekiej odległości krzyk wielu smoków. Smoków, które mu odpowiadały, gotowe, jak wiedział, zrobić wszystko cokolwiek im rozkaże.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Thor szedł obok Gwen, trzymając na rękach Guwayne'a. Stali na czele wielotysięcznej procesji, która podążała na szczyt góry. Krohn również szedł z nimi. Z tyłu kroczył zaś bezkresny tłum lojalnych poddanych Gwen, osób które życzyły jej jak najlepiej. Wszyscy byli podekscytowani tym, że będą uczestniczyć w ceremonii inicjacyjnej dziecka. Był to święty rytuał, którego celem było odnotowanie włączenia się dziecka do życia. Jako że Guwayne urodził się w klasie wojowników, a jednocześnie był członkiem rodziny królewskiej, tę starożytną i mistyczną ceremonię prowadził sam Argon. Obrządek miał się odbyć na samym szczycie Królewskiej Góry.

Zazwyczaj, inicjacja dziecka odbywała się w towarzystwie kilku oddanych znajomych, jednak Gwen i Thor byli tak bardzo uwielbiani przez ludzi - którzy niezwykle cieszyli się, z powodu narodzin ich dziecka - że tłum za nimi narastał i narastał. Krąg był w ekstazie. Po całym tym mrocznym czasie, ludzie wreszcie mieli powód, i to jaki, by świętować. Urodził się następca tronu. Co więcej, było to synek Gwendolyn, Królowej uwielbianej bardziej, niż ktokolwiek, kto sprawował rządy przed nią. Cały ten potok miłości, który ludzie

żywili do Gwendolyn, mogli skierować teraz również na jej syna.

Thor także był bardzo kochany wśród ludzi - większość z nich postrzegała go jako wybawcę, największego wojownika jakiego kiedykolwiek mieli, teraz i w czasach mitów i legend. Tak więc dziecię, które powstało wskutek połączenia Gwendolyn i Thorgrina, było postrzegane jako dziecię samego ludu. Wszyscy podążali za Gwen i Thorem mocno podekscytowani, niczym nadopiekuńczy dziadkowie, więc kiedy Thor obejrzał się przez ramię, ujrzał tysiące i tysiące ludzi, wijących się wokół góry. Tłum ten sięgał aż do bram Królewskiego Dworu.

Inicjacja była czymś więcej niż zwykłą ceremonią, był to również święty czas, okres wielkich znaków - całe królestwo niecierpliwie oczekiwało, obserwując czy jakieś znaki i przepowiednie naznaczą inicjację tego dziecka. Jak dotąd, całą krainę obiegła wiadomość o wydarzeniach, które pojawiły się podczas narodzin Guwayne'a. Już teraz mieszkańcy królestwa postrzegali to dziecko, jako kogoś więcej niż tylko zwyczajną osobę. Istniały już wybujałe teorie dotyczące przeznaczenia chłopca. Ludzie ci bez wątpienia bardzo chcieli, aby ewentualne przepowiednie, które pojawią się podczas inicjacji, ujrzyć na własne oczy.

Serce Thora waliło z podekscytowania i radosnego oczekiwania. Kiedy trzymał w ramionach swojego synka, owiniętego tkaniną, i przyciskał go do swej klatki piersiowej, czuł jak ogarniają go ciepło i moc. Thor czuł ogromną więź z tym dzieckiem, większą niż był w stanie wyrazić. Spojrzał na twarz swojego syna, Guwayne otworzył oczy i odwzajemnił jego spojrzenie. Thor czuł z nim więź, która pochodziła z innego czasu, z innego królestwa. Miał dziecko. Miał syna. Wciąż nie umiał w to uwierzyć. Poczł ogromny przyływ miłości i wiedział, że chce go chronić bardziej niż mógł to sobie wyobrazić.

Thor odczuwał również chęć opieki nad Gwendolyn, która szła powoli u jego boku i która nie wróciła po swoim porodzie do pełni sił. Szli tak wolno jak tylko się dało, w jej tempie, zatrzymując się co chwilę, aby mogła złapać oddech. Thor był szczęśliwy widząc, że wszystko z nią w porządku, że powoli staje na własnych nogach. Ostatnie dni były dla niej bardzo obciążające pod względem emocjonalnym. Nie tylko ze względu na urodziny dziecka, ale też ze względu na zbliżającą się śmierć jej matki. Królowa Matka wciąż żyła, ale cały kraj był przygotowany na to, że królewskie dzwony ogłaszające jej śmierć mogą zacząć bić w każdej chwili, lada dzień, lada godzina. Był to niepewny czas. Ale był też pomyślny. Wszystko to sprawiało, że Gwendolyn musiała zmierzyć się z silnymi emocjami, które nią

targały.

Thor pomyślał o tym jak intensywne było spotkanie Gwen i jej matki, kiedy oglądał je obok siebie, kiedy widział ich interakcję. Sprawilo to, że pomyślał o swojej własnej matce. Widząc umierającą matkę Gwen, Thor zdał sobie sprawę jak cenne jest życie. Sprawilo to, że ze wzmożoną siłą poczuł potrzebę spotkania z własną matką. A co jeśli, pomyślał ze strachem, jego matka umarła zanim jeszcze miał okazję ją poznać?

Nie będzie w stanie z tym żyć, pozostawi to w nim ogromną pustkę i poczucie winy, których nigdy nie zrozumie. Sprawi to również, że będzie się czuł, jakby jego własne przeznaczenie pozostało niekompletne. Thor doszedł do wniosku, nie pierwszy raz zresztą, że musi wyruszyć na jej poszukiwania tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Czuł, że teraz, kiedy jego dziecko przyszło na świat, przyszedł odpowiedni moment. Najpierw oczywiście musi zostać, aby wziąć ślub z Gwen, nie mógł wyruszyć wcześniej. Ale kiedy ceremonia się odbędzie, wyjedzie. Nie miał wyboru. Kochał Gwen i Guwayne'a bezwarunkowo, wróci do nich i spędzą ze sobą już całe życie. Najpierw jednak musi wypełnić swoje przeznaczenie. Czuł, nie wiedział dlaczego, że przyszłość Kręgu była zagrożona.

- Jestem z ciebie dumna - wyszeptała Gwen, odwróciła

się do niego i uśmiechnęła, kładąc delikatnie rękę na jego nadgarstku.

- Z jakiego powodu kochana? - zapytał Thor nieco zdezorientowany.

- Z powodu Srebrnych - powiedziała. - O wszystkim wiem *Sir Thorgrinsonie* -dodała, uśmiechając się szerzej.

Thor również się do niej uśmiechnął, był tak zajęty Guwaynem, że nawet nie miał czasu o tym myśleć. Ale teraz, kiedy Gwen o tym wspomniała, wszystko stanęło mu przed oczyma. Odtworzył sobie w myślach ceremonię i wykuwanie zbroi. Czuł się w środku zupełnie nowym mężczyzną. Był mocniejszy. Ważniejszy.

Kiedy tak szli, wspinając się na wyższe i wyższe części góry, Thor zachwycił się zapierającymi dech w piersiach widokami, które rozpościerały się stąd na Dolinę Ognia. Było to dziwne miejsce pełne niepokoju. Zaraz na zachód od Królewskiego Dworu rozpościerała się dolina starożytnych, uszpionych wulkanów. Dziesiątki wulkanów wyrastających z ziemi, nieczynnych od tysięcy lat. Wznosiły się nad Królewskim Dworem, przypominając dawne czasy. Stanowiły oczywiście również naturalną ochronę dla

miasta, co, zdaniem Thora, było powodem dla którego Królewski Dwór powstał właśnie tutaj.

Kiedy Thor wchodził wyżej i wyżej, mógł zobaczyć szczyty tych wulkanów, szczyty, których nie widział nigdy, w całym swoim życiu. Były piękne, zachwycające. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach, jakby zapach siarki, która sączy się pod ziemią. Buty Thora przesuwały się po suchym błocie i żwirze - zbliżali się do szczytu góry. Im wyżej wchodził, tym mocniej dał się czuć silny wiatr, który ochładzał ich podczas tego letniego dnia.

Thor spojrzął w dół i zobaczył dary lata, które rozpościerały się po całym Królewskim Dworze - kołyszące się na wietrze łany zbóż; całe doliny sadów, które obrodziły tak obficie, że aż trudno było w to uwierzyć. Inaczej było jednak tutaj, Dolina Ognia była martwa, stanowiła brutalne przypomnienie, że cała ta obfitość jednego dnia może po prostu zniknąć.

- Jest tutaj - z boku doszedł go głos Gwen.

Thor spojrzął w górę i ujrzał Argona, stojącego na szczycie, ubranego w biały płaszcz z kapturem. Trzymał swoją laskę, patrzył na nich z góry, nie wyrażając przy tym żadnych emocji, niczym pasterz oczekujący na swoje stado. Thor odetchnął z ulgą. Bez Argona cała



ceremonia mogłaby się nie odbyć. A nikt nigdy nie mógł przewidzieć, czy Argon się pojawi, czy nie.

Kiedy dotarli na sam szczyt, a Thor i Gwen zajęli swoje miejsce obok Argona, cała trójka odwróciła się i spojrzała w dół, do środka wulkanu. Teren opadał delikatnie, przez jakieś dwadzieścia stóp, składały się na niego piasek i skały. Następnie stabilizował się w postaci znajdującego się na szczycie płaskowyzu, uformowanego w idealne koło o średnicy około stu jardów. Pokrywało go jasnoniebieskie jezioro. Odbijało się w nim niebo, chmury i dwa słońca - widok ten całkowicie zachwycił Thora. Podeszli do brzegu jeziora. Thor słyszał za swoimi plecami delikatne kroki tysięcy ludzi wspinających się na grzbiet góry, którzy za ich przykładem podchodzili nad brzeg jeziora.

Kiedy tak stali, Argon odwrócił się do Thora, podniósł obie ręce i spojrzał na dziecko.

Thor poczuł, że wcale nie chce oddawać swojego syna. Gwen położyła delikatnie rękę na jego przedramieniu - kiedy na nią spojrzał, skinęła głową.

- Wszystko jest w porządku - powiedziała. - Oddaj go.

Thor niechętnie wyciągnął ręce i położył Guwayne'a w ramionach Argona.

Kiedy to zrobił, spokojne jak dotąd niebo wypełnił płacz chłopca. Serce Thora zaczęło krwawić kiedy tylko usłyszał ten dźwięk. Poczł ogromną pustkę, kiedy ciepło Guwayne'a opuściło jego ramiona.

Argon trzymał Guwayne'a blisko przy sobie - płacz małego powoli ustępował. Argon ściągał tkaninę, w którą mały był zawinięty. Warstwa po warstwie, aż do momentu, kiedy Guwayne stał się zupełnie nagi. Argon podniósł chłopca wysoko w górę, ponad swoją głowę, a następnie odwrócił się twarzą do tłumu.

- W imieniu siedmiu praojców, w imieniu dawnych filarów, w imieniu przestrzeni światła i przestrzeni szarości, wszystkich czterech stron świata i wielkiego podziału, wzywam wszystkich bogów, którzy kiedykolwiek istnieli i wszystkich bogów, którzy dopiero nadejdą, aby pobłogosławili to dziecko. Obdarzcie go siłą jego ojca i duchem jego matki. Natchnijcie go, aby kontynuował królewski ród MacGilów. Obdarzcie nas wszystkim wspaniałym wojownikiem i wielkim przywódcą ludu.

Zgromadzeni cieszyli się z aprobatą. Argon odwrócił się, uklęknął nad wodą, położył dziecko na plecach i zanurzył je w jeziorze.

Gwen westchnęła i instynktownie podeszła do przodu,

aby go ratować - jednak Thor przytrzymał ją za rękę. Teraz to on musiał ją uspokoić.

Argon wynurzył chłopca z wody. Guwayne wrzeszczał. Argon zanurzył go ponownie. A potem po raz trzeci.

Kiedy Argon ostatecznie podniósł go ponad swoją głową, tłum ukląkł i pochylił głowy. Guwayne wciąż krzyczał, jak wcześniej, a Thor zszokowany zauważył, że ziemia pod nimi nagle zaczęła się trząść. Wszyscy patrzyli ze strachem i z zaciekawieniem jak rozpoczyna się wielkie trzęsienie ziemi. Wszyscy poupadali na ziemię, Gwen ścisnęła dłoń Thora.

- Co się dzieje? - zapytała. - Czy to za sprawą chłopca?

Nagle wszędzie wokół nich rozpoczęły się doniosłe eksplozje.

Thor spojrzał w górę i ze zdumieniem zobaczył, że wszystkie wulkany dookoła zaczęły wybuchać. Wielkie pióropusze dymu zaczęły wypełniać letnie niebo, po chwili pojawiły się iskry i lawa. Wulkany znajdowały się w takiej odległości, że Thor nie był w stanie poczuć stąd ich ciepła. Był jednak zachwycony ich widokiem, ich pięknem. Dziesiątki wulkanów wyrzuciły w powietrze lawę; wulkanów, które od wieków pozostawały w spoczynku. Zdarzyło się to w

konkretnym momencie i Thor znał doniosłe znaczenie tego zdarzenia. Wszyscy ludzie patrzyli na siebie z przerażeniem i zaciekawieniem. Nawet Argon opuścił chłopca w zdumieniu, był wyraźnie przejęty.

Kim był ten chłopiec?

Thor nie wiedział. Wiedział jednak, i czuł to każdym ciałem swojego jestestwa, że jego dziecko jest bardziej potężne niż cokolwiek z czym miał dotychczas do czynienia.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Alistair stała na dachu małej fortecy, dotykała dłońmi starych kamiennych balustrad i patrzyła na otaczającą ją wieś. Był piękny letni dzień. Była otoczona wzgórzami, obserwowała znajdujące się w dole pola limonkowych i fiołkowych traw, kołyszących się na wietrze, lśniących w promieniach słonecznych, szeleszczących i jakby szczęśliwych, że są żywe. Pogoda była wspaniała, oba słońca świeciły pełnym blaskiem. Alistair odchyliła się w tył i westchnęła głęboko, jakby chciała jak najwięcej z tego wciągnąć.

Choć raz czuła się zrelaksowana, szczęśliwa - czuła, że odnalazła swój dom. W końcu odnalazła miłość

swojego życia. Spotkała mężczyznę, który ją pokochał. Spotkała także swojego brata. Wkrótce wyjdzie za mąż. Argon zaś pomagał jej odkryć, kim naprawdę jest. Po raz pierwszy w swoim życiu Alistair zaczynała czuć, że nie jest jakąś wariatką, że nie jest wyrzutkiem. Zaczynała rozumieć, że jej inność tak naprawdę sprawiała, że jest wyjątkowa. Że jej moce stanowią normalną, neutralną część niej. Część, której nie musi się wstydzić. Czuła się wzmocniona, szczególnie po swojej wyprawie do Nibyświata, po bitwie przeciwko Imperium i po ujrzeniu jak bardzo jest potężna.

Odkąd Thor zabił jej ojca, Alistair miała wrażenie, że na świecie zapanował pokój. Czuła też ulgę, że wszyscy, a przede wszystkim Erec, znali jej sekret, wiedzieli, że jej ojciec był potworem. Tak bardzo bała się, że kiedy Erec to odkryje, porzuci ją. Nie winiłaby go za to. Ten jednak wiernie pozostał przy jej boku. Nigdy jej o nic nie obwiniął, nigdy nawet nie spojrzął na nią inaczej. Wręcz przeciwnie, współczucie jakie jej okazał było jeszcze głębsze i teraz wiedziała, że nigdy nie potraktuje jej źle. Z naciskiem twierdził, że nie możemy odpowiadać za to kim są nasi rodzice. Po raz pierwszy w życiu, zaczynała to rozumieć.

Alistair postanowiła odpocząć od wszystkich tych przygotowań do ceremonii zaślubin i odwiedzić tutaj Erec. Pół dnia drogi do Królewskiego Dworu. Erec od

wielu miesięcy zajęty był pracą nad Srebrnymi oraz odbudowywaniem i uzbrajaniem fortyfikacji. Alistair spojrzeła przez balustrady i zobaczyła dziesiątki Srebrnych. Ich zbroje lśniły w porannych słońcach. Wśród nich znajdował się również Erec, który, jak zazwyczaj, dowodził mężczyznami podczas prac nad odbudową fortyfikacji. Część rycerzy poruszało się na koniach po swoich improwizowanych poligonach - ćwiczyli, walczyli ze sobą, starali się poprawić swoje umiejętności.

Alistair spojrzeła w dal i zobaczyła cztery główne drogi, które przebiegały przez to niewielkie miasteczko. Zrozumiała jak istotne pod względem strategicznym jest to miejsce, położone w samym środku państwa. Pojęła też, jak ważne zadanie do wykonania miał tutaj Erec. Musiał zadbać o to, aby wszyscy mieszkańcy byli tu bezpieczni. Ludzie Ereca stacjonowali w różnych miejscach na obrzeżach wsi, pomagali odbudować drogi, wybudować bramy, pogłębić fosy i dostarczali kamienie, które były potrzebne do naprawienia szkód wyrządzonych przez Andronicusa. To niesamowite, że z tego fortu w ogóle cokolwiek zostało. Tak wiele miejscowości w Kręgu, tak wiele fortec, które zostały postawione wieki temu, zostały doszczętnie zniszczone. W ogóle nie nadawały się do odbudowania.

Alistair usłyszała huk w oddali. Spojrzeła w górę, w

stronę horyzontu i zobaczyła samotnego jeźdźca, który wzbudzając na drodze tumany kurzu, zmierzał w stronę wieży. Obserwowała jak od razu podjechał do Erec, uklęknął przed nim i podał mu zwój. Zastanawiała się, cóż mogło sprawić, że poruszał się w takim pośpiechu.

Erec stał sztywno przez dłuższy czas, czytając. Następnie odwrócił się i udał się w stronę fortu. Wydawał się zamyślony, zmarszczył brwi. O czymkolwiek się dowiedział, z ruchów jego ciała Alistair była w stanie wywnioskować, że nie było to nic dobrego.

Alistair usłyszała stłumione szuranie butów na krętych kamiennych schodach, po chwili Erec pojawił się na dachu fortu, trzymając w ręku zwój. Wyglądał dość ponuro.

- Co się stało, mój panie? - powiedziała Alistair, spiesząc w jego kierunku.

Erec spuścił wzrok i pokiwał głową. Dostrzegła, że jego oczy zapełniają się łzami.

- Mój ojciec - powiedział ponuro - jest ciężko chory.

Alistair poczuła wielkie współczucie, podeszła i przytuliła go, on zaś odwzajemnił uścisk. Nigdy nie rozmawiał z nią o swoim ojcu, o jego ludziach, więc nie wiedziała o nich zbyt wiele. Jedyne co wiedziała to to, że

Erec pochodził z Wysp Południowych.

- Co masz zamiar uczynić? - zapytała.

Erec gapił się w dal zamyślony.

- Muszę do niego pojechać - powiedział. - Muszę zobaczyć go, zanim umrze.

Alistair otworzyła szeroko oczy.

- Na Wyspy Południowe?

Pokiwał głową z powagą.

- To długa podróż moja pani - powiedział. - Trudna i bezlitosna. Będę musiał przebyć Morze Południowe, morze na którym zginęło wielu. Właściwie, tych którzy zginęli jest więcej, niż tych, którym udało się je pokonać. Będzie lepiej jeśli tu zostaniesz. Wrócę do ciebie.

Alistair poczuła zdecydowany opór. Pokręciła głową.

- Nigdy już nie chcę się z tobą rozstawać - powiedziała. - Przysięgam to sobie. I muszę dotrzymać słowa. Niezależnie od ceny, jaką trzeba będzie za to zapłacić. Pojadę z tobą.



Erec spojrział na nią, był poruszony widząc to, jak pewna jest swojego zdania.

- Ale przecież Gwendolyn bierze ślub - odpowiedział. -  
Masz być druhną.

Alistair westchnęła.

- Jeśli musisz jechać teraz, - powiedziała - to ja muszę  
udać się z tobą. Gwendolyn to zrozumie.

Erec objął ją, a ona się w niego wtuliła. Ścisłała go  
mocno i zaczęła się zastanawiać. Jak będzie wyglądać ta  
podróż? Jak jest na Wyspach Południowych? Jaka jest  
jego rodzina? Czy ją polubią? Zaakceptują? Czy uda mu  
się zobaczyć ojca przed śmiercią?

I przede wszystkim, jak to wpłynie na ich ślub? Czy będą  
musieli go odwołać?

Czy Gwen naprawdę zrozumie? A Thor? Czy  
kiedykolwiek jeszcze ujrzy brata? Czy naprawdę uda im  
się powrócić do Kręgu?

Z jakiegoś powodu miała silne przeczucie, że jednak tu  
nie powrócą.

\*

Alistair jechała przez Królewski Dwór, zaraz po tym jak pożegnała się z Gwendolyn. Jej serce wciąż było złamane. To były bardzo bolesne wiadomości, nawet jeśli Gwen przyjęła je całkiem dobrze. Czuła się okropnie mówiąc o wszystkim Gwen, i to w takiej chwili, niedługo przed jej ślubem. Jednak Alistair była przekonana, że nie było innego wyjścia. Erec ma zostać jej mężem i nie wyobrażała sobie, że mogłaby znów znaleźć się z dala od niego. Gwen była wyrozumiała, przyjęła wszystko ze stoickim spokojem, co sprawiło, że cała sytuacja była dla Alistair dość łatwa. Jednak gdzieś głęboko w środku czuła, że Gwen jednak poczuła się zraniona, że jednak bardzo zależało jej na tym, aby Alistair była obecna na jej ślubie. Alistair pragnęła, by sprawy potoczyły się inaczej, ale los potraktował ją właśnie w ten sposób, więc należało się z tym zmierzyć.

Kiedy Alistair wyjechała z dworu, była zdeterminowana, aby spotkać się ze swoim bratem jeszcze przed tym, zanim uda się do Ereca. Chciała przekazać mu wiadomość o swoim wyjeździe. Przygotowała się na to. Kiedy wszystko się skończy, Alistair przyrzekła sobie w myślach, znajdzie sposób by powrócić, by znów znaleźć się w granicach Kręgu, by znów być z Gwendolyn, Thorem i wszystkimi swoimi ludźmi. Koniec końców, wraz z Gwendolyn przeszły w Nibyświecie tak wiele. Miała wrażenie jakby Gwen była jej rodzoną siostrą. Siostrą, której nigdy nie miała. Alistair czuła się

odpowiedzialna za Gwen. Była z nią związana, szczególnie od czasu kiedy usłyszała wieści dotyczące jej dziecka.

Alistair ledwie potrafiła uwierzyć, że ma bratanka. Kiedy trzymała go na rękach, w jej ciele zaczęła krążyć ogromna energia. Czuła z tym dzieckiem większą więź, niż z kimkolwiek kogo kiedykolwiek znała. Syn jej brata. To było trudne do wyobrażenia. Trzymając go, nie miała żadnych wątpliwości, że przez całe życie będzie ich łączyła bardzo bliska relacja.

Alistair przejechała przez świeżo odbudowane bramy, które prowadziły na pole ćwiczeń Legionu, minęła nowych rekrutów ustawionych w szeregu. Wszyscy mieli nadzieję zwrócić na siebie uwagę jej brata i zdobyć miejsce w upragnionym Legionie. Dostrzegła brata, przejechała przez dziedziniec i zsiadła z konia.

Thor musiał wyczuć, że nadjeżdża, bo jeszcze dużo przed tym jak się do niego zbliżyła, odwrócił się, a ich spojrzenia się ze sobą spotkały. Jego jasnoszare oczy błyszczały w porannym słońcu. Stał tam, taki szlachetny i dumny, a wszyscy potencjalni wojownicy Legionu, patrzyli na niego, jakby był bogiem. Mogła zrozumieć dlaczego. Był nie tylko doskonałym wojownikiem, wydalał pewien rodzaj energii, coś mistycznego - jakby jego ciało spowite było świetlnym blaskiem. To

było prawie tak, jakby spoglądała na osobę, która jeszcze za swojego życia została okrzyknięta legendą. Jednak było też coś wokół niego, co pozwalało przypuszczać, że choć świeci tak jasno, może nie pożyć zbyt długo, niczym spadająca gwiazda, przelatująca szybko po niebie. Wzdrygnęła się na tę myśl i starała się ją powstrzymać.

Jednak kiedy Alistair szła w jego stronę, nagle się zakrztusiła. Miała przebłysk, zobaczyła coś czego nie mogła słumić. Była to wizja: ujrzała swojego brata, był martwy. W młodym wieku. Zobaczyła wokół niego śmierć. I chwałę.

Zatrzymała się przed Thorem, chciała go uścisnąć, a wtedy jej uśmiech zmienił się w grymas, podczas którego zmarszczyła brwi - ledwie udało jej się powstrzymać się od płaczu. Stali się sobie bardzo bliscy w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy. W dodatku Thor był jej jedyną prawdziwą rodziną, więc myśl, że mogłaby go teraz stracić, podczas gdy dopiero niedawno go poznała, była dla niej nie do zniesienia.

- Co się stało, siostrze? - spytał Thor, patrząc na nią skołowany.

Alistair pokiwała głową, gryząc się przy tym w język. Podeszła do niego i przytuliła go, a on odwzajemnił jej

uścisk. Nad jego ramieniem, szybko wytarła łzy i zmusiła się do uśmiechu.

Przestała się przytulać.

- Nic bracie - powiedziała.

Obserwował ją, sceptyczny, zaniepokojony.

- Wyglądasz na poruszoną - powiedział.

- Przyszłam się pożegnać - odpowiedziała.

Thor spojrzał na nią zaskoczony, a na jego twarzy można było zobaczyć rozczarowanie.

- Erec wyjeżdża na Wyspy Południowe - powiedziała - i muszę do niego dołączyć. Przepraszam. Niestety nie będę mogła uczestniczyć w waszym ślubie.

Skinął głową ze zrozumieniem.

- Powinnaś trwać u boku Ereca - powiedział. - Jest najwspanialszym wojownikiem naszego Kręgu, a teraz cię potrzebuje. Ty jesteś nawet wspanialsza. Musisz go chronić.

- Ty również jesteś wielki - powiedziała.

Thor zarumienił się ze wstydu.

- Ja jestem jedynie chłopcem z małej wioski -  
odpowiedział skromnie Thor.

Alistair pokręciła głową.

- Jesteś kimś o wiele, wiele ważniejszym.

Thor westchnął i spojrzał w dal, obserwując trening  
swoich rekrutów.

- Ja również niedługo wyjadę - powiedział.

Alistair nagle spojrzała w jego myśli, jak to się często  
działo kiedy była w jego pobliżu.

- Pojedziesz na poszukiwania naszej matki -  
powiedziała, bardziej stwierdzając fakt niż pytając o  
jego plany.

Thor spojrzał na nią zdziwiony.

- Skąd wiedziałaś? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś przy mnie niczym otwarta księga - powiedziała.

- Nie wiem jak to się dzieje. To trochę tak jakbym

potrafiła zobaczyć to, co sam widzisz.

- Co jeszcze widzisz? - spytał podekscytowany Thor mrużąc przy tym oczy. - Czy odnajdę naszą matkę?

Alistair doznała szybkiego przebłysku z przyszłości Thora. Zobaczyła, że rzeczywiście ją znajdzie. Jednak po chwili wizja została zakryta przez ciemność, tak jakby los celowo maskował to, co stanie się później. Widziała, że Thor bierze udział w wielkiej bitwie. Takiej, w której udział wykraczał poza jego moce. Wszędzie wokół nich widziała ciemność. Szybko zamknęła oczy i potrząsnęła głową, chcąc zakończyć wizję. To było zbyt mroczne, zbyt przerażające.

Nie chciała przestraszyć Thora, zmusiła się więc do tego, aby trzymać się w garści. Zadrżała w środku lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Odnajdziesz ją - odpowiedziała.

Thor spojrział na nią, nie był zbyt przekonany.

- A jednak... wahasz się - powiedział.

Alistair potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy o Matce, - powiedziała - zaczęłam mówić ci, że mam coś od niej.

Wydaje mi się, że to ty powinieneś to mieć. Nie wiem czy będzie mi dane kiedykolwiek ją spotkać.

Alistair sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła jakiś przedmiot.

- Nadstaw nadgarstek - powiedziała.

Thor zrobił to, o co prosiła i zobaczył jak Alistair trzyma złotą bransoletkę, szeroką na sześć cali, a następnie zapina ją na jego rękę. Objęła jego nadgarstek i pól przedramienia. Błyszcząca, lśniąca i zmieniająca kolory w świetle.

Thor przyjrzał się jej zdumiony. Mogła powiedzieć, że był naprawdę przejęty.

- Kraina Druidów to straszne miejsce, - powiedziała - to kraina wielkich mocy. Ale też wielkich niebezpieczeństw. Będziesz potrzebował jej bardziej niż ja.

- Co to jest? - zapytał, przejeżdżając palcem po gładkiej powierzchni.

Wzruszyła ramionami.

- To jedyna rzecz, którą zostawiła mi Matka. Nie wiem co to jest, ani do czego służy. Wiem jednak, że tam



dokąd się udajesz, będzie ci to potrzebne.

Thor zbliżył się do niej i, wyraźnie wdzięczny, mocno przytulił Alistair. Ta odwzajemniła jego uścisk.

- Dbaj o siebie - powiedział Thor.

- Przekaż Matce moją miłość - powiedziała. - Przekaż jej, że ją kocham. I że mam nadzieję, że pewnego dnia ja również ją spotkam.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Służący otworzyli podwójne drzwi, a Reece przygotowywał się do tego, aby w samotności nawiedzić komnatę swojej umierającej matki. Czuł klucie w żołądku kiedy wchodził do ciemnego pokoju, oświetlonego jedynie przez migające pochodnie. Opiekunki pochylały się nad łóżkiem jego matki, nakładając jej na czoło maści. Hafold stała najbliżej niej. Reece martwił się przez całą podróż, że nie zdąży spotkać się z matką przed jej śmiercią - był więc bardzo wdzięczny losowi, że mu się to udało. To pierwsze miejsce w jakie się udał, po tym jak statek przybił do brzegu, nie był jeszcze nawet u Selese, aby przekazać jej wiadomości dotyczące ślubu.

Myśl o umierającej matce rozdzierała Reece'a od środka. Ze wszystkich dzieci, to Reece, najmłodszy, zawsze był z nią najbliżej. Zwierzali się sobie wzajemnie, a matka była dla niego miłsza i delikatniejsza niż dla reszty jego rodzeństwa. Chroniła go przed wybuchami gniewu ojca i zawsze starała się upewnić, że miał wszystko co najlepsze. Myśl o tym, że matka umiera, sprawiała, że Reece czuł się jakby umierała też część niego. Najbardziej na świecie pragnął teraz, aby udało jej się dożyć do jego ślubu.

Zbliżający się ślub wprawiał Reece'a w zakłopotanie. Przez cały czas na statku, jego umysł wypełniały myśli o Starze, o ich spotkaniu, o tym jak bardzo ją kocha. Podczas podróży ciągle był zdecydowany, aby ją poślubić, aby zmusić się do przekazania tych wieści Selese.

Ale teraz, kiedy na nowo był w Królewskim Dworze, kiedy zobaczył wszystkie te szalone przygotowania do ślubu, nie był już tego taki pewny. To był spektakl. Królewski Dwór wyglądał piękniej niż kiedykolwiek, a wiele tysięcy ludzi przybywało z różnych zakątków Kręgu, i świata, aby zobaczyć to przedstawienie. Reece miał być w samym centrum wydarzeń. Zawiedzie nie tylko Selese, ale także swoją siostrę i Thorgrina, psując tak ważny dla nich dzień, do którego przygotowywali się w pocie czoła. Zawiedzie także tysiące ludzi, którzy

zamiarują uczestniczyć w tej wielkiej uroczystości.

Jak mógłby coś takiego zrobić? Jak mógłby zdradzić swych ludzi? I przede wszystkim, jak mógłby zdradzić Selese? Myśl o tym jak bardzo ją zrani, wykańczała go do cna. Chodziło przecież o Selese, która zawsze była w stosunku do niego miła i wierna. Czy miał prawo podążać za swoimi emocjami, za swoim sercem? A może był samolubny, nie postępował właściwie zdradzając wszystkich wokoło?

Reece zupełnie nie wiedział co powinien zrobić. Czuł się niczym zdrajca, niczym najgorszy zdrajca na całym świecie.

Jedyną osobą, której nie zdradzał była Stara.

Pomyślał o niej i poczuł przypływ miłości, silny niczym fala, która byłaby w stanie zakryć cały świat. Była to miłość, która całkowicie go dopadła, miłość silna wystarczająco, aby przeciwstawić się wszystkiemu i wszystkim, których znał.

Kiedy Reece dotarł do łóżka matki, zmusił się, aby odrzucić te myśli i skupić się tylko na niej. Kiedy położył dłoń na jej ręce, otworzyła oczy, a następnie skinęła na Hafold, która szybko wyprosiła wszystkich z pokoju, po czym sama opuściła komnatę.

Reece został z matką sam na sam. Chciał, jak robił to przez całe życie, zwierzyć się jej, zapytać co myśli, poznać jej zdanie. Nie wiedział jednak czy może to uczynić. Nie wiedział, czy jest w odpowiednim stanie, aby tego wszystkiego wysłuchać, czy odpowiedzieć. I niezależnie od tego jak było to wszystko dla niego ciężkie, jak bardzo czuł się rozdarty, nie chciał jej smucić, szczególnie w ostatnich chwilach jej życia. Ponadto podarowała mu swój królewski pierścień, którego miał użyć podczas oświadczyn Selese, dała mu go wraz ze swoim błogosławieństwem. Jak mógłby jej teraz powiedzieć, że pragnie poślubić kogoś innego?

Reece wziął bezwładną dłoń matki w obie dłonie, a kiedy opuścił swą głowę, aby dotknąć czołem jej ręki, łza popłynęła mu po policzku. Był przytłoczony emocjonalną wicherą.

Matka podniosła się nieco na łóżku, spojrzała na niego z góry, następnie kaszlała i kaszlała, dźwięk ciągle rozbrzmiewał w jej piersi. Był to rodzaj kaszlu, jakiego nigdy nie słyszał, był to kaszel starej kobiety. Przeraziło go to. Ścisnął jej dłoń.

- Mamo przepraszam, - powiedział - przepraszam, że nie mogłem być tu wcześniej.

- Byłeś daleko z powodu ważnych spraw, - powiedziała -

z powodu spraw Królowej. W końcu Wyspy Górne także są istotne.

Matka patrzyła na niego znaczącym spojrzeniem, które doskonale znał.

- Słyszałam, że miałeś też inne sprawy - dodała.

Reece popatrzył na nią z niedowierzaniem. Skąd wiedziała? Nawet tutaj, teraz, za oceanem? Nie doceniał jej. Nic jej nie umknęło. Powinien był wiedzieć, przez całe jego życie, jego matka zawsze wszystko wiedziała. Miała szpiegów w każdym zakątku królestwa i zawsze wiedziała wszystko przed nim, a nawet przed jego ojcem. Z niczym nie mógł się ukryć. Było nawet takie powiedzenie w Królewskim Dworze: „Kiedy korytarze szepczą, Królowa MacGil wie o tym wcześniej niż echo”.

- Skąd wiesz? - spytał Reece, doskonale wiedząc, że jest to głupie pytanie.

Pokręciła tylko głową.

- Jak mogłeś to zrobić? - zapytała niezadowolona.

Reece poczerwieniał zawstydzony.

- Dałam ci swój pierścień - dodała jego matka. -

Pierścień, który podarował mi twój ojciec. Pierścień honoru. Pierścień, który poświadcza twoje słowa, który zapewnia, że nie zdradzisz drugiej osoby. Z żadnego powodu. To był pierścień oddany na wieczność. Miałeś moje błogosławieństwo, aby podarować go Selese, a ty zrobiłeś sobie z niego kpinę.

Spojrzała na niego z pogardą, a Reece odwrócił wzrok, upokorzony, niezdolny do odwzajemnienia jej spojrzenia. Jego zmieszanie narastało, czuł się coraz bardziej niepewny.

- Przepraszam Matko - powiedział. - Nie chciałem cię zawieść. Nie chciałem zakochać się w Starze. Nie planowałem nawet, że ją spotkam.

- Ale kiedy ją spotkałeś, nie odszedłeś. To był twój wybór. To były twoje działania. Może uszczęśliwiłeś w ten sposób jedną samotną kobietę, ale pomyśl ile innych osób będziesz musiał przy tym zranić.

Matka znów pokiwała głową.

- To już nie jest tylko twoja sprawa - dodała. - Z czasem zobaczysz, kiedy podrośniesz, że pożądanie jest często mylone z miłością, a pożądanie to dziecinna rzecz. Im będziesz starszy, tym lepiej zrozumiesz, że miłość, prawdziwa miłość, opiera się na poświęceniu i

odpowiedzialności. Szczególnie w twoim przypadku - jako że jesteś członkiem rodziny królewskiej. Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi. Jesteśmy aktorami. Całe królestwo spogląda w naszym kierunku. Tworzymy spektakl dla mas. Nie bądź głupcem. Spacyfikowane masy sprawiają, że rodzina królewska może rządzić. Twoje życie nie jest twoją prywatną sprawą. Ludzie na ciebie patrzą. Nie możesz zarzucić całunu hańby na królewską rodzinę. Dałeś słowo i musisz go dotrzymać. I to jest ponad wszystko. W innym przypadku, czym byśmy byli? Jaką wartość miałaby królewska krew?

Czoło Reece'a oblane było zimnym potem, wyciągnął rękę i wytarł je wierzchem dłoni. Jego usta robiły się coraz bardziej suche. Rozważał słowa swojej matki, tak przeszywające, jak zwykle.

- Przykro mi Matko, - powtórzył po raz kolejny - przez całe swoje życie byłem honorowy. Nie chciałem nikogo zhańbić.

- A jednak to zrobiłeś - odparła.

- Nie miałem zamiaru zhańbić Selese - przekonywał. - Kocham Starę. Czy to nie jest złe, aby ignorować czyjeś uczucia?

- Uczucia przemijają - zadrwiła. - Działania zaś są

trwałe. Mógłbyś podążać za swoimi pasjami, gdybyś był człowiekiem z ludu. Ale nie jesteś. Jesteś synem Króla. Nie masz tego luksusu, aby kierować się emocjami. Robisz to, co jest w danym momencie dobre, to czego się od ciebie oczekuje. Nie zdradzasz tej, której dałeś słowo, tej, która pokłada w tobie swoją wiarę.

Westchnęła.

- Stara poczuje się zraniona, to prawda. Ale to tylko jedna osoba. Reszta królestwa będzie zadowolona. Możesz żałować tego przez całe swoje życie. Może ci się to nie podobać. Możesz nawet mnie znienawidzić. Jest to cena, którą się płaci za bycie członkiem królewskiej rodziny. Honor może mieć wiele postaci. Honor okazywany w codziennym życiu - oto trudne zadanie. Powinieneś wprowadzić honor do miłości, tak jak wprowadzasz go na pole bitwy. Jeden nie jest ważniejszy od drugiego. Wskaż mi honorowego wojownika, który zdradził swoją żonę, a ja pokażę ci wówczas mężczyznę, który jest zupełnie nic nie warty.

Ton jego matki był ostrzejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Reece zrozumiał, że był to głos kobiety na łożu śmierci, kobiety, której zostało już niewiele czasu i która nie miała nic do stracenia. Wyraźnie chciała zdążyć przekazać swoją wiadomość. Reece z ledwością rozpoznawał ten ton.



Najgorsze było to, że wiedział, iż ona ma rację. Nisko spuścił swoją głowę, marząc, aby być gdziekolwiek indziej, byle nie w tej dusznej komnacie. Pragnął nigdy nie mierzyć się z tym problemem. Jak to się stało, że jego życie tak nagle się skomplikowało.

- Nie jesteś już chłopcem - powiedziała. - Jesteś teraz mężczyzną. I dlatego oczekiwano od ciebie, że będziesz uczył się od innych mężczyzn czym jest honor. Nie od kobiet. Oznacza to jednak, że nauczono cię tylko połowicznie na czym polega bycie honorowym. Nadszedł czas, abyś nauczył się kobiecego aspektu tego pojęcia. Tylko wtedy staniesz się prawdziwym mężczyzną.

Reece czuł jak jego cała twarz przybrała kolor gorejącej czerwieni. Wstydził się bardziej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

- Masz rację - powiedział w końcu, jego głos się łamał i ledwie potrafił wypowiedzieć słowa. - Moje działania nie przystają królewskiej rodzinie. Dałem słowo i muszę go dotrzymać. Niezależnie od kosztów. Bez względu na koszty. Bez względu na cenę.

Reece zwiesił głowę, cały świat wirował w jego głowie, marzył tylko o tym, by umrzeć. Najbardziej bowiem, bolało go to, że zranił w ten sposób swoją matkę. I to w

dodatku na jej łożu śmierci. Chciałby móc cofnąć czas. Chciałby, aby jego wyprawa na Wyspy Górne nigdy nie miała miejsca.

Reece poczuł, że matka ściska mu dłoń. Zaskoczyła go jej siła. Spojrzał na nią ze łzami w oczach. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że się do niego uśmiecha - to była stara, kochająca matka, którą zawsze znał.

- Jestem z ciebie dumna synu - powiedziała. - I ojciec też by był. Przeanalizowałeś to i postąpisz właściwie. A teraz idź, spraw, aby Selese została twoją żoną. Użyj mojego pierścienia honoru. I usuń imię Stara ze swojej głowy. Wyspy Górne przynoszą tylko kłopoty - jak zwykle.

Reece uśmiechnął się, czując przypływ miłości do swojej matki. Jednocześnie był zdruzgotany, że wkrótce ją utraci, swojego najlepszego doradcę, jedyną osobę, której ufał absolutnie we wszystkim.

Pochylił się i mocno ją uściskał, płacząc jej na ramieniu na samą myśl o tym, że ją utraci. Ona również się do niego zbliżyła i przytuliła go swoimi kruchymi ramionami.

- Kocham cię najbardziej Reece, - powiedziała - najbardziej ze wszystkich moich dzieci. Zawsze tak było.

Reece płakał, owładnięty emocjami. Wiedział co musi zrobić. Musi czym prędzej dotrzeć do Selese. Jak najszybciej powiedzieć jej jak bardzo ją kocha. Powiedzieć jej, że pragnie, aby to właśnie ona, a nie ktokolwiek inny, została jego żoną.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Selese opuściła dom chorych i ściągnęła fartuch. Na jej twarzy rysował się szeroki uśmiech. Skończyła ze swoimi obowiązkami na dziś. Było piękne letnie popołudnie, oba słońca świeciły pełnym brzaskiem, wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy, Selese westchnęła głęբoko. Ruszyła przez pole kwiatów, czuła optymizm, który nie towarzyszył jej od lat, przez cały czas myślała o swoim ślubie.

Czuła motyle w brzuchu. Jej ślub z Reecem, z miłością jej życia, miał odbyć się już za kilka dni i szczerze powiedziawszy ledwie potrafiła myśleć o czymkolwiek innym. Przez cały poranek, nawet kiedy opiekowała się chorymi, wyobrażała sobie ślub. Widziała siebie i Reece'a kroczących razem w stronę ołtarza. Widziała tysiące osób, które przybyły, aby stać się świadkami tej radosnej ceremonii, podwójnego ślubu - ich oraz Gwendolyn i Thorgrina. A przede wszystkim

wyobrażała sobie jak Reece ją całuje, jak ona go trzyma, jak przysięgają sobie, że będą ze sobą do końca swoich dni. Wyobrażała sobie radość jaką poczuje, wiedząc, że w końcu jest jego żoną, po wszystkich tych miesiącach czekania, teraz wreszcie nic nie będzie w stanie ich rozdzielić.

Selese nie chciała niczego więcej. Reece skradł jej serce w momencie kiedy ujrzała go po raz pierwszy, a dzień, w którym oficjalnie stanie się jego żoną, będzie najszczęśliwszym dniem w jej życiu - i początkiem jej nowej drogi. W pewien sposób czuła, jakby jej życie zaczęło się dopiero wtedy, kiedy go poznała.

Selese zaczęła biec, przemierzając pola, pragnąc jak najszybciej wrócić do Królewskiego Dworu i dokończyć wszystkie sprawy związane z przygotowaniem do ślubu, jakie zaplanowane były na ten dzień. Pozostały jeszcze ostatnie przymiarki sukni, wybór kwiatów i bukietów oraz wiele innych rozmaitych spraw czekających na nią. Nie chciała więc się spóźnić.

- Selese - zabrzmiał głos, którego nie znała.

Selese odwróciła się na ten dźwięk i, ku swojemu zdziwieniu, zobaczyła, że w jej kierunku podąża na koniu mężczyzna, którego nie znała. Miał na sobie zbroję pochodzącą z jakiegoś innego miejsca. Zajęło jej

chwile, aby rozpoznać, że był to strój MacGilów z Wysp Górnych. Zastanawiała się cóż ów mężczyzna miał tu tak ważnego do załatwienia i skąd znał jej imię.

- Ty jesteś Selese prawda? - zapytał zsiadając z konia i łapiąc przy tym oddech.

Jej serce zadrżało, kiedy zobaczyła jego poważny wyraz twarzy. Wiedziała, że Reece był ostatnio na Wyspach Górnych. - Z niecierpliwością wypatrywała jego powrotu - więc natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy mężczyzna nie przywozi jakichś złych wieści. Być może Reece był chory, albo został ranny, albo stało mu się coś złego.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała szybko.

- Nazywam się Falus. Jestem najstarszym żyjącym synem Tirusa, z rodu MacGilów z Wysp Górnych. Obawiam się, że przynoszę złe wieści.

- Złe wieści? - powtórzyła.

Od razu się zatrzymała, zmroziło ją, przygotowywała się na wiadomość o tym, że coś stało się Reece'owi.

Podeszła do przodu i chwyciła mężczyznę za nadgarstek.

- Proszę mi powiedzieć, czy wszystko z nim w porządku? - powiedziała zaniepokojona.

Falus skinął głową, a ona odetchnęła z ulgą.

- Reece'owi nic nie jest. Nie tego dotyczy wiadomość, którą przynoszę.

Spojrzała na niego zdezorientowana. Jaki inne wieści mogły być skierowane do niej?

Falus wyciągnął zwoje, a następnie jej je podał. Selese spojrzała nań, zmieszana.

- Przykro mi, że muszę przekazać takie wieści, jednak my, MacGilowie z Wysp Górnych jesteśmy bardzo honorowi i uznaliśmy za istotne, abyś się tego dowiedziała od razu. Człowiek, którego kochasz, Reece, zamierza cię zdradzić. Kocha kogoś innego.

Selese poczuła jak na dźwięk tych słów całe jej ciało ogarnia chłód, spojrzała na niego zaskoczona, próbując zrozumieć co właśnie powiedział. Straciła poczucie czasu i przestrzeni, to było jak jakiś koszmar.

Nie potrafiła wypowiedzieć słowa.

- Moja siostra Stara, - kontynuował - kuzynka Reece'a, jest w nim zakochana. A on w niej. Ich romans rozkwitł

kiedy byli jeszcze dziećmi. Lata zanim się poznaliście. Podczas jego ostatniej podróży na Wyspy Górne, Reece odnalazł Starę wyznał jej swoją miłość i przyrzekł ją poślubić. W sekrecie.

Westchnął.

- Zwoje, które trzymasz zawierają dowód ich miłości. Zobaczysz jej list do niego i jego do niej, w obu wyznają sobie miłość. Bez wątpienia rozpoznasz charakter pisma Reece'a.

Serce Selese biło, dudniło tak mocno, że ledwie była w stanie myśleć. Trzęsącymi się rękoma, rozwinęła zwoje, mając nadzieję, że jest to jakieś ohydne kłamstwo, jakaś okrutna pomyłka.

Jednak kiedy zaczęła czytać, od razu rozpoznała pismo Reece'a. Myślała, że zwymiotuje kiedy przeczytała jego miłosne wyznanie do Stary. Zwój wyglądał na stary, kruchy, jednak jakoś tego nie zauważyła. Skupiła się jedynie na słowach Reece'a.

Poczuła jak cały jej świat rozpada się na części.

Jak to się mogło stać? Jak ktoś taki jak Reece, ktoś tak honorowy, szlachetny i oddany, mógł zrobić coś takiego? Jak mógł ją zdradzić w taki sposób? Jak mógł ją okłamać? Jak mógł kochać kogoś innego?

W jej głowie roило się od myśli, starała się to zrozumieć. Nie miało to żadnego sensu. Jeszcze minutę temu przygotowywała się do tego, aby go poślubić. Był to mężczyzna, którego kochała każdą najmniejszą cząstką siebie, mężczyzna, który był dla niej całym życiem. Była pewna, że on też ją kochał. Czy tak bardzo się myliła? Nigdy nie sądziła, że Reece mógłby ją kiedykolwiek zawieść? Czy była aż tak naiwna?

- Przykro mi przynosić te wieści, - powiedział Falus - doszliśmy jednak do wniosku, że powinnaś dowiedzieć się o tym od nas. Reece upokorzył cię w obu królestwach.

Selese zalała się łzami. To było więcej niż mogła znieść. Chciała odpowiedzieć, powiedzieć Falusowi, aby zostawił ją w spokoju, chciała paść trupem.

Jednak głos zatrzymał jej się w gardle, a Falus odwrócił się i, niczym posłaniec śmierci, spiął swojego czarnego rumaka. Oddalał się coraz bardziej i bardziej, zbliżając się do linii horyzontu. Jechał wśród pól kwiatów, jednak teraz Selese nie potrafiła dostrzec ich kolorów. Jawiły jej się jako pola cierni.

Selese spojrzała na zwoje w swojej ręce, szlochała, jej łzy spływały po zwojach rozmazując atrament.



- NIE! - wrzasnęła.

Z każdą łzą czuła jak jej ciało rozpada się na części. Wszystko co sobie wyobrażała, wszystko czego była dotychczas pewna, okazało się nic nie warte.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Kendrick stał przed mostem rozpościerającym się nad Zachodnią Granicą Kręgu. Doglądał swych ludzi, nadzorował działania Srebrnych, którzy w pocie czoła zabezpieczali most i starali się przywrócić mu dawną świetność. Do grupy dołączyło kilku jego znamienitych przyjaciół, jak Atme i Brandt. Kendric pomagał mężczyznom toczyć głazy, aby dostarczyć nowe kamienie w miejsce, gdzie konieczne było odbudowanie barierki. Ten most doznał ogromnych zniszczeń kiedy podczas inwazji Imperium, Tarcza przestała działać i zbyt wiele stworzeń z Dzikich postanowiło skorzystać z możliwości przedostania się do Kręgu.

Kendrick przystanął na chwilę i spojrzął w dal, po swojej stronie Kanionu, zobaczył niezliczone ilości zwłok tych bestii, porozrzucane w trawach. Kiedy tak patrzył, kilku jego ludzi podniosło je i zaniósło nad krawędź przepaści. Przez tych ostatnich kilka miesięcy,

wpływały raporty z różnych części kraju, donoszące o tym, że przypadkowe bestie napadają na wioski. Teraz, po wszystkich tych miesiącach, podczas których Kendrick wraz ze Srebrnymi wyłapali je co do jednego, zabili każdą bestię, która prześlizgnęła się do Kręgu kiedy Tarcza była opuszczona, raporty już nie napływały. Kendrick był zdeterminowany, by Krąg stał się bezpieczniejszy niż kiedykolwiek. Pewnego dnia naprawią wszystkie szkody jakie wyrządził tu Andronicus.

Kendrick był zachwycony, że mógł być z powrotem ze swoimi ludźmi, znów wśród Srebrnych, że umacniali Krąg - to było właśnie to, jak czuł, do czego został stworzony. Cieszył się, że Gwendolyn powierzyła mu dowodzenie Srebrnymi, na poły z Ereciem. Że mogli sprawić, aby Krąg był silniejszy i bardziej bezpieczny. Erec dowodził działaniami na południowym wschodzie, gdzie odbudowywał rozsiane w różnych miejscach fortece. Wziął ze sobą do tej pracy połowę Srebrnych. Kendrick zaś wziął pozostałą część ludzi - ich zadaniem było umocnienie Kanionu.

Kendrick odwrócił się i spojrział na drugą stronę Kanionu, zobaczył, że kilka bestii czai się w Dziczy, obserwując przy tym ich pracę. Kiedy Tarcza była podniesiona, żadne z tych stworzeń nie odważyło by się przejść na drugą stronę. Stały tam więc - Dzicz się od

nich roiła - czekały na swoją szansę, aby znów przejść po moście, kiedykolwiek ta miałyby nadejść. Kendrick wiedział, że nie może dopuścić, aby się to stało.

- Podnieście głaz wyżej - krzyknął Kendrick do kilku rycerzy, a ci podnieśli ogromny kamień i umieścili go w odpowiednim miejscu.

Kendrick studiował krajobraz i widział jak wiele pracy jeszcze zostało. Niezliczona ilość wiosek wciąż nie była zabezpieczona. Konieczna była odbudowa murów i mostów. Przejścia potrzebowały strażników. Musiał zarządzać Srebrnymi w sposób strategiczny, oddelegowywać ich do konkretnych miejsc. Musiał pokazać, że ich obecność służy staniu na straży prawa. I pokazać w ten sposób potęgę Królewskiego Dworu. Ludzie musieli wiedzieć, że są bezpieczni, że są chronieni. A Kendrick musiał przygotować się na wszystko, jeśli, z jakiegoś powodu, nastąpiłaby kolejna inwazja na Krąg.

- Mój panie - dobiegł go głos.

Kendrick odwrócił się i zobaczył, że przybiegł do niego jego nowy giermek. Kiedy chłopak klękał, nie potrafił złapać tchu. Kendrick był zdziwiony kiedy go zobaczył, nie widział go od wielu miesięcy. Wrócił myślami do czasu, kiedy wysłał go na wyprawę. Chłopak pojechał w

daleką podróż, miał przeczesać Krąg wzdłuż i wszerz, próbując dowiedzieć się czegokolwiek o biologicznej matce Kendricka, której ten nigdy nie spotkał. Było to coś, co gryzło Kendricka, zawsze czuł palącą potrzebę poznania jej, dowiedzenia się skąd pochodzi. Nie podobał mu się pomysł, że oto jest bękartem świata. A informacja, że jego ojcem jest Król MacGil okazała się dla niego niewystarczająca.

Kiedy zobaczył powracającego giermka, jego serce zaczęło bić z niecierpliwością. Czy może zdobył jakieś wieści?

Kendrick zawsze miał nadzieję i marzył, że jego matka była księżniczką na swoich własnych prawach, może rządziła na jakiejś innej ziemi, daleko stąd. Może to by wyjaśniało dlaczego nigdy po niego nie wróciła. Może byli od siebie oddzieleni potężnym oceanem. Zaś najbardziej pragnął, aby po prostu żyła. Miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł ją zobaczyć, choćby raz, tylko po to, aby zapytać, dlaczego go porzuciła. Dlaczego nigdy nie rościła sobie do niego praw. Czy w ogóle wiedziała, że istnieje?

Serce Kendricka waliło, kiedy jego giermek stał prosto, wciąż starając się złapać oddech. Biorąc pod uwagę wyraz jego twarzy, Kendrick był przekonany, że przynosi on jakieś wieści.

- Panie, - powiedział giermek dysząc - myślę, że ją odnalazłem.

Kendrickowi zaschło w gardle, kiedy giermek wyciągnął rękę i umieścił w jego dłoni połowę medalionu. Spojrzał w dół na medalion z brązu, podniósł go do światła, następnie powoli ściągnął łańcuszek, który nosił na szyi odkąd tylko pamiętał - łańcuszek, na którym wisiała połowa medalionu wykonanego z brązu. Jego ojciec zawsze mu powtarzał, że druga połowa należała do jego matki.

Podniósł je w góry i był wstrząśnięty kiedy zobaczył, że idealnie do siebie pasują. W samym środku znajdowała się dziura, dziura, której krawędzie do siebie pasowały. Miejsca było wystarczająco, aby nawlec nic i aby stały się one jednym naszyjnikiem.

Był prawdziwy. Ręce Kendricka drżały. Marzył o tym dniu przez całe swoje życie.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytał Kendrick, ledwie potrafiąc coś wykrztusić.

- W małej wiosce w północnej części Kręgu mój panie. W sklepie. Kupiłem to od nich. Powiedzieli mi, że sprzedała im to pewna kobieta.

- Kobieta? - zapytał Kendrick. - Sprzedała?

Czy to była jego matka? Zaczął się zastanawiać. Jak mogła to sprzedać, jedną jedyną rzecz, która go z nim łączyła? Czy to stało się wiele lat temu?

Giermek skinął głową.

- Zaledwie kilka miesięcy temu - odrzekł. - Powiedzieli mi skąd pochodzi. Oraz jak ma na imię: Alisa.

Kendrick spojrział na niego oniemiały.

- Twoja matka żyje, mój panie.

Kendrick poczuł, że traci czucie w rękach, medalion piekł go w dłonie, spojrział poza horyzont.

Jego matka żyła.

Po całym tym czasie chciał ją wreszcie usunąć ze swojego umysłu, żałował nawet, że powierzył giermkowi to zadanie.

Im bardziej to rozważał, tym bardziej wiedział, że nie mógł postąpić inaczej. Pałaca ciekawość wzrastała w nim z każdą chwilą. Jego matka. Żyje. Jak wygląda? Czy jest do niej podobny? Czy ucieszy się na jego widok?

Kendrick spojrział poza horyzont i wiedział, że nie ma wyboru.

Musiał ją odnaleźć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Luanda wreszcie była po odpowiedniej stronie Pogórza, w Zachodnim Królestwie Kręgu. Wzdychała z radością kiedy jechała wraz z Bronsonem wzdłuż drogi prowadzącej do Królewskiego Dworu. Czuła się wspaniale będąc z powrotem u siebie. Doznała ogromnej ulgi kiedy zobaczyła swój dom, miejsce w którym dorastała; kiedy ujrzała ludzi - swoich ludzi - kłębiących się wokół; kiedy dostrzegła tłumy zmierzające do miasta na pogrzeb jej matki. Wreszcie była w domu.

Luanda nie potrafiła nadziwić się jak olśniewająco prezentował się Królewski Dwór, odbudowany, wspanialszy niż kiedykolwiek. Zrozumiała wówczas jak długo była nieobecna. Wygnana przez tak wiele miesięcy, jak jakiś zwykły banita. Nie mogła uwierzyć, że siostra zrobiła jej coś takiego.

Ale teraz czuła się zrehabilitowana. Została wezwana z powrotem na pogrzeb ich matki. Najwidoczniej Gwendolyn poczuła w sercu odmianę, zrozumiała, że się myliła i zmieniła zdanie, a teraz pozwala Luandzie

wrócić do domu.

Luanda westchnęła głęboko, jadąc koło Bronsona, obejmując go w biodrach. Jechali w dwójkę w dół z bocza w stronę Królewskiego Dworu, byli podniesieni na duchu pomimo smutnego wydarzenia, w którym mieli wziąć udział. Już za chwilę Luanda znów wjedzie do Królewskiego Dworu główną bramą i znów znajdzie się w cywilizowanym świecie. Być może istnieją jeszcze inne powody, dla których Gwendolyn ją wezwała -być może rozeszła się wieść o tym w jak doskonały sposób Luanda poradziła sobie z buntem, zabijając wszystkich tych McCloudów i podpalając tamtą salę. MacGilowie mieszkający blisko Pogórza uważali teraz Luandę za bohaterkę. Może Gwen to zrozumiała i ugięła się pod naciskiem ludu, żądającego powrotu Luandy.

Od tamtej nocy, od czasu jej bezwzględnego stłumienia buntu, żaden McCloud nie dopuścił się żadnych podejrzanych czynów. MacGilowie mieli teraz większą kontrolę nad miastem McCloudów niż kiedykolwiek.

Coraz większa ilość MacGilów, których znała, patrzyło na nią jak na swojego prawdziwego przywódcę. Bronson zawahał się, okazał słabość, a Luanda była tą, która wykazała się potrzebną siłą i determinacją. Wszystko się zmieniło i byli teraz postrzegani jako mąż i żona panujący nad miastem, jednak to Luanda uważana



była za osobę decyzyjną. Wydawało się, że Bronsonowi to nie przeszkadzało. Sytuacja ta go przytłoczyła, a on sam nie był nigdy nastawiony na władzę. Luanda zaś, nie wahała się ani chwili.

Bronson nigdy jej nie podziękował, ani nie pochwalił za owo bezwzględne działanie tamtej nocy; z drugiej jednak strony, nigdy też jej za to nie potępił. Prawdopodobnie wciąż był w szoku, a może, głęboko w środku, także podziwiał ją za to, co zrobiła.

Kiedy Luanda wróciła myślami do tamtej nocy, zrozumiała, że ona również wiele zawdzięcza Bronsonowi. W końcu gdyby nie on, gdyby jej nie uratował, byłaby teraz martwa. Ścisnęła go w biodrach jeszcze mocniej i oboje przeszli przez bramę. Im dłużej ze sobą byli, tym bardziej rozumiała, że Bronson jest jedynym człowiekiem, którego naprawdę kochała - jedynym, na którego mogła liczyć, jedynym, którego, pomimo jego słabości, szanowała i na którym jej zależało. Zawdzięczała mu życie. Nie było to coś, co nie miało dla niej znaczenia. Była gotowa trwać przy jego boku. A jeśli bezwzględność i brutalność były cechami, których brakowało mu do rządzenia, z chęcią mogła uzupełniać go w tych kwestiach.

Przeszli przez strzeliste bramy Królewskiego Dworu, dołączając do tłumu ubranego na czarno. Zsiedli z

konia, podobnie jak pozostali, Luanda zakładała, że zostanie powitana jako powracający bohater. Jaką różnicę zrobiło tych kilka miesięcy - jeszcze nie tak dawno wchodziła tu będąc w niełasce. Teraz została z powrotem zaproszona przez Królową. Dzięki swoim heroicznym czynom dokonanych w imieniu MacGilów, będzie teraz uczestniczyć w pogrzebie matki. Znów zajmie swoje miejsce, miejsce uznawanego członka rodziny królewskiej.

Luanda uśmiechnęła się szeroko, zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że czas jej wygnania już minął. Spodziewała się spotkać tam całe swoje rodzeństwo. Zapewne wszyscy jej przyklasną, wszyscy ją przeproszą, pozwolą jej wrócić na dwór, wraz z Bronsonem. Luanda nie umiała się doczekać, aby dowiedzieć się jaką pozycją Gwen zamiarują ją obdarzyć. Nie umiała też doczekać się momentu, w którym się tu ustatkuje. Przysięgła sobie, że już nigdy nie opuści Królewskiego Dworu - a przede wszystkim, że już nigdy nie przejdzie na drugą stronę Pogórza.

Luanda i Bronson szli przez Królewski Dwór wraz z masami, minęli kolejny łuk, wychodząc tym samym z jednej części miasta. Podążali wraz z konduktem żałobnym na wzgórze. Dzwony biły wraz z każdym ich krokiem.

Wreszcie wszyscy się zatrzymali. Tłum był tak liczny, że Luanda ledwie była w stanie zobaczyć cokolwiek ponad ludzkimi głowami, ledwie była w stanie dostrzec grobowiec swoich przodków.

Zdeterminowana, przecisnęła się przez tłum, trzymając przy tym za rękę Bronsona. Kiedy ludzie odwracali się i rozpoznawali kim jest, ustępowali jej miejsca, dzięki czemu była w stanie dotrzeć na sam przód, strażę również odsunęły się na bok.

Luanda zatrzymała się na polanie, rozglądając się wokoło. Przed nią znajdował się stary marmurowy grobowiec jej przodków, wybudowany na zboczu, jego dach pokryty był trawą - było to miejsce ostatniego spoczynku jej ojca, i jego ojca i wszystkich ich wcześniejszych ojców. Przed grobowcem znajdowała się niewielka przestrzeń, na której leżał sarkofag jej matki, wyrzeźbiony z marmuru i, szczęśliwie, zamknięty.

Obok stał Argon, zwrócony twarzą w stronę tłumy. W półkolu ustawiło się też całe jej rodzeństwo: Kendrick, Godfrey, Reece i, oczywiście, Gwendolyn. Luanda spojrzała nieco wnikliwiej kiedy zobaczyła, że Gwendolyn trzyma na ręku niemowlę. Była zdumiona. Ostatni raz kiedy ją widziała, dopiero co zaszła w ciążę.

Na widok dziecka Luandę ogarnęła zazdrość. Wyraźnie była trzymana z dala, nie poinformowano jej nawet o narodzinach dziecka, jej własnego siostrzeńca. A najgorsze było to, że Gwendolyn, jej młodsza siostra, trzymała w rękach dziecko, podczas gdy ona, najstarsza wśród rodzeństwa, stała tam bezdzietna. To było niesprawiedliwe. Sprawilo to, że Luanda poczuła przypływ oburzenia, postanowiła, że podwoi swoje starania w sprawie spłodzenia dziecka z Bronsonem - jeśli nie z innych powodów, to przynajmniej po to, aby przebić swą siostrę.

Obok Gwendolyn stał Thorgrin; obok Godfrey'a - Illepra; a obok Kendricka - Sandra. Przy nogach Gwendolyn stał Krohn, zwierzę, którego Luanda nigdy nie lubiła. Krohn odwrócił się i warknął na nią kiedy wchodziła na polanę, aby wraz z Bronsonem zająć swoje miejsce obok innych, miejsce przeznaczone wyłącznie dla rodziny.

Bronson stał tam, jakby bojąc się wejść na polanę przeznaczoną jedynie dla najbliższych, jednak Luanda chwyciła go za rękę i szarpnęła. Tak więc oboje podeszli do sarkofagu i zajęli miejsce u boku pozostałych.

Tłum zamilkł, tysiące ludzi stało i obserwowało jak Gwendolyn i jej rodzeństwo zwracają się w stronę

Luandy, widząc ją po raz pierwszy od wielu miesięcy. Patrzyli na nią z wymalowanym na twarzach kontrolowanym zdziwieniem. Zdecydowanie nie było to ciepłe powitanie, którego spodziewała się Luanda. Po chwili jednak przypomniała sobie, że było to ponure wydarzenie.

Luanda przyjrzała się Gwendolyn. Zaskoczyło ją jak bardzo się zmieniła od czasu kiedy była w ciąży. Wyglądała teraz dużo starszej, zdecydowanie doroślej jak na swój wiek. Zauważyła zmarszczki na jej czole oraz pod oczami - jak widać, bycie Królową zebrało swoje żniwo. Choć szczerze mówiąc, Luanda sama chętnie by się temu żniwu poddała.

Luanda spojrzała na Gwen, próbowała odnaleźć na jej twarzy jakiegokolwiek oznaki przeprosin i skruchy; jednak, ku swojemu zdziwieniu, nic takiego nie zauważyła. Gwen również na nią spojrzała, chłodno i twardo, patrzyła na nią tym samym wzrokiem co wtedy, kiedy skazała ją na banicję. Całe ciepło i współczucie, którym kiedyś charakteryzowała się jej siostra, zniknęło. Luanda nie rozumiała dlaczego. W końcu sama ją tutaj wezwała, czyż nie? Luanda stwierdziła, że im stawały się starsze tym trudniej było zrozumieć jej młodszą siostrę.

Nie było jednak czasu, aby teraz z nią porozmawiać.

Argon wystąpił przed sarkofag i podniósł wysoko w górę obie ręce. Wszyscy spuścili głowy i zamknęli oczy.

- Zebraliśmy się dzisiaj tutaj, aby uczcić śmierć umiłowanej członkini królewskiej rodziny MacGilów, - zagrzemiał, wiatr niósł jego głos wśród ciszy - nestorki rodu, oddanej żony kochanego przez nas Króla MacGila. Kobiety, która przez tak wiele lat była naszą ukochaną Królową. Osoby, którą wszyscy znaliśmy i kochaliśmy. Kobiety, która może wreszcie spocząć obok swojego małżonka, z którym została rozdzielona zbyt szybko.

Słowa Argona sprawiły, że Luanda zaczęła myśleć o swojej matce i o ich wzajemnej relacji. Była to relacja, w której Luanda zawsze czuła się pewnie, zawsze wydawało jej się, że wszystko dobrze rozumie. Teraz, kiedy była starsza, zaczęła się zastanawiać, czy może nie odczytywała tego w błędny sposób. Kiedy była młodsza, zawsze wydawało jej się, że to właśnie ona, pierworodne dziecko, jest ulubienicą swojej matki, jej dumą i radością, osobą, którą przygotowywała do roli wielkiej władczyni i Królowej. Nigdy się nie kłóciły.

Z drugiej strony Gwendolyn była osobą, z którą matka zawsze miała najwięcej trudności, z którą zawsze się kłóciła i na którą się wściekała. Luanda zaś zawsze dobrze rozumiała się z matką. Kiedy więc została

poślubiona do królestwa McCloudów, dla Luandy oczywistym było, że stało się to dlatego, że jej matka wiedziała, że będzie ona kobietą o wielkiej mocy i zgodziła się na to małżeństwo, aby zapewnić Luandzie silną pozycję, na którą zasługiwała. Sądziła też, że matka nie przewidziała dla Gwendolyn żadnej ważnej funkcji, więc zatrzymała ją tutaj, w Królewskim Dworze, gdzie żadna kobieta nie mogła objąć władzy, aby ta mogła prowadzić tutaj spokojne i puste życie.

Teraz, będąc o wiele starszą, Luanda zastanawiała się, czy się wówczas nie myliła. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, widziała to zupełnie inaczej. Teraz widziała, że ich relacja mogła być zupełnie odwrotna. Być może Gwendolyn była osobą, w którą jej matka wierzyła cały czas, tak samo jak wierzył i ojciec. Być może wszystkie te kłótnie i krzyki świadczyły o tym, że, paradoksalnie, to właśnie Gwen była jej bliższa. Być może brak kłótni z Luandą nie świadczył o ich wzajemnej więzi, ale o rozczarowaniu i obojętności jej matki. Być może matka wydała ją za mąż po to, aby pozbyć się jej z należącej do MacGilów części królestwa.

Luanda zastanawiała się. Zawsze zakładała, że matka podziwiała jej ambicję, a teraz, patrząc wstecz, wiedząc jak dostojne miejsce zostało zarezerwowane dla Gwendolyn, Luanda zaczęła dochodzić do wniosku, że

może tak naprawdę, matka nienawidziła jej ambicji. Spojrzała na swoje rodzeństwo w świeży sposób. Zauważyła, że wcale nie była przywódcą, nie była najbardziej szanowana - była raczej wyrzutkiem, i tą, którą kochano najmniej. Bardzo ją zabolalo, kiedy to zrozumiała. Pojęła też jak wielkimi złudzeniami żyła. Jak mogła wcześniej tego nie widzieć? Jak mogła się mylić przez tak długi czas?

Zaczęły wracać jej stare uczucia. Poczowała nagły przypływ gniewu i oburzenia. Spojrzała na kamienny sarkofag swojej matki, ale łzy nie napływały jej do oczu, inaczej niż jej rodzeństwu. Ogarnęła ją fala chłodnej neutralności.

Być może, Luanda starała się dojść do jakichś wniosków, być może urodziła się w nieodpowiedniej rodzinie. Powinna urodzić się w rodzinie, która by ją doceniła. Która by na nią zasługiwała. W końcu, co niby było z nią nie tak? Co było złego w posiadaniu ambicji? Wszak urodziła się w królewskiej rodzinie z ogromnymi ambicjami. Czy więc nie tego powinno się od niej oczekiwać? Dlaczego jej ambicja nie była doceniana?

Starała się wzorować na ludziach wokół niej - ale niestety, z jakiegoś powodu jej się to nie udało.



Argon powoli opuścił ręce, kończąc swą pieśń i recytowanie, rodzeństwo wystąpiło naprzód. Każde z nich wyciągnęło rękę i położyło mały kamyczek na pokrywie sarkofagu, jak nakazywał starodawny zwyczaj.

Luanda wykroczyła naprzód i powoli umieściła na wieku piękny, mały kamyczek, który znalazła nad brzegiem rzeki. Piękny kamyczek, który niosła przez całe królestwo. Była z siebie zadowolona. Ale zaraz potem Gwendolyn położyła obok swój kamień. Luanda zobaczyła, że był to wielki, żółty kamień, który błyszczał i lśnił w słonecznych promieniach. Był to najpiękniejszy kamień, jaki kiedykolwiek widziała. Luanda poczuła napływ nowej niechęci i zazdrości. Nawet przy śmierci, Gwendolyn prześcigała ją w każdej kwestii. Czy naprawdę nic nie pozostało dla Luandy? Czy nie było choć jednej kwestii, w której mogłaby być górą? Nie udało się nawet z tym?

Kilku dworzan wystąpiło do przodu i zaniósł sarkofag do grobowca. Po chwili osunął się w ciemność i ciało ich matki zniknęło.

Luanda odetchnęła głęboko, zdając sobie sprawę, że była niespokojna. Odwróciła się do Gwendolyn w przekonaniu, że teraz, kiedy ceremonia się skończyła, całe jej rodzeństwo będzie ją witać.

Zamiast tego ze zdumieniem zobaczyła, że Gwendolyn odwraca się do niej plecami i odchodzi.

- Gwendolyn! - zawołała Luanda ostrym głosem.

Gwendolyn odwróciła się w jej kierunku, podobnie jak reszta jej rodzeństwa, zapadła ciężka, niezręczna cisza.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytała Luanda zdumiona. - Nie powitasz mnie w domu?

- Powitać cię w domu? - powtórzyła Gwen, jakby zbita z tropu. - Nie jesteś w domu. A już na pewno nie jesteś tu mile widziana.

Luanda stała tam zaskoczona.

- O czym ty mówisz? Przecież zaprosiłaś mnie z powrotem do domu - stwierdziła Luanda czując, że świat wokół niej zaczyna się zapadać. Czy to miał być jakiś żart?

Gwendolyn stanowczo pokręciła głową.

- Zostałaś wezwana na pogrzeb naszej matki - poprawiła Luandę. - Na jej wyraźne życzenie. Nie moje. Twój wyrok nie został uchylony. Wracasz teraz do swojego domu, który znajduje się po drugiej stronie Pogórza.

Luanda czuła jak całe jej ciało ogarnia złość, poczuła mrowienie skóry. Jakby sztylet został wbity prosto w jej serce. Nie potrafiła nawet przetworzyć słów Gwendolyn, cały świat zaczął wirować wokół niej. Czy to możliwe?

- Ja jestem *w domu!* - nalegała Luanda, ledwie potrafiąc zebrać myśli. - I nigdy nie wrócę na drugą stronę Pogórza! Nigdy!

Teraz Gwendolyn poczerwieniała, patrząc na nią, była równie stanowcza.

- Ta decyzja nie należy do ciebie - powiedziała. - Podjęłaś decyzję w dniu, w którym postanowiłaś nas zdradzić. Twoja wina powinna zostać ukarana śmiercią. Byłam dla ciebie litościwa, skazując cię jedynie na wygnanie.

Luandzie chciało się płakać.

- Ale na jak długo? - zapytała. - Czy już nigdy nie pozwolisz mi wrócić?

- Pozostałaś przy życiu - powiedziała Gwendolyn. - Powinnaś być za to wdzięczna.

Luanda miała ochotę zabić swoją siostrę.

- Stałaś się okrutną, zimną Królową bez serca -

powiedziała. - Okropną siostrą, która zapomniała czym jest litość.

Gwendolyn zadrwiła.

- A czy ty pamiętałaś czym jest litość, kiedy zaproponowałaś Andronicusowi, aby nas wszystkich zabił?

Luanda zmarszczyła brwi.

- Ale to były inne czasy - odpowiedziała.

Gwen pokiwała głową.

- Nie zmieniałaś się Luando. I nigdy się nie zmienisz.

Luanda gapiła się na swoją siostrę i chciała ją jakoś zranić. Nie wiedziała jak, ale wiedziała, że musi coś powiedzieć zanim odjedzie, coś co naprawdę w nią uderzy. Zatoczyła się i spojrzała w dół, a jej oczy spoczęły na dziecku Gwendolyn.

- Przeklinam twoje dziecko - krzyknęła głośno.

Tłum westchnął z przerażeniem.

- Przeklinam go, aby cierpiał te same męki, na które ja zostałam skazana! Abyś nigdy nie mogła cieszyć się

jego obecnością, aż do końca swojego życia! Aby został ci odebrany, abyście zostali rozdzieleni i abyś nigdy nie mogła się nim cieszyć! - Luanda wrzasnęła trzęsąc się i wskazując na Guwayne'a.

Gwendolyn poczerwieniała do granic możliwości, rozglądając się, czym mogłaby rzucić w swoją siostrę.

- Weźcie to coś sprzed moich oczu - powiedziała Gwendolyn do swoich ludzi.

Strażnicy rzucili się do przodu, chwycili Luandę i pociągnęli ją.

- NIE! - Luanda kopała i krzyczała, a rzesze gapiów obserwowało, kiedy ciągnięto ją w tył tłumu. Bronson starał się odciągnąć od niej strażę, ale nie był w stanie tego zrobić.

- Nie możecie mnie tam odesłać. Wszędzie, tylko nie tam!

Luanda czuła jak jej serce pogrąża się w bólu. Wiedziała, że zostanie odeskortowana z powrotem na drugą stronę Pogórza, do miejsca, które uważała za piekło. Widziała, że już nigdy nie będzie mogła postawić stopy na swojej ojczystej ziemi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Drugie słońce wisało nisko nad horyzontem, niczym wielka czerwona kula na niebie. Selese spojrzała w górę i obserwowwała je przez łyżę. W ręce trzymała skrawki pergaminu, który podarła. Listy leżały zwinięte w jej dłoni. Te, które udowadniały, że Reece kochał kogoś innego. Po podarciu ich na kawałki, zebrała strzępy pergaminu. Ostatecznie, jedyną rzeczą, która pozostała jej po Reece'u był jego charakter pisma. A pomimo wszystko, pomimo tego jak ją skrzywdził, wciąż go kochała - i to bardziej niż mogła to sobie wyobrazić. Teraz, kiedy przyszła nad Jezioro Smutków, chciała mieć przy sobie coś co należało do Reece'a.

Selese spojrzała w górę na krwawo czerwone słońce i nie odwracała wzroku tak długo aż zaczęły piec ją oczy. Nie obchodziło jej to. Oto, postanowiła, ostatnie słońce, które będzie widziała w życiu.

Selese spojrzała na Jezioro Smutków, połyskujące na czerwono, odbijające słońce. Wyglądało jak żywe, jakby było to jezioro ognia. Było całkowicie spokojne, smagały je jedynie delikatne podmuchy wiatru. Drzewa wokoło szumiały, był to wysoki dźwięk, wydawało się jakby płakały, jakby wiedziały co ma zamiar uczynić Selese.

Selese płakała nieprzerwanie przez długi czas. Zrobiła pierwszy krok do wody, trzymając w ręce skrawki listów Reece'a. Myślała o całym tym czasie, który z nim spędziła. O tym jak żywe było jej uczucie do niego. O tym z jaką niecierpliwością wyczekiwała ich ślubu, ich wspólnego życia. Jej miłość do niego była tak silna, że ledwie potrafiła ją pojąć. Przeszłaby za nim cały Krąg, zrobiłaby dla niego wszystko. Ale jeśli on nie kochał jej równie mocno, nie miała po co żyć.

Ich miłość nadała jej życiu nowego znaczenia. Wszystkie te miesiące, podczas których przygotowywali się do ślubu były najwspanialszym czasem w jej życiu. A teraz miała zostać publicznie upokorzona, wzgardzona przez Reece'a. Jego oświadczyzny miały zostać zerwane. Miała zostać porzucona przed ołtarzem, upokorzona przed całym królestwem.

To było więcej niż mogła znieść. Nie chodziło o poniżenie czy pogardę - z tym mogłaby sobie poradzić - przede wszystkim chodziło o to, że Reece jej nie kochał. Najbardziej bolało ją, że nie odwzajemnia jej uczucia. A nawet gorzej - że kogoś innego kocha bardziej od niej.

Selese wykonała kolejny krok do wody, a potem kolejny.

Wkrótce była zanurzona do kolan, ciągle trzymając

strzępy pergaminu. Woda była zimna, bezlitosna, pomimo lata. Zaczęła się trząść.

Gdzieś wysoko nad sobą usłyszała pisk ptaka, wygięła szyję i zobaczyła krążącego po niebie, piszczącego sokoła. Z ledwością rozpoznała, że jest to sokół Thorgrina. Estopheles. Piszczął i piszczał. Jakby starał się ją przekonać, aby nie wykonywała kolejnego kroku.

Selese próbowała odciąć się od tych dźwięków. Spojrzała w dół, w wodę, która znajdowała się przed nią i wykonała kolejny krok. Teraz zanurzona była do ud.

Wyciągnęła ręce, w których trzymała podarty pergamin i delikatnie ułożyła je na tafli wody. Otworzyła dłonie i pozwoliła skrawkom odpłynąć, obserwowała jak niewielkie kawałki pergaminu odpływały, dalej i dalej, aż pergamin nasiąkał wodą i poszczególne kawałki zaczynały tonąć, jeden po drugim. Selese otworzyła szeroko swoje puste dłonie i pozwoliła zimnej wodzie, aby ta je obmywała.

Uczyniła kolejny krok.

I kolejny.

Była teraz zanurzona do piersi. Słyszała swój własny płacz, jej ciałem wstrząsnął szloch. Nigdy nie sądziła, że jej życie zakończy się w taki sposób. W tym miejscu. W



tym czasie. Że będzie sama. Bez Reece'a.

Życie zawsze obchodziło się z nią we wspaniały sposób. I nagle okazało się takie okrutne.

Selese usłyszała wysoko na niebie kolejny pisk. Odwróciła się i położyła na plecach, dryfowała bezwiednie na sam środek jeziora. Leżała całkowicie sztywno, unosząc się na wodzie, patrzyła w niebo.

Odmalowane było milionem czerwonych smug. Dwa słońca prawie się stykały, było to najpiękniejsze niebo jakie widziała kiedykolwiek w życiu. Dryfowała na plecach przez jakiś czas, aż w pewnym momencie jej kończyny zaczęły stawać się coraz zimniejsze, coraz cięższe i coraz bardziej zdrętwiałe. Poczowała, że zaczyna tonąć.

Nie walczyła z tym. Pozwoliła ściągać się w dół, wkrótce wodą zalała się również jej twarz. Zamknęła oczy. W lodowatej ciemności czuła, że jej ciało powoli tonie, że opada coraz niżej i niżej, wprost do czeluści Jeziora Smutków.

Zanim świat zamienił się w ciemność, w jej głowie pojawiła się ostatnia myśl: Kocham cię Reece.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Reece biegł co tchu wzdłuż leśnego duktu, raniony przez gałęzie i zupełnie nie zwracając na to uwagi. Jego serce waliło, podczas gdy on biegł do Jeziora Smutków. Po tym jak odwiedził swoją matkę, zdał sobie sprawę z tego, jak błędne były jego decyzje i udał się do Królewskiego Dworu, aby odnaleźć Selese i powiedzieć jej, że ją kocha i że nie może już dłużej czekać, aby ją poślubić.

Reece doszedł do wniosku, że jego miłość do Stary była porywem szaleństwa. Niezależnie czy jego uczucia były prawdziwe czy nie, zrozumiał, że musi usunąć Starę ze swojego umysłu. Powinien być z Selese, niezależnie od tego jakie uczucia żywił do Stary. Tak właśnie należało postąpić, taka decyzja była honorowa. A poza tym kochał Selese i to naprawdę bardzo. Może nie łączyła go z nią ta sama namiętność, ale kochał ją w inny sposób. I w pewnych kwestiach jego miłość do niej mogła nie być tak silna, ale w innych, mogła być nawet silniejsza.

Kiedy Reece dotarł do Domu Chorych i szukał Selese, natknął się na Illeprę, która przekazała mu okropne wieści: jeden z synów Tirusa złożył jej wizytę, pokazał jej zwoje i od tego momentu Selese nie była już tą samą osobą. Była zdruzgotana. Jednak zamknęła się w sobie i

nie chciała powiedzieć Illeprze co się stało. Jedyne co wiedziała Illepra to to, że Selese ucieka w stronę Jeziora Smutku. Dziewczyna była zaskoczona zachowaniem przyjaciółki.

Illepra podała Reece'owi jeden ze skrawków potarganych zwojów. W tym momencie krew się w nim ścięła, a ciało oblało się zimnym potem - rozpoznał swój charakter pisma. Zdumiony zdał sobie sprawę, że był to stary zwój, z jego dzieciństwa, zwój, w którym wyznawał Starze swą miłość.

Ale Selese nie mogła tego wiedzieć - zorientował się. Prawdopodobnie podejrzewa, że to świeża sprawa.

Reece wszystko zrozumiał - spłynęło to na niego w jednym okropnym momencie - Tirus dopuścił się podstępu; wysłał jednego ze swoich synów, aby przekonał Selese, że Reece kocha Starę. Chciał ich rozdzielić i upewnić się, że Reece ostatecznie będzie ze Starą. Bez wątpienia miało to służyć jego własnym celom. Tirus pragnął władzy - a zejście się Reece'a i Stary mogło mu ją zapewnić.

Reece poczerwieniał z wściekłości i upokorzenia kiedy zdał sobie z tego wszystkiego sprawę. Zrozumiał, że Selese myśli teraz, że on kocha Starę i ma zamiar odwołać ślub. Myśl o tym, jak bardzo musiało ją to

zaboleć, tym bardziej, że dowiedziała się od kogoś obcego, rozdzierała go od środka.

Kiedy Illepra wspomniała o Jeziorze Smutków, Reece od razu pomyślał o najgorszym. Odwrócił się i pobiegł co sił w nogach, nie zatrzymywał się nawet na sekundę.

Boże, proszę, *myślał podczas biegu*. Spraw, aby była żywa. Po prostu daj mi jeszcze jedną szansę. Jedną szansę, abym mógł jej powiedzieć, że ją kocham, że się z nią ożenię, że zwoje Tirusa były oszustwem, że to jedno wielkie nieporozumienie.

Reece biegł do utraty tchu, aż wreszcie, kiedy drugie słońce zaczynało chować się za horyzontem, wybiegł z lasu nad brzeg Jeziora Smutków. Reece miał nadzieję, modlił się o to, że zobaczy stojącą tam Selese.

Jednak kiedy tam dotarł, ze smutkiem zobaczył, że nikogo tam nie było. Spojrzał w dół na piasek i jego serce złamało się na widok podartych fragmentów zwoju. Wiedział już, że Selese tu była. Że trzymała zwój. I że go podarła. Nie wyglądało to wszystko dobrze.

Reece rozejrzał się po wodzie, w panice, mając nadzieję, że cokolwiek znajdzie. Póki co, nie widział niczego związanego z Selese. Obserwował linię drzew, rozpaczliwie poszukując jakiegokolwiek znaku,

czegokolwiek co wskazałoby mu, dokąd mogła pójść. Wciąż jednak niczego nie dostrzegął.

Kiedy słońce zapadało coraz niżej i zmierzch rozciągał się po niebie, Reece zmrużył oczy w ciemności i zauważył jakiś kształt na brzegu jeziora, jakąś postać leżącą na piasku.

Pobiegł w tamtym kierunku, mając nadzieję i modląc się o to, aby była to Selese. I aby wszystko z nią było w porządku.

- Selese! - krzyknął.

Nie ruszyła się jednak.

Reece dotarł do ciała, padł na kolana na piasku obok niej. Z trudem łapał oddech. Odwrócił jej ciało modląc się, aby wszystko było z nią w porządku.

Boże, błagam. Spraw, aby była to Selese. Spraw, aby nic jej się nie stało. Oddam ci w

zamian wszystko. Naprawdę wszystko.

Kiedy Reece ją odwrócił, poczuł, że cały świat osuwa mu się pod nogami.

To była Selese. Oczy miała szeroko otwarte. Jej skóra

była zupełnie blada. Jej ciało było lodowate w dotyku.

Odchylił się w tył i wrzasnął ku niebiosom.

-SELESE!

Reece zalał się łzami, pochylił się i przytulił ją, podniósł jej ciało. Ścisnął ją mocno w ramionach i kołysał się z nią w przód i w tył. Chciał, aby całe jego ciepło, całe ciepło o jakie miał w sobie, przeszło na nią, aby jej zimne martwe ciało wróciło do życia. Oddałby za to wszystko. Był głupi. Tak bardzo głupi. A teraz ta biedna dziewczyna, którą tak bardzo kochał, zapłaciła za to cenę.

- Selese - jęknął po raz kolejny i kolejny. - Tak bardzo mi przykro.

Reece przytulał ją coraz mocniej i mocniej, zastanawiał się czy los naprawdę może być tak okrutny. Dlaczego? Dlaczego musiało się to stać? Dlaczego nie zdołał tu przybiec zaledwie kilka minut wcześniej? Dlaczego nie miał szansy wszystkiego jej wyjaśnić?

Teraz było już za późno. Kiedy trzymał tak jej martwą postać, upadł z nią na piasek, a całym jego ciałem wstrząsnął szloch. Wiedział, że już nigdy, ale to przenigdy, nic nie będzie takie samo.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gwendolyn, otoczona przez swoją świtę, stała obok Thora na rozległym dziedzińcu Królewskiego Dworu, obserwując ostatnie przygotowania do ślubu, które odbywały się nocą. Skwer oświetlony był tysiącem pochodni, było jasno niczym w ciągu dnia. Armia służących uwijała się tam i z powrotem, nosząc tysiące kwiatów, formując żywopłoty, a nawet przynosząc wspaniałe rzędy kwitnących drzew. Inni pracujący ustawiali krzesła, dbali o dekoracje, a jeszcze inni zakładali przed ceremonią ostatnie pochodnie na ołtarzach. Nie było tu bowiem tylko jednego ołtarza, ale dwa, po jednym dla Gwendolyn i Thorgrina oraz Recce'a i Selese. Cały Krąg przygotowywał się do ich podwójnego ślubu. Miał to być największy i najwspanialszy ślub jaki Królewski Dwór kiedykolwiek widział, a Gwendolyn obiecała sobie, że zadba o to, aby tak właśnie było.

Gwendolyn wiedziała, że jej ludzie tego potrzebują. Podobało jej się, że wszystkie te wspaniałości przygotowywane są z myślą o niej, oczywiście, ale jej pragnieniem było sprawienie przyjemności wszystkim tym ludziom, którzy przyjechali tutaj, aby uczynić to widowisko czymś naprawdę wielkim. Wiedziała, że

czasem jej ludzie potrzebują schronienia i ochrony, innym zaś razem potrzebowali radości i szaleństwa. Rozrywka była w końcu równie ważną ludzką potrzebą, jak wszystkie inne. Czym byłoby życie wypełnione jedynie schronieniem i strawą. Ojciec zawsze powtarzał jej, że dobrzy władcy biorą pod uwagę ludzkie potrzeby, biorą pod uwagę ludzkie serca.

Gwen przechadzała się powoli przez miejsce przeznaczone na ceremonię, tak duże, by pomieścić całe miasto. Doglądała pracujących i wprowadzała niewielkie poprawki dotyczące dekoracji. Chciała postawić kropkę nad i, aby uczynić ten ślub tak pięknym jak to tylko możliwe. Chciałaby, aby jej matka była z nią tutaj i mogła wszystko to zobaczyć, aby mogła się z nią cieszyć. Niezwykle trudne było przejście od pogrzebu, do ślubu. Część niej zastanawiała się nawet, czy takie postępowanie było właściwe, jednak inna część wiedziała, że było to dokładnie to, co należało uczynić, czego potrzebowali ludzie. I czego chciałaby jej matka.

Gwen kierowała również jej miłość do Thora oraz do ich syna. Chciała, aby była to najpiękniejsza uroczystość jaka kiedykolwiek miała miejsce. Thor na to zasługiwał. Zasługiwała na to ich miłość. Wraz z Thorem przeszli przez tak wiele, że należała im się jakaś nagroda.

Gwen chciała również, aby było to wspaniałe



wydarzenie dla Reece'a i dla Selese. Reece był w końcu jej bratem, członkiem rodziny królewskiej i on również powinien mieć najwspanialszy i największy ślub jaki tylko mógł odbyć się w tym królestwie. Jej rodzice, gdyby żyli, również życzyliby sobie tego samego. A skoro ich tu nie było i nie mogli doglądać spraw, tak jak byli obecni podczas ślubu Luandy, wszystkie przygotowania spoczywały na ramionach Gwendolyn. Wiedziała, że musi się zachowywać nie tylko jak Królowa, nie tylko jak przyszła panna młoda, ale również być dla Reece'a niczym rodzic, którego dziś przy nim nie było. Nie było to trudne, jako że łączyła ją z Reecem silna więź, podobnie jak z Selese, która była dla niej prawie jak siostra.

Członkowie świty podążali za Gwen, byli zajęci dopasowywaniem jej sukni ślubnej. Pracowali nad nią od wielu miesięcy, a teraz dopracowywali ją do perfekcji. Gwen starała się stać prosto, kiedy czynili swoje poprawki, kiedy nakładali doskonałe jedwabie wokół jej ramion, nóg i nadgarstków, mierząc i dopasowując.

Gwendolyn przyglądała się temu wszystkiemu i była zadowolona - jednak głęboko w środku, pozostawała niespokojna. Złapała się na tym, że ciągle się zastanawia, rozmyśla, tak jak zwykł czynić jej ojciec. Wyglądała poza dziedziniec, na Królewski Dwór, na

swoje królestwo i poza nie - zaczęła zastanawiać się nad sprawami państwa. Martwiła się. Martwiła się w sposób, w jaki dobra Królowa martwić się powinna. Wciąż nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że nadciąga wielka burza.

- Pani, - przeszkodził jej służący - nie możemy dłużej czekać.

Gwen spojrzała na niego i zdała sobie sprawę z tego, że ma rację. Nie umiała pokonać fali niepokoju. Po raz setny zastanawiała się, gdzie mogą podziewać się Selese i Reece. Selese powinna tu być godziny temu, a Reece, jak wiedziała, przypłynął już z Wysp Górnych i zdążył widzieć się z matką, zanim ta odeszła. Reece również powinien tu być. Gdzie się podziewał? Czy jakimś trafem ta dwójka o tym zapomniała?

Nie sądziła, aby było to prawdopodobne.

Robiło się późno i Gwen wiedziała, że należy kontynuować próbę, skinęła więc zgadzając się.

Róg rozbrzmiał i Gwen z Thorem zaczęli iść bardzo długą alejką. Trzymali się za ręce, a w drugiej dłoni każde z nich niosło zapaloną pochodnię. Kiedy powoli zmierzali w stronę ołtarza, podążała za nimi grupa służących. Po każdej ze stron stały tysiące pustych krzesel. Już wkrótce, wiedziała Gwen, wszystkie one

zapełnią się ludźmi. Czuła motyle w brzuchu. Wszystko stawało się prawdziwe.

Była to próba generalna, poprzedzająca wielki dzień i serce Gwen kołatało z podekscytowania - wciąż jednak pozostawała nerwowa. To miał być najwspanialszy dzień w jej życiu i chciała, aby wszystko poszło gładko. Oczy całego królestwa będą zwrócone w tym kierunku, a znając ludzi, będą doszukiwali się jakichś znaków i przepowiedni.

Kiedy dotarli do ołtarza, umieścili swoje pochodnie w uchwytych, a następnie oboje weszli na podwyższenie.

Gwen spojrzała na ołtarze i zaczęła się zastanawiać. Gdzie jest Argon? Powinien tu być, aby poprowadzić całą ceremonię. Czy nie pojawił się dlatego, że była to tylko próba? Czy ma zamiar pojawić się jutro, podczas ślubu?

Gwen stała tam i czuła jak narastają w niej złe przeczucia. Spojrzała na dwie pochodnie na sąsiednim ołtarzu, przez całą noc znajdowały się w tym samym miejscu - były to pochodnie Reece'a i Selese. Gwen odwróciła się i spojrzała w ciemność.

Czuła, że coś jest nie tak. To nie było w stylu jej brata, aby się nie pojawić. Podobnie Selese - była tu z nią

przez wszystkie te miesiące, uczestniczyła w każdym etapie przygotowań. Wszyscy brali ślub razem, koniec końców, Gwen wiedziała jak ważne jest to wszystko dla Selese.

Czy tych dwoje gdzieś przepadło?

Gwen spojrzała w ciemność i zaczęła odczuwać skręt w żołądku. *Nie tego dnia*, pomyślała. Bardziej niż cokolwiek, pragnęła, aby nic złego nie wydarzyło się tego dnia.

Kiedy patrzyła tak w ciemność, poza wiele rzędów pochodni, coś zaczęło pojawiać się przed jej oczami. Był to królewski posłaniec, który zdążał w jej kierunku. Jechał dużo szybciej niż zazwyczaj i był otoczony przez dwóch towarzyszy. Po wyrazie jego twarzy poznała, że cokolwiek miał jej do przekazać, nie były to dobre wieści.

Gwendolyn chwyciła Thora za rękę i zeszła po schodach, z powrotem na alejkę. Wszyscy jej służący rozstąpili się, patrząc ze zdziwieniem na posłańca. Wciąż się do niej zbliżał, a Gwendolyn go obserwowała. Kiedy przed nią uklęknął, poczuła ucisk w dołku.

Pochylił nisko głowę, a następnie spojrział na nią

przekrwionymi oczyma.

- Pani, przynoszę wiadomość - powiedział, a następnie westchnął. - Wiadomość, której żaden człowiek nie powinien musieć nigdy przekazać.

Serce Gwen waliło, a w jej umyśle pojawiło się tysiąc scenariuszy.

- Przekaż ją zatem - powiedziała szorstko Gwendolyn.

- Chodzi o... - posłaniec przerwał i wytarł napływające łzy. Następnie wziął głęboki oddech. - Chodzi o Selese. Znaleziono ją martwą.

Gwen zaczęła ciężko oddychać, podobnie jak stojący u jej boku Thor - i jak pozostali świadkowie zdarzenia. Skuliła się i chwyciła za klatkę piersiową. Poczuła się jakby właśnie przed chwilą ktoś ją dźgnął.

- Selese? - powiedziała. - Co? Jak? To niemożliwe.

Gwen spojrzała wokoło na wszystkie te przygotowania do ślubu, połowa z nich przeznaczona była dla Selese. To nie miało żadnego sensu. Ona żyła, musiała żyć.

- Czy ktoś ją zaatakował? - Thor zmarszczył w gniewie swoje brwi i pochwycił rękojeść miecza.

Ale ku zaskoczeniu wszystkich, posłaniec smutno zaprzeczył głową.

- Nie, pani. Przykro mi to mówić, ale. sama odebrała sobie życie.

Gwen znów zaczęła ciężko oddychać, przerażona tym co usłyszała. Chwyciła dłoń Thora, a ten odwzajemnił jej uścisk. Nie mogła tego pojąć.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Dlaczego Selese miałyby odebrać sobie życie? Nasz ślub. ma się odbyć już jutro. Ona wyczekiwała tego dnia, bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Nie wiem pani - kontynuował posłaniec. - Wiem jedynie, że twój brat jest u jej boku. Nad Jeziorem Smutków.

Jej bliska przyjaciółka umarła i to w noc poprzedzającą swój ślub? W noc poprzedzającą najwspanialszy dzień w jej życiu? Jak to się mogło stać?

Gwen poczuła, że się zatacza, poczuła, że wszystkie jej starannie ułożone plany właśnie się rozpadają.

Odwróciła się i spojrzała na Thora, który także na nią patrzył, z tym samym smutkiem, równie skołowany. Ta noc największej radości właśnie zamieniła się w noc

najgłębszego żalu.

- Zaprowadź mnie do niego - zażądała Gwen, od razu idąc, zostawiając za sobą swoich ludzi, zdeterminowana, aby dowiedzieć się, co zaszło.

\*

Gwendolyn trzymała Thora za rękę i ścisnęła ją podczas kiedy szli, dawało jej to poczucie pewności, którego rozpaczliwie potrzebowała. Kiedy podążali leśną ścieżką w stronę Jeziora Smutków zamknęła oczy i miała nadzieję, że wszystko to, to jakiś koszmar, jakaś straszliwa pomyłka. Jednak część niej nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jednak była to prawda.

Gwen płakała ukradkiem, szybko wycierając przy tym łzy, wiedziała, że powinna okazać się Królowej. Jednak w środku, jej serce łamało się coraz bardziej, kiedy wiadomości zaczęły do niej docierać. Selese nie żyje.

Jedna z jej najbliższych przyjaciółek. Jej przyszła bratowa. Wielka miłość Reece'a. Jej partnerka podczas ślubu. I w dodatku sama odebrała sobie życie.

Jak to się mogło stać?

Nie miało to żadnego sensu. Gwen wiedziała jak bardzo Selese wyczekiwała jutrzejszego dnia. Dlaczego

miałaby zrobić coś takiego? Selese zawsze przepełniała radość, była pierwsza do pomocy ludziom w potrzebie, sama zgłosiła się do pracy w domu chorych.

Gwen westchnęła. Właśnie teraz, kiedy myślała, że mroczne czasy są już za nimi, kiedy miała nadzieję, że uwolnią się od smutku i wkroczą w czasy radości, okazało się, że smutek i żal jednak do nich powrócą. To tak jakby jakaś klątwa wisiała nad rodziną królewską, klątwa, przed którą nie można uciec.

W końcu przedarli się na leśną polanę. Gwen ciężko oddychała kiedy zobaczyła przed sobą Jezioro Smutków, jej brata klęczącego nad brzegiem, przycupniętego nad ciałem Selese. Krew zmroziła jej się w żyłach, kiedy usłyszała płacz Reece'a. Ze strachem stwierdziła teraz, że wszystko to było prawdziwe.

Gwen zbliżyła się do nich wraz z Thorem. Świta towarzyszyła jej z tyłu. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła bladą twarz Selese. Jej długie włosy rozłożyły się na piasku i lśniły w blasku księżyca. Gwen mocno ścisnęła rękę Thora.

Zatrzymała się stopę, może dwie, od nich i spojrzała na swojego brata. Nigdy nie widziała go tak załamane go, zanoszącego się od płaczu, wyglądającego jakby całe jego życie legło w gruzach.



Gwendolyn również płakała, uklękła i położyła dłoń na ramieniu Reece'a. Nie wiedziała co powiedzieć. Chciała wiedzieć co się stało, to oczywiste. Jednak nie był to odpowiedni czas na zadawanie pytań.

Reece odwrócił się i spojrzał na nią, jego oczy były całkowicie czerwone, a łzy spływały mu po policzkach.

- Bracie - powiedziała.

Pochyliła się, ale zamiast ją przytulić, Reece odwrócił się i znów spojrzał na Selese. Gapił się na nią, przykładając dłoń do jej twarzy, jakby wciąż starał się przywrócić ją do życia.

- Umarła przeze mnie - powiedział Reece głosem złamanego człowieka.

Gwen spojrzała na niego zszokowana.

- Przez ciebie? - powtórzyła.

Skinął głową,

Gwen była zmieszana.

- Powiedziano mi, że sama odebrała sobie życie - powiedziała.

Reece pokiwał głową.

- To ona dokonała czynu, - powiedział - ale wina leży po mojej stronie. Mógłbym równie dobrze wbić w nią sztylet.

Gwen zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. Jak to wina leży po twojej stronie?

Reece westchnął.

- Selese otrzymała wiadomość, przekazaną jej podstępem, że kocham inną kobietę. I że nasz ślub zostanie odwołany.

Gwen westchnęła, zdziwiona.

- A czy to prawda? - zapytała.

Reece wzruszył ramionami.

- Częściowo była to prawda, prawda obudowana kłamstwami. To prawda, znów poczułem miłość do mojej kuzynki, do Stary. Ale od czasu kiedy to nastąpiło, zmieniłem zdanie. Przyszedłem tu, aby odnaleźć Selese i powiedzieć jej, że jest moją jedyną miłością. Że chcę ją poślubić. Ale Tirus ją oszukał. Przysłał swojego syna, który przekonał ją, że jej nie kocham. To był podstęp.

Ale wina jest moja.

Reece zaszlochał.

- Gdybym tylko mógł cofnąć czas, oddałbym za to wszystko. Ale teraz jest już za późno.

Reece szlochał, a Thor położył mu na ramieniu dłoń, starając się dodać mu otuchy.

- Jakkolwiek nie wyglądałaby sytuacja, - powiedział Thor - to nie ty ją zabiłeś. Tak jak powiedziałeś, została oszukana. I ktokolwiek za tym stoi, powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Jednak Reece nie zwrócił uwagi na jego słowa, wciąż zanosząc się od płaczu.

Gwendolyn czuła jak łamie się jej serce, starała się przetworzyć tę straszną tragedię. Czuła potrzebę podjęcia działań, zrobienia *czegokolwiek*. Widziała, że ciało Selese było sztywne z zimna, że Reece był tu przez zbyt wiele godzin, wiedziała, że coś należy zrobić.

- Urządzimy dla niej odpowiedni pogrzeb - powiedziała Gwendolyn. - Z wszystkimi honorami. Nasze królestwo odda jej cześć.

Reece pokiwał przecząco głową.

- Nie, nie urządzimy. Nie można pochować jej na królewskim cmentarzu. Samobójcy nie mogą tam spocząć, nie pamiętasz?

Gwendolyn zastanowiła się, oczywiście, że pamiętała. Była to jedyna zasada, której jej ojciec bezwzględnie przestrzegał: osoba, która sama odebrała sobie życie, nie może zostać pochowana wśród ich królewskich przodków.

Gwen doszła do wniosku, że nadszedł czas na odważne decyzje.

- Jestem Królową - powiedziała pewnie - i to ja tworzę prawo. Selese zostanie pochowana z wszystkimi honorami na Królewskim Cmentarzu.

Reece spojrział na nią z dołu i wydawało się, że po raz pierwszy zaznał nieco spokoju.

- Pani, to będzie wielki precedens - powiedział Aberthol, występując naprzód.

- Jestem Królową, a ona zostanie pochowana w taki sposób, jakiego sobie życzę - powiedziała, spoglądając przy tym na Aberthola w tak miażdżący sposób, że ten wrócił na swoje miejsce.

Gwen położyła rękę na ramieniu brata. Odwrócił się,

spojrzał na nią i lekko się uspokoił.

- Zostanie pochowana, bracie, w należyty jej sposób. Nasz ślub zostanie odwołany, a jutro, zamiast niego odbędzie się jej pogrzeb. Czy przyniesiesz ją na cmentarz, aby jej ciało mogło zostać odpowiednio przygotowane?

Gwen musiała znaleźć sposób zaangażowania Reece'a, tak aby mógł poczuć, że stanowi część tego wszystkiego i aby mogli ruszyć do przodu.

Reece spojrzął na nią, jak gdyby się zastanawiał, po chwili skinął głową. Wydawał się być usatysfakcjonowany.

- Jeśli zostanie pochowana w taki sposób, z honorami, zgadzam się, zabiorę ją.

Służący Gwen podeszli do przodu, aby podnieść ciało, jednak Reece ich odepchnął.

Był wściekły z żalu i nie miał zamiaru nikomu pozwolić się do niej zbliżyć.

Zamiast tego, Reece schylił się i podniósł ją samodzielnie. Stał tam, trzymając ją w swoich ramionach, a następnie powoli odszedł w stronę leśnego duktu. Mężczyźni z pochodniami podążyli za nimi.

Gwendolyn i Thor pozostali z tyłu. Stali tam i spoglądali na siebie. Ich twarze oświetlane blaskiem księżycy wyrażały żal i niedowierzanie.

- Nasz ślub musi zostać przesunięty - powiedziała Gwen, jej głos pełen był smutku i rozczarowania. - Żal, który przepełni nasze królestwo będzie ogromny. Obawiam się, że nasz ślub może nie odbyć się jeszcze przez wiele miesięcy.

Thor skinął głową zgadzając się.

- Nasze dzwony weselne zostaną zastąpione przez pogrzebowe, - powiedział - tak bywa w życiu.

Thor objął ją, a ona jego, bardzo mocno go ściskając.

Na jego ramieniu Gwen płakała cicho, ogarnięta żalem i poczuciem straty. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że był to początek końca. Że nadchodzi nowe, że nadchodzi jeszcze bardziej mroczny czas, po upływie którego, nic w Królewskim Dworze nie będzie już nigdy takie samo.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Romulus maszerował szeroką drogą, żwir skrzypiał mu pod stopami. Prowadził tysiące żołnierzy - cały oddział

jego armii szedł za nim na wojnę. Stąpił całkowicie pewny, długimi krokami, nieustraszony, z rozpiętą koszulą, a na jego piersi wyraźnie odznaczał się wielki, błyszczący na zielono, amulet.

Od czasu ceremonii w jaskini Romulus czuł się jak nowy człowiek. Po tym jak wynurzył się z wody, po swojej inicjacji w kałuży ognia, czarnoksiężnik podarował mu amulet i przepowiedział, że jeśli będzie go nosił, stanie się Panem Smoków. Zapewnił go, że aż do następnego cyklu Księżyca, nic na tej planecie nie będzie w stanie go powstrzymać, nawet smoki, nawet Krąg. Wszystko to - wszystko co tylko potrafił sobie wyobrazić - będzie należało do niego.

Romulus czuł, że była to prawda. Od czasu opuszczenia jaskini wielokrotnie poddawał przepowiednię próbie. Wzmocnił swoją władzę nad Imperium, bezlitośnie mordując wszystkich swoich wrogów, wzbudzając strach wśród wszystkich swoich ludzi i przejmując siłą wszystkie legiony, które kiedyś należały do Andronicusa. Zniósł Radę Imperium i rządził teraz samodzielnie, swoją żelazną pięścią, pozostawiając za sobą jedynie ślady krwi. Odnosił kolejne sukcesy, nikt nie był w stanie go zatrzymać. Zarządzał w taki sposób, że całe Imperium drżało ze strachu na sam jego widok. Ceremonia działała.

Romulus wiedział, że dziś nastąpi ostateczny test jego siły. Ludzie Romulusa wierzyli teraz w niego, ze względu na przepowiednię, ze względu na plotki, które słyszeli. Wszyscy postrzegali go już jako Pana Smoków.

Ale Romulus jeszcze tego nie udowodnił i ludzie doskonale o tym wiedzieli. Był przekonany, że ten ostatni sprawdzian był najważniejszy: stanie się legendarnym władcą, raz na zawsze. By zapewnić sobie miejsce, z którego żaden człowiek nie będzie w stanie go strącić, potrzebował jeszcze olśniewającego pokazu siły. Musiał zademonstrować swoim ludziom, że rzeczywiście potrafi powstrzymać smoki.

Romulus maszerował ze wszystkimi swoimi ludźmi



przez południowe obszary Imperium, udając się do miasta Ganos, które kiedyś było wspaniałym miastem Imperium, a które teraz leżało w gruzach, plądrowane przez smoki. Przez ostatnie miesiące raporty donosiły o szeregu zniszczeń jakich dokonały smoki, sprowokowane przez Romulusa, który wszedł na ich terytorium i próbował wykraść Miecz Przeznaczenia. Stworzenia postanowiły się zemścić. Latały po całym Imperium, ziejąc ogniem, unicestwiając wielkie miasta, jedno po drugim. Nie było sposobu, aby je powstrzymać. Romulus wysłał wiele oddziałów, aby to zrobiły, ale zawsze zostawał z nich jedynie proch. Imperium traciło swe ziemie, a ludzie tracili wiarę w niego. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, wybuchnie powstanie.

Nadszedł teraz czas, aby Romulus zafundował im zapierający dech w piersiach pokaz swojej nowej siły. Aby udowodnił swoim ludziom, że rzeczywiście był Panem Smoków. Jeśli okaże się, że będzie w stanie zatrzymać i kontrolować smoki, będzie to oznaczało, że pozostała część przepowiedni również jest prawdziwa: pokona Tarczę i wejdzie do Kręgu. Uśmiechał się na samą myśl. Będzie miał pod sobą każdy cal i każdy kąt na całym świecie i stanie się najpotężniejszym władcą wszechczasów.

Jego serce waliło mocno podczas marszruty do Ganos -

przygotowywał się na to, aby zaryzykować życie i stanąć twarzą w twarz ze smokami. Jeśli umrze, przynajmniej zejdzie z tego świata w blasku chwały - ale jeśli przeżyje, no cóż, wówczas jego życie nigdy już nie będzie takie samo.

- Panie, czy jesteś pewien, że chcesz tego spróbować?

Romulus odwrócił się i zobaczył za sobą swoich najważniejszych generałów. Wpadli w panikę, jako że właśnie dotarli do ostatniego wzgórza, które dzieliło ich od Ganos. Dostrzegali strach w ich oczach, a byli to mężczyźni, którzy nigdy niczego się nie bali. Rozumiał ich. Kiedy tylko dotrą na szczyt, zupełnie się odkryją i nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko zmierzyć się ze smokami. A jeśli poszczęści im się tak samo, jak dotychczas każdej innej armii w Imperium, oni również, będą wkrótce martwi.

- Panie, proszę, zawróćmy - powiedział inny generał. - Wszyscy nasi ludzie zginęli za sprawą oddechu smoków. Co jeśli przepowiednia nie jest prawdziwa? Koniec końców, jesteś tylko człowiekiem.

Romulus nie zważał na nich, przyspieszył kroku, zdążył na szczyt góry uśmiechając się do siebie. Czuł, że wygra. A jeśli nie, nie obchodziło go to. Z chęcią zostanie pogrzebany żywcem wraz z wszystkimi jego

ludźmi. Szczerze mówiąc, wydawało mu się to całkiem zabawne. Nie bał się śmierci, jak pozostali. Wiedziała, że przyjdzie po niego dość wcześnie. A jeśli nie jest mu pisane bycie królem świata, woli doświadczyć śmierci już teraz.

Romulus dotarł wreszcie na szczyt i zatrzymał się, widok zaparł mu dech w piersiach. Na całej przestrzeni, która rozpościerała się teraz przed nim, od góry do dołu Romulus zobaczył dziesiątki smoków machających w powietrzu swoimi wspaniałymi skrzydłami. Wyginały swoje grzbiety, przeplatały się w powietrzu, wlatywały w górę, nurkowały w dół i plądrowały znajdujące się w dole miasto. Niektóre z nich ziały ogniem na i tak tłące się już budynki. Inne zlatywały w dół i swoimi wielkimi szponami odrywały starożytne budynki od ziemi, jakby były to zabawki, unosiły je w powietrze, a następnie wypuszczały z łap. Czerpały radość z niszczenia.

Ludzie Romulusa podeszli do niego i zatrzymali się, usłyszał za sobą stłumiony jęk. Czuł ich strach. Powietrze wypełnione było zapachem siarki, czuli gorąco aż tutaj, a wszystkie smoki wokół nich skrzeczały.

Jednak Romulus stał tam niczego się nie bojąc. Czuł, jak jego nowy amulet pulsuje mu na klatce piersiowej. Widział pulsującą zieleń i miał poczucie, że ogarnęła go

moc, której nie rozumiał. Była to pierwotna siła. Siła pochodząca z innego królestwa. Nie bał się spotkania ze smokami. Pragnął go.

Wszystkie te smoki, jakby wyczuwając jego obecność, nagle odwróciły się w jego kierunku. Przerwały to, co dotychczas robiły, wygięły swoje grzbiety i ryknęły we wściekłości. Wszystkie zaczęły lecieć w jego stronę z prędkością światła. Nurkowały prosto po niego.

Romulus stał na ziemi, nieustraszony, podczas gdy wielu jego ludzi odwróciło się i zaczęło uciekać z krzykiem. Romulus czekał cierpliwie, tak długo aż te potężne, starożytne stworzenia zasłoniły całe niebo, nurkując prosto po niego. Otworzyły swoje ogromne pyski i zaczęły ziać ogniem.

Romulus czuł ciepło, kiedy fala ognia zbliżała się w jego kierunku. Wiedział, że teraz nadszedł jego moment.

Wciąż się jednak nie bał. Zamiast tego podniósł jedną rękę, wyciągnął ją w stronę ognia i patrzył jak smoki zatrzymują się w powietrzu, zaledwie kilka stóp od niego. Potrząsnął dłonią do przodu, a kiedy to zrobił, deszcz ognia zmienił swój kierunek i wystrzelił w górę, zalewając smoki.

Smoki zapiszczały, a następnie w złości poleciały w

górze, jak najdalej od Romulusa.

Krążyły wokół, zdeterminowane. Ponownie próbowały nurkować za nim w dół. Robiły to z rozszerzonymi szponami i otwartymi pyskami - tym razem Romulus wyciągnął obie dłonie.

Wystrzeliło z nich w niebo niebieskie światło, które ogarnęło wszystkie smoki. Czuł jak amulet pulsował, nowa siła przepływała przez jego ciało, i w tym momencie poczuł, że ma władzę nad smokami. Podniósł swe ręce wyżej, a kiedy to zrobił, smoki zastygły w powietrzu.

Romulus podnosił je wyżej i wyżej, aż zatrzymały się dokładnie w tym miejscu, w którym sobie tego życzył.

Spojrzały na niego w dół, zdziwione, machające skrzydłami, niezdolne do ruchu, niezdolne do tego, aby zionąć w niego ogniem.

Gapiły się na niego w inny sposób. Było to spojrzenie bestii, które spoglądają na swojego Pana.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Reece klęczał pośród czarnej nocy, na szczycie klifów,

tuląc ciało Selese w swoich ramionach. Trwało to już kilka godzin. W otepieniu nie zwracał uwagi na zimno, i na wiatr, i na świat wokół niego. Tysiące ludzi trzymało w rękach pochodnie. Ogromny kondukt żałobny skupiający się wokół otwartego grobu, wszyscy cierpliwie czekali w ciszy, aż Reece opuści ciało Selese.

Ale Reece nie mógł pozwolić jej odejść. Trzymał ją tak od kilku godzin, płacząc przy tym tak bardzo, że powoli zaczynało mu brakować łez. Czuł się kompletnie pusty.

Ciągle był przekonany o tym, że to wszystko była jego wina. Jak głupi, lekkomyślny i nieodpowiedzialny był, pozwalając sobie na uniesienie namiętności na Wyspach Górnych. Jak mógł nawet spojrzeć po raz drugi na Starą. Jak głupi był w tej chwili słabości.

Z powodu swoich głupich uczuć, z powodu swojego pożądanego do Stary, ta piękna dziewczyna, która była mu tak oddana, która zaryzykowała dla niego wszystko, leżała tu teraz martwa.

Wszystko czego Reece teraz pragnął, to możliwość naprawienia swojej pomyłki. Gdyby nie syn Tirusa, Reece na pewno miałby tę szansę. W końcu nikt inny nawet nie wiedział o jego spotkaniu ze Starą, o jego uczuciu do niej. Selese nigdy by się nie dowiedziała i dziś by żyła. Gdyby nie syn Tirusa, Reece właśnie

brałby ślub z Selese, zamiast ją grzebać.

Nienawidził się. Ale jeszcze bardziej nienawidził Tirusa i jego synów.

Kiedy Reece tam klęczał, wydawało mu się, że dusza Selese woła o pomstę. Wiedział, że nie spocznie dopóki jej nie dokona.

- Reece - usłyszał delikatny głos.

Reece poczuł na swoim ramieniu dłoń, rozejrzał się i zobaczył, że Gwendolyn klęczy obok niego.

- Czas, by pozwolić jej odejść. Wiem, że tego nie chcesz. Ale trzymanie jej tutaj nie sprawi, że do nas wróci. Umarła. Los musi wziąć to, co do niego należy.

Reece nie potrafił pokonać bólu, który czuł na myśl o tym, że ma puścić jej ciało. Chciał, aby znów się obudziła. Chciał jedynie, by ten koszmar się skończył. Pragnął jeszcze jednej szansy, aby móc postąpić właściwie. Dlaczego nie mógł dostać jeszcze jednej szansy? Dlaczego jedyna pomyłka w jego życiu, musiała okazać się tak brzemienna w skutki?

Kiedy ścisnął ją mocno, wiedział, że w pewnym stopniu Gwendolyn miała rację. Nie mógł przywrócić jej do życia. Czas, w którym mógł to zrobić, już minął.

Reece pochylił się i powoli, delikatnie, opuścił ciało Selese do otwartego grobu, do dołu w ziemi.

Płakał, kiedy jej ciało ześlizgnęło się na świeży kurz. Ciało Selese odwróciło się i wylądowało twarzą do góry, patrząc w niebo, z otwartymi oczyma. Jedną z jej rąk oparła się o ziemię, a jej palec celował prosto w Reece'a. Krew zmroziła mu się w żyłach. Poczł, że został wskazany z wyrzutem. Szlochał bez ustanku.

Reece spojrział na pozostałych, a wszyscy wokół niego zaczęli rzucać świeży piach na ciało Selese.

- NIE! - wrzasnął.

Kilku silnych mężczyzn odciągnęło go w tył i wkrótce ciało Selese zniknęło pod ziemią. Wszystko to było niczym przerażający sen. Reece był ledwie świadomy otaczających go ludzi, których znał i kochał. Gwendolyn i Thorgrin, jego bracia z Legionu - wszystkie te twarze zamieniły się teraz w plamę pełną żalu. Wszyscy starali się go pocieszyć. On nie zwracał na to jednak uwagi.

Miłość jego życia - prawdziwa miłość jego życia - była teraz martwa i pochowana. Nie mógł jej odzyskać. Ale mógł dokonać zemsty.

Reece powoli zaczął twardnieć w środku - w głowie pojawiło mu się rozwiązanie. Spojrział w ciemną noc, w



stronę wyjących wiatrów i przysiągł sobie, że niezależnie od wszystkiego, zemsta będzie należała do niego.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Steffen siedział na szczycie górskiego grzbietu, na maleńkim płaskowyzu, i patrzył na rozpościerające się poniżej wiejskie tereny. Wciąż starał pozbierać się po spotkaniu ze swoją rodziną. Otarł łzę. Rozkazał królewskiej wyprawie zatrzymać się i poczekać na dole, a następnie wspiął się tutaj, sam, do swojego miejsca, które pamiętał z czasów dzieciństwa. Przyszedł w miejsce, do którego przychodził zawsze, kiedy chciał być sam. Skalisty, żwirowy grzbiet piął się stromo w powietrze. Szczyt zwieńczony był małą, płytką sadzawką o promieniu około dwudziestu stóp. Były to ciche, puste tereny, doskonałe do refleksji, otoczone jedynie przez niebo, skały, wodę i wiatr.

Podmuch wiatru odchylił jego włosy, a Steffen spojrział w dół na falującą wodę, w której odbijały się oba słońca. Kiedy się tutaj znalazł, powrócił myślami do swojego dzieciństwa. Zbyt wiele razy przychodził tutaj, aby uciec od nich wszystkich, aby spojrzeć w wodę i mieć nadzieję, że ujrzy w niej inną osobę. Kogoś, kto

nie jest zniekształcony. Osobę o perfekcyjnym ciele i idealnym kształcie. Osobę taką jak inni. Kogoś kto jest wysoki, silny i dobrze zbudowany, kogoś z kogo jego ojciec mógłby być dumny.

Zazwyczaj, po pewnym czasie przestawał patrzeć. Zamiast tego spoglądał w dal, zawiedziony sobą, jak zwykle. Całkowicie rozumiał dlaczego inni również byli nim zawiedzeni.

Tym razem, kiedy tu siedział, Steffen zmusił się do tego, aby nie przestawać patrzeć, aby wciąż gapić się w wodę. Widział swój zakrzywiony kształt, swój niski wzrost i dokładnie się sobie przyglądał. Nie wyglądał tak dobrze jak wszyscy inni, jednak tym razem, kiedy tak na siebie patrzył, zobaczył coś więcej. Zauważył, że jego oczy, w delikatnym kremowym kolorze, nie były wcale całkowicie nieatrakcyjne, podobnie jak jego kasztanowe włosy, grube i faliste, które opadały mu na ramiona. Gdyby pominąć jego kształt, jego ciało, wcale nie był najbrzydszym człowiekiem na świecie.

Spojrzał na swoją twarz i zobaczył, że jest ona za duża w stosunku do reszty ciała -jednak zobaczył też podłużną silną szczękę, zobaczył mężczyznę, który był dumny i zdecydowany. Mężczyznę, który nie pozwoliłby innym, aby sprowadzili go w dół. Mężczyznę, który nie traktuje innych w sposób, w jaki sam był traktowany.

Steffen był z tego dumny. Miał większe serce niż ktokolwiek z nich, niż ci okrutni ludzie z wioski położonej w dole. Pozwoliło mu to zastanowić się, kto tak naprawdę był zniekształcony. Dlaczego przeceniał tych ludzi?

Nigdy nie będzie miał poparcia swojej rodziny, ale może z tym żyć. Zaczęło do niego docierać, że jego własna akceptacja samego siebie, powinna mu w zupełności wystarczyć.

- Steffen? - usłyszał głos.

Steffen odwrócił się gwałtownie, zaskoczony tym, że był tu ktoś jeszcze - a nawet bardziej zaskoczony, kiedy zobaczył stojącą nieopodal piękną kobietę, około dwudziestoletnią, ubraną w prostą wiejską szatę.

Spojrzała na niego słodko, nie z nienawiścią jak inni, tę samą słodycz wyczuł w jej głosie. Naprawdę niewielu ludzi zwracało się do niego takim tonem, miłym i współczującym. Patrzył na nią mrugając i zastanawiając się kim mogła być.

- Nie pamiętasz mnie? - zapytała.

Steffen przyjrzał jej się bliżej. Miała piękną twarz, migdałowy kształt oczu, ślicznie wyrzeźbione kości policzkowe i podbródek, duże pełne usta, lekko brązowe

oczy i doskonale pasujące do nich, lekko brązowe włosy. Była wysoka i szczupła. Kiedy jej się przyglądał, zauważył, że w prawej dłoni brakuje jej dwóch palców.

Oczy błysnęły mu kiedy ją rozpoznał - wszystko sobie przypomniał.

- Arliss? - zapytał.

Arliss przytaknęła uroczo i uśmiechnęła się.

- Mogę z tobą usiąść? - zapytała.

Steffen spojrzał na nią z dołu ze zdumieniem. Nie wiedział co powiedzieć. Nie potrafił nawet za bardzo określić, ile czasu minęło od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni. Był zdumiony jak piękna się stała - i że zadała sobie tyle trudu, aby wejść tu na górę, tylko dlatego, że chciała z nim posiedzieć. Patrzył na nią z oczyma otwartymi szeroko ze zdumienia.

- Kiedy ostatni raz się widzieliśmy? - zapytał, zataczając się.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy mieliśmy sześć lat - powiedziała.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Urosłaś... - powiedział.

Zaśmiała się.

- Ty również.

Zarumienił się, nie wiedząc co mógłby powiedzieć.

Steffen nigdy jej nie zapomniał. Kiedy dorastał, Arliss była jedyną osobą w całej wiosce, która była dla niego miła. Prawdopodobnie dlatego, że brakowało jej dwóch palców - była niedoskonała, podobnie jak on. Ona go rozumiała, inni byli okrutni również dla niej. Jednak dla Steffena zawsze była piękna - była najpiękniejszą dziewczyną w wiosce - i zawsze był wdzięczny za jej uprzejmość. Tak naprawdę, była to jedyna rzecz, która podtrzymywała go na duchu przez te wszystkie lata, zanim stąd odszedł. Jedyna rzecz, która pozwalała mu przetrwać najtrudniejsze momenty. Nigdy jej nie zapomniał i zawsze zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją spotka.

- Mogę z tobą usiąść? - powtórzyła.

Steffen się opamiętał; przesunął się gwałtownie, robiąc dla niej miejsce.

- Co tu robisz na górze? - zapytał.

- Plotki głoszą, że przyjechałeś do miasta, więc doszłam do wniosku, że pewnie cię tutaj znajdę - odpowiedziała.

Steffen westchnął i pokiwał głową.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają - powiedział.

- A więc widziałeś się ze swoją rodziną? - zapytała.

Potwierdził, patrząc w dół.

- Powinienem był wiedzieć - powiedział.

- Przykro mi - rzekła ze zrozumieniem w głosie, domyślając się wszystkiego od razu, tak jak zawsze się domyślała. Rozumiała to wszystko aż za dobrze.

- Nie mieszkam już w okolicy - powiedział. - Mieszkam w Królewskim Dworze. Służę Królowej.

- Wiem, - odpowiedziała, uśmiechając się do niego - wiadomości szybko się tutaj roznoszą.

Steffen uśmiechnął się.

- Zapomniałem, że domy w tym mieście nie mają ścian.

Roześmiała się, lekkim beztroskim śmiechem, który sprawił, że Steffen zapomniał o swoich zmartwieniach.

- Twoje przybycie tutaj z królewską świtą jest prawdopodobnie najbardziej ekscytującą - i poniżającą zarazem - rzeczą, jaka spotkała tę wioskę. Myślę, że siedzą tam teraz zawstydzeni - a przynajmniej mam taką nadzieję.

Steffen zmarszczył brwi.

- Nie było moim celem zawstydzanie nikogo - powiedział skromnie. - Przyjechałem tutaj, bo Królowa mnie przysłała. W innym wypadku, nigdy bym tutaj nie wrócił.

Arliss położyła rękę na jego dłoni.

- Wiem - powiedziała pocieszająco. - Wiem jaki jesteś. Dorastaliśmy razem. Nigdy o tobie nie zapomniałam.

Steffen odwrócił się i spojrzał na nią, zobaczył, że utkwiała w nim wzrok pełen miłości i współczucia. Nikt nigdy nie patrzył na niego w taki sposób, jego serce zaczęło bić mocniej. Czy to możliwe? Przez całe swoje życie Steffen nigdy nie poczuł wzroku kobiety, która patrzyła na niego z uczuciem. Nie miał pojęcia jak to jest. Jednak teraz, jeśli tylko wzrok go nie mylił, wydawało mu się, że to co widzi, to właśnie to.

- Ja także nigdy o tobie nie zapomniałem Arliss - powiedział. - Podejrzewałem, że podrosłaś i opuściłaś

to miejsce. I że zapewne poślubiłaś któregoś z lokalnych lordów.

Arliss roześmiała się.

- Ja? Poślubić lorda? Oszalałaś?

- A dlaczego nie? Byłaś najpiękniejszą kobietą w całej wiosce.

Arliss zarumieniła się.

- Może w twoich oczach. Ale nie w oczach innych. Ich zdaniem - powiedziała podnosząc rękę, w której brakowało dwóch palców - jestem dziwadłem.

Tym razem to Steffen się zaśmiał.

- A ja nie jestem? - odpowiedział.

Arliss znów się zaśmiała, zaczęli cieszyć się razem. Dla Steffena śmiech był taki przyjemny, było to coś co robił naprawdę rzadko - całe napięcie minionego dnia zaczynało powoli znikać. Samo siedzenie w towarzystwie Arliss sprawiało, że czuł się dobrze. Spotkał kogoś kogo naprawdę obchodził. Kogoś, z kimś miał coś wspólnego. Kogoś, kto był równie uciskany przez to miejsce. Kogoś, kto wszystko rozumiał.



- Więc? - zapytał Steffen. - Byłaś kiedykolwiek zamężna?

Arliss pokręciła głową, patrząc w dół.

- To mała wioska. Nie ma zbyt wielu mężczyzn do wyboru. A poza tym tutaj żaden mężczyzna nigdy nie patrzył na mnie inaczej, jak z pogardą.

Steffen poczuł gwałtowny wzrost nadziei, kiedy usłyszał, że jest niezamężna.

- Czy miałabyś ochotę opuścić to miejsce? - zapytał.

Były to najodważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział. Po prostu wysnęły mu się z ust, nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, co powiedział. Zwyczajnie wydawało mu się to właściwe. Arliss ewidentnie tu utknęła, a Steffen chciał ją uwolnić z tych więzów. Z tego okropnego miejsca, pełnego małosłownych ludzi. Przyszła mu do głowy pewna myśl, jednak nie był pewien, czy będzie miał odwagę, aby ją o to zapytać. Chodziło o coś więcej, chodziło też o to, że zawsze ją kochał.

Arliss spojrzała na niego z oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

- A jak mogłabym to zrobić? - zapytała.

- Możesz pójść ze mną - zauważył, że kiedy to mówił, świat się rozmazał, wypowiadał słowa niepewnie, zmieniając przy tym na zawsze, zarówno swoje życie, jak i jej. - Pojedź ze mną do Królewskiego Dworu. Będiesz mogła zamieszkać w Królewskim Zamku. Jest tam wiele komnat.

- Jestem pewna, że Królowa byłaby zachwycona - powiedziała sarkastycznie.

Steffen pokręcił głową.

- Nie rozumiesz. Jestem prawą ręką Królowej. Jeśli o coś poproszę, - a nigdy o nic prosiłem - zgodzi się. Co więcej, ona potrafi przeniknąć człowieka. Zapewne dostrzeże twoją dobrą naturę Pokocha cię. Jestem tego pewien. Zapewne będzie bardzo szczęśliwa, mając cię przy sobie.

Arliss zalała się łzami, jednocześnie śmiała się, kiedy łzy spływały jej po policzkach. Wytarła je szybko i rozejrzała się wokoło, a następnie spojrzała na Steffena.

- Nikt nigdy nie rozmawiał ze mną w taki sposób - powiedziała. - Nie wiem czy w to wierzyć. Przywykłam do tego, że stroi się ze mnie żarty.

- Ja również - powiedział.

Steffen zrozumiał, że musi pokazać jej, jak bardzo poważny był w tym co mówi.

Wstał i wyciągnął do niej rękę. Patrzył na nią z powagą. Powoli, wahając się, Arliss chwyciła jego dłoń.

- Tamte dni są już za tobą - powiedział. - W mojej obecności już nikt nigdy nie będzie robił sobie z ciebie żartów.

Arliss wstała, trzymając Steffena za rękę i spojrzała w jego oczy, patrzyła długo i intensywnie. Oboje utrzymywali to spojrzenie, a Steffen poczuł, że zatracą się w jej oczach, że zatracą się w innym świecie, w czymś co jest od niego potężniejsze - i czego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Arliss nie odwracała wzroku i nagle Steffena ogarnęły emocje, pochylił się, aby ją pocałować.

Nie uchyliła się. Zamiast tego - czekała; a w ostatniej sekundzie, ona również się pochyliła i jej usta zadrżały na jego wargach.

Pocałowali się, Steffen po raz pierwszy w życiu całował kobietę. Miał wrażenie jakby to trwało wiecznie. Kiedy pocałunek się zakończył, czuł się niczym inny mężczyzna. Wydawało mu się, że wie czym jest miłość.

- Wybacz mi pani, - powiedział niepewny - nie chciałem posunąć się zbyt daleko.

Arliss spojrzała w dół, ścisnęła jego rękę i przytrzymała ją mocno. Następnie

spojrzała z powrotem w górę i uśmiechnęła się.

- Nigdy - powiedziała - nic nie sprawiło, że byłam szczęśliwsza.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Alistair szła obok Ereca, oboje trzymali swoje konie na wodzach, tuzin Srebrnych kroczył za nimi. Cieszyła się, że wreszcie mogli zejść z koni i że znaleźli z Ereciem nieco czasu na spokojny spacer. Podróż podczas której zmierzali na południe, aby zaokrętować się na statku płynącym na Wyspy Południowe, była trudna głównie dlatego, że Alistair nie mogła spędzić zbyt wiele spokojnego czasu z Ereciem. Teraz, wreszcie, Erec wyszedł do przodu i byli tylko we dwoje, idąc blisko siebie. Większość drogi wszyscy jechali konno, jednak kiedy dotarli do tej wąskiej górskiej przełęczy, musieli zejść z koni. Droga była zbyt kamienista, a nachylenie zbocza w obu kierunkach - zbyt ostre.

Alistair ucieszyła się na wieść o przerwie, na wieść o tym, że będzie mogła iść obok Ereca i będzie w końcu miała szansę porozmawiać z nim bez akompaniamentu galopujących kopyt. Tak wiele miała mu do powiedzenia. Przede wszystkim, chciała być z nim blisko. Była nieco przejęta koniecznością opuszczenia Kręgu, przeprawy przez ocean i odbycia tej wielkiej przygody, która ich czekała. Opuszczali jej ojczyznę i wchodzili do obcego królestwa. Czy jego ludzie ją polubią?

Alistair zdawało się, że nigdy nie miała okazji spędzić sam na sam z Ereciem tyle czasu, aby rzeczywiście się do niego zbliżyć - zawsze stawały pomiędzy nimi jakieś wydarzenia. A teraz, kiedy w końcu byli sami, chciała zadać mu naprawdę wiele pytań. W zasadzie było ich tak wiele, że jej umysł się zablokował i nie potrafiła przypomnieć sobie choćby jednego.

Nie przeszkadzało jej to - trwanie z nim w ciszy, w zupełności jej wystarczało.

Kiedy szli obok siebie, Alistair była pod wrażeniem widoków, które się przed nimi rozpościerały. Rozejrzała się po otaczających ich dolinach i górskich grzbietach, oświetlonych przez piękne letnie słońca. Podziwiała wspaniałe pola i pomarańczowe trawy kołyszące się na wietrze. Jak niewiarygodnie piękny jest

Krąg, pomyślała, szczególnie teraz, w lecie, kiedy całe doliny wypełnione są drzewami we wszystkich kolorach. Było to miejsce niesamowitych darów, dobrobytu i pokoju. Część niej w ogóle nie chciała go opuszczać.

Alistair poczuła się przytłoczona ambiwalentnymi emocjami, które targały nią, kiedy pomyślała, o wszystkim co zostawia za sobą. Swojego brata, Thorgrina, którego dopiero zaczynała poznawać. Część niej również rozpaczliwie chciała szukać matki.

Była też jej świeżo upieczona szwagierka i przyjaciółka, Gwendolyn. Alistair z wielką niecierpliwością wypatrywała jej ślubu, ogromna część niej pragnęła tam zostać i uczestniczyć w tej uroczystości - zgodnie z tym co obiecała Gwendolyn. Czuła się, jakby zawiodła i ją i swojego brata.

Jednak najbardziej martwiło Alistair jej własne przecucie, nieważne jak bardzo starała się go pozbyć, wydawało jej się, że dla Kręgu nadchodzą okropne czasy. Starzyła się to zignorować, uznać za bzdurę. W końcu Krąg nigdy nie był tak bezpieczny. Cóż mogłoby się stać?

Alistair sięgnęła po rękę Ereca, a kiedy to uczyniła mogła poczuć ciepło, które od niej biło. Wiedziała, że pomimo wszystko, powinna być tutaj, przy boku jej

męża. *Chciała* być tutaj. W ostatecznym rozrachunku nie było innego miejsca, w którym chciałaby być. Ludzie jej potrzebowali, ale jej mąż potrzebował jej bardziej - nie byłaby szczęśliwa, gdyby nie było jej teraz tutaj, u jego boku.

Erec ścisnął jej dłoń.

- Dziękuję, że ze mną jedziesz - powiedział. - Jest to podróż, której nie chciałbym odbywać bez ciebie. Nie mogę się doczekać, aż spotkasz moich ludzi.

Erec uśmiechnął się do niej, a ona do niego. Trzymali się za ręce. To był dobra decyzja. Jego ojciec był umierający, więc był to najlepszy czas, by Erec powrócił do ojczyzny. A kiedy dotrą do Wysp Południowych, wezmą ślub. Dla Alistair nie było nic ważniejszego.

- Pojechałabym z tobą na koniec świata, panie - odpowiedziała.

Szli, aż dotarli do rozwidlenia, wszyscy więc się zatrzymali. Po lewej znajdowało się przedłużenie ścieżki, po której szli na grzbiecie góry. Droga po prawej prowadziła stromo w dół i zakręcała w innym kierunku.

Erec i jego ludzie zaczęli wchodzić w ścieżkę

prowadzącą w dół, jednak Alistair się zatrzymała. Całe jej ciało ogarnął chłód. Otworzyła szeroko oczy i wyczuła coś - to było potężne uczucie. Stała tam zmrożona.

W końcu Erec i jego ludzie zrozumieli co się dzieje i również się zatrzymali. Następnie odwrócili się i patrzyli na nią.

Erec spojrział na nią z niepokojem.

- Co się dzieje, moja pani? - zapytał.

Alistair z przerażeniem spojrzała na szlak, którym mieli kontynuować wędrówkę.

- Nie możemy tamtędy zejść, - powiedziała - ta droga nie jest bezpieczna.

- Co masz na myśli, pani? - zapytał jeden ze Srebrnych. - Ta droga uczęszczana jest od wieków, a w starciu z wojownikami naszego pokroju, żadni złodzieje nie mieliby szans.

Alistair wpatrywała się w drogę i nie wycofała się. Czowała coś z daleka.

- Nie wiem o co chodzi, - odpowiedziała - ale wiem, że nie jest bezpieczna. Jeśli podążycie tą ścieżką, wszyscy zginiecie.



Odwrócili się i spojrzeli na drogę zastanawiając się sceptycznie.

Erec podszedł do niej i wziął ją za rękę. Stał twarzą w kierunku mężczyzn.

- Jeśli moja dama mówi, że szlak jest niebezpieczny, to oznacza, że jest niebezpieczny. Powinniśmy jej posłuchać.

- Ale panie, - zaprotestował jeden z nich - ta ścieżka prowadzi na statek w najkrótszy sposób. Jeśli pójdziemy inną drogą, stracimy całe dni. Możemy nie zdążyć się zaokrętować. I to z jakiego powodu? Z powodu przecucia?

Erec zacisnął szczękę, chcąc bronić Alistair.

- Powiedziałem, że nie pójdziemy tym szlakiem - odpowiedział stanowczo Erec.

Odwrócił się, chwycił Alistair za rękę i skręcił w górną ścieżkę. Niechętnie, wszyscy

jego mężczyźni podążyli za nim.

Kiedy tak szli, Erec ścisnął jej dłoń, nachylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Ufam ci moja pani.

Alistair już chciała odpowiedzieć, gdy nagle rozległ się wielki huk. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli w dół. Po chwili zeszła ogromna lawina, ogromne głązy pooddziałały się od stromych górskich grzbietów i zaczęły toczyć się w dół. W jednej chwili całkowicie wypełniły znajdujący się pod nimi szlak. Dukt, na którym wszyscy właśnie by się znajdowali, gdyby zaledwie przed chwilą, wybrali tę drugą drogę.

Wszyscy z zachwytem zwrócili się w stronę Alistair.

Czuła na sobie ich wzrok. Uczestnicy wyprawy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że gdyby poszli inną trasą, byłiby teraz martwi.

Alistair nie wiedziała skąd pochodzi jej moc. Część niej nawet nie chciała tego wiedzieć.

A może moc ta była większa niż w ogóle mogła sobie wyobrazić?

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Kendrick zsiadł z konia kiedy dotarł do małej, osamotnionej wioski w północnej części Kręgu. W tej

odludnej części kraju, w której osady oddalone są od siebie o wiele, wiele mil. Jechał na północ długą, krętą i zakurzoną drogą, cały czas zastanawiając się czy wiadomości, które do niego dotarły mogły być prawdziwe. Kendrick przez te wszystkie lata podejmował wiele fałszywych tropów - żaden z nich nie doprowadził go do kobiety, która była jego matką.

Jednak tym razem czuł się inaczej. Jego serce biło mocniej, kiedy trzymał w swojej dłoni obie połówki medalionu.

Kendrick skrupulatnie podążał w wyznaczonych kierunkach, przemierzając Krąg wzdłuż i wszerz, galopował w stronę tego samotnego miasteczka na północny kraju, tak długo, aż wreszcie do niego dotarł. Ta osada była wyraźnie większa niż pozostałe, z ogromną ilością karczm. Kendrick mijał wielu prymitywnych typów błakających się po ulicach, potykających się, pijanych w samym środku dnia. Serce drżało mu, kiedy przyglądał się twarzom tych ludzi, zastanawiał się czy któraś z tych kobiet mogłaby być jego matką.

Jakaś jego część podpowiadała mu jednak, że jest to niemożliwe. Dlaczego jego matka mieszkała w miejscu takim jak to? Zawsze wyobrażał sobie, że mieszka w zamku - jednak kiedy się tak tutaj rozglądał, nie widział

nic prócz biednych mieszkań. Nie miało to żadnego sensu. Może jego giermek się pomylił?

Kendrick zastanawiał się, po raz milionowy, czy jego matka wiedziała kim jest. Musiała wiedzieć. Był przecież słynnym bękartem Króla. Dlaczego, zastanawiał się, nigdy nie rościła sobie do niego praw? Czy ludzie Króla ją odstraszyli?

Kendrick miał taką skrytą nadzieję. Miał nadzieję, że odnajdzie kobietę, która będzie sama i smutna bez niego, która ucieszy się na jego widok. Że zakończy jej głęboki smutek, który towarzyszył jej przez te wszystkie lata. Będzie miała doskonałe wyjaśnienie, dlaczego nie było jej przy nim. Miał nadzieję, że powie mu, iż szukała go przez całe swoje życie, że cały czas chciała przyjechać go spotkać, ale jej tego zabroniono i z jakiegoś powodu trzymano ją z dala.

Kendrick przemierzał ulice z wielkimi nadziejami w sercu, odnosząc wrażenie, że lada chwila będzie miał miejsce jeden z decydujących momentów w jego życiu.

Obserwował twarze, nie wiedząc kogo szukać. Spojrzał na kobietę w średnim wieku, która mogła go przypominać. Szukał twarzy, którą wyobrażał sobie przez całe swoje życie.

Jednak żadnej nie znalazł.

Podszedł do starej kobiety - siedziała przed tawerną i obserwowała każdego, kto przechodził. Pomyślał, że może ona coś wie.

- Przepraszam - powiedział - czy może zna pani kobietę o imieniu Alisa?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

- Alisa? - powtórzyła powoli - Wszyscy ją znają. Czego od niej chcesz?

Serce Kendricka zaczęło szybciej bić.

- Proszę powiedzieć gdzie mogę ją znaleźć. Jestem jej synem.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

- Jej synem?!

Stara kobieta zaczęła się histerycznie śmiać, był to taki rechot, że włosy Kendricka stanęły dęba.

- Jej synem! - powtórzyła śmiejąc się, jakby uznała to za najzabawniejszą rzecz na świecie.

Kendrick poczerwieniał, poirytowany, zaskoczony jej odpowiedzią i zaczynający powoli tracić cierpliwość. Nie rozumiał dlaczego tak bardzo ją to bawi.

- Obraża mnie pani z powodu, którego nie rozumiem - powiedział Kendrick. - Jestem członkiem Srebrnych. Proszę okazać mi należny szacunek, albo trzymać język za zębami.

Rechtot kobiety powoli ustał, a na jej twarzy odmalował się strach.

- Możesz znaleźć swoją matkę w Karczmie pod Czerwonym Koniem, - powiedziała - to ostatni budynek na końcu ulicy.

Kendrick odwrócił się i odszedł, a śmiech kobiety znów dało się słyszeć na ulicy. Nie rozumiał co to wszystko mogło oznaczać. Ostatecznie uznał, że to dziwactwo szalonej staruszki. Było to małe miasteczko, mocno oddalone od dużego miasta i ludzie wydawali mu się tutaj niegrzeczni. Znów zaczął zastanawiać się, co mogłaby tu robić jego matka. Czy może pomylił miejsca?

Kendrick dotarł wreszcie do Karczmy pod Czerwonym Koniem i przywiązał swego rumaka do belek, które znajdowały się na zewnątrz. Serce waliło mu w piersi, a

dłonie pociły się. Odwrócił się w stronę drzwi gdy nagle wytoczyło się z nich trzech mężczyzn, którzy bili się ze sobą, tarzając się przy tym po ziemi. Kendrick odsunął się w tej samej chwili, w której zaczęli sprowadzać się do parteru, wzniesając przy tym kurz. Byli pijani, przeklinali i kopali się nawzajem.

Kendrick spojrział do środka przez otwarte drzwi. Z wnętrza sali dobywały się krzyki i śmiechy. Zastanawiał się czy na pewno dobrze trafił. Wyglądało na to, że była to karczma o kiepskiej renomie. Nie powinna tu nigdy stanąć noga członka Srebrnych, a co dopiero ich *przywódcy*.

Przygotował się, dumnym krokiem wszedł do środka i zatrzasnął drzwi tyłem swojej rękawicy Srebrnych. Zrobił to z takim hukiem, że każda głowa znajdująca się w pomieszczeniu odwróciła się w jego kierunku.

W sali zapadła cisza - wszyscy mężczyźni przerwali swoje czynności i obserwowali Kendricka. W ich oczach malował się szacunek i strach. Kiedy Kendrick wchodził do sali, jego ostrogi dzwoniły uderzając o podłogę wykonaną z twardego drewna. Podszedł wprost do karczmarza.

- Poszukuję kobiety o imieniu Alisa - powiedział Kendrick.

Karczmarz wskazał głową.

- Na zapleczu - powiedział. - Ruda. Ale myślę, że jeszcze za wcześnie jak na nią -dodał.

Kendrick nie rozumiał co karczmarz miał na myśli, ale zanim zdążył zapytać, ten odwrócił się do kolejnego klienta.

Kendrick pospieszył do pokoju na tyłach karczmy. Coraz bardziej narastało w nim złe przeczucie. Wszystko wydawało się nieciekawe. Nie miało to żadnego sensu. Był coraz bardziej pewny, że jego giermek musiał się mylić. Cóż jego matka, jednonocna partnerka Króla, mogła robić w takim miejscu?

Kendrick odsunął czarną, aksamitną zasłonę, która oddzielała zapleczu i zatrzymał się zszokowany tym co zobaczył.

Znajdowały się przed nim dziesiątki kobiet, skąpo ubranych, w towarzystwie mężczyzn. Każda para oddzielona była delikatną zasłoną. Jeszcze więcej kobiet przechadzało się wokoło. Kendrick gwałtownie poczerwieniał, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że miejsce, w którym się znalazł to burdel.

Zanim zdążył się odwrócić i wyjść, krew zmroziła mu się w żyłach na widok kobiety, która z uśmiechem na



twarzy podążała w jego kierunku. Była w średnim wieku i jako jedyna w pomieszczeniu miała rude włosy. Świat mu się zawalił, kiedy przyjrzał się jej twarzy i zdał sobie sprawę z tego, że wygląda dokładnie tak samo jak on. Starsza, damska wersja jego samego.

Uśmiechnęła się, gdy się do niego zbliżyła.

Nie, *pomyślał*, to nie może być prawda. Nie ona. Nie moja matka.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytała Kendricka, uśmiechając się i kładąc rękę na jego ramieniu. - Prawdziwy członek Srebrnych w naszych skromnych progach. Czym zawdzięczamy sobie tę wizytę?

Twarz Kendricka opanowało przerażenie kiedy spojrzał na tę kobietę. Czuł, że wszystkie jego nadzieje jakie żywił od czasów dzieciństwa, właśnie legły w gruzach.

- Przyszedłem zobaczyć się z matką - odpowiedział, jego głos był miękki, pokorny i załamany, a jego oczy wypełnione smutkiem.

Nagle twarz kobiety zupełnie się zmieniła. Jej uśmiech zniknął. Spojrzała na niego zmieszana, po chwili go rozpoznała. Drgnęła i odsunęła rękę, jakby dotknęła węża. Na jej twarzy odmalował się wstyd, szybko się przykryła, zawijając skromnie szal wokół swoich

ramion.

Podniosła do ust drżącą dłoń i patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczyma.

- Kendrick? - zapytała.

Kendrick stał tam nieruchomo, odrętwiały, nie wiedząc co powiedzieć. Ogarnęły go groza i przerażenie. Wstyd. Odraza.

A przede wszystkim, rozczarowanie. Miażdżące rozczarowanie. Całe swoje życie przeżył jako bękart. W sekrecie marzył, że kiedyś udowodni, że świat się myli, że pochodzi od królewskiej matki, że tak naprawdę nie ma się czego wstydzić.

Teraz jednak dowiedział się, że wszyscy mieli rację. I to na całej linii. Był jedynie bękartem. Nigdy nie czuł się tak podle.

- Jak udało ci się mnie znaleźć? - zapytała.

Jednak Kendrick nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Nie mógł pogodzić obrazu, który miał przed sobą, z wizją jaką od zawsze roztaczał w swoim umyśle. Ta kobieta nie mogła być jego matką. To było niesprawiedliwe.

- Szukałem cię przez całe swoje życie - powiedział powoli, łamiącym się głosem. - W przeciwieństwie do ciebie, która nigdy nie zadałaś sobie trudu, aby mnie odnaleźć. Teraz rozumiem dlaczego.

Twarz jego matki zaczerwieniła się ze wstydu.

- Nie powinieneś mnie tu widzieć - powiedziała.

- Jesteś moją matką - powiedział z wyrzutem. - Jak możesz to robić? Jak możesz żyć w taki sposób? Czy przez twoje żyły nie płynie szlachetna krew?

Skrzywiła się i całkowicie poczerwieniała. Znał ten wzrok, on patrzył w taki sam sposób, kiedy był wściekły.

- Nie znasz życia, które ja musiałam wieść! - odpowiedziała oburzona. - Nie masz prawa mnie oceniać!

- Ależ mam - powiedział. - Jestem twoim synem, jeśli nie ja, to kto?

Spojrzała na niego, a jej oczy zalały się łzami.

- Powinieneś już iść, - powiedziała - nie powinieneś tu być.

Odwzajemnił jej spojrzenie, do jego oczu również napływały łzy.

- A ty powinnaś? - zapytał.

Nagle wybuchnęła płaczem. Ukryła twarz w dłoniach.

Kendrick nie umiał tego dłużej wytrzymać. Odwrócił się, odsunął zasłonę z aksamitu i ruszył przez karczmę.

- Hej! - krzyknął muskularny mężczyzna, wyciągając rękę i ordynarnie łapiąc Kendricka za nadgarstek. - Wszedłeś za zasłonę, a nie zapłaciłeś. Wszyscy płacą, nie ważne czy spróbowałeś towaru czy nie.

W furii Kendrick chwycił rękę mężczyzny, wykręcił mu ją na plecy, zniżył jego twarz na wysokość własnych kolan i rozkwaślił mu ją na swojej srebrnej zbroi.

Mężczyzna osunął się na ziemię, a reszta karczmy oniemiała. Każdy zastanowił się dwa razy zanim do niego podszedł. Cała knajpa zamarła bez ruchu, mężczyźni gapili się na niego w ciszy.

Kendrick odwrócił się i dumnym krokiem wyszedł przez drzwi na dzienne światło, zdecydowany, aby wymazać to miejsce ze swojej pamięci i nigdy, przenigdy już o nim nie myśleć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Conven wreszcie dotarł do domu, do swojej osady, obszarpany i zmęczony - nogi drętwiały mu od tych wszystkich mil, które musiał pokonać. Przeszedł całą tę drogę sam, na własnych nogach. Szedł w ten sposób od momentu kiedy odłączył się od Legionu, od kiedy zdecydował, że powinien udać się właśnie w to miejsce. Do domu. Czując ogromny smutek z powodu śmierci swego brata, potrzebował czasu, aby się z tym pogodzić. Chciał być sam - z dala od wszystkiego i wszystkich.

Część niego chciała wracać do Królewskiego Dworu, świętować ze swoimi braćmi z Legionu; jednak druga część, większa część, chciała odgradzić się od świata. Myśl o śmierci jego brata bliźniaka całkowicie go pochłaniała, nie był w stanie skupić się na niczym innym. Nie był w stanie otrząsnąć się z żalu - a właściwie, nie chciał tego robić. Brat był dla niego częścią jego samego i kiedy zmarł tam w Imperium, najlepsza część Convena umarła razem z nim.

Conven był zupełnie nieobecny przez całą swoją wędrówkę, maszerował bez celu, ledwie zastanawiając się nad tym dokąd zmierza. Nie chciał brać udziału w żadnych uroczystościach.

Jednak teraz, kiedy już dotarł na miejsce, kiedy postawił swą stopę przed bramami miasta, po raz pierwszy od długiego czasu coś w nim drgnęło. Spojrzał w górę, zobaczył znajome ulice i budynki, zobaczył miejsce, w którym wraz z bratem dorastał i w którym spędzili tak wiele czasu - zaczął sobie przypominać dlaczego tu powrócił. Coś zaczynało się w nim budzić i przez chwilę na nowo poczuł że wszystko ma sens i jakiś cel. Po raz pierwszy w jego umyśle pojawił się ktoś inny, niż jego martwy brat.

Alexa. Jego żona.

Kiedy był w Imperium, wtedy, kiedy jego brat jeszcze żył, praktycznie cały czas myślał o Alexie, żałując tego, że musiał ją opuścić. Przysiągł jej, że do niej wróci, że przybędzie do tej wsi jak tylko powróci z Imperium.

Conven i jego brat wzięli podwójny ślub i od tego czasu żaden z nich nie mówił o niczym innym, jak o powrocie do swojej młodej żony, o wspólnym życiu w tej wiosce. Conven czuł się winny, że wraca bez brata, jednak kiedy spojrział na te ulice i pomyślał o Alexie, wiedział dlaczego tu przyszedł. Myśl o niej napełniała go optymizmem, czuł się w ten sposób po raz pierwszy od dawna.

Conven czuł, że Alexa, jest jedyną osobą jaka pozostała

mu na świecie. Jedyńą, na której może się oprzeć, jedyną, dzięki której będzie mógł zacząć życie od nowa. Alexa zawsze go zrozumie, wszak zawsze umiała sprawić, aby poczuł się lepiej. Znała jego brata. Na pewno zrozumie go lepiej, niż ktokolwiek byłby w stanie. Będzie w stanie odnieść się do jego żalu. A być może, ale tylko być może, będzie w stanie przywrócić go światu. Umiałyby to zrobić. Zawsze umiała.

Conven szedł przez miasteczko nie zwracając uwagi na ludzi, którzy się wokół niego kręcili. Miał tylko jeden cel - jego starą chatę, w której, jak wiedział, spotka Alexę. Wyszedł zza rogu i zobaczył ją, małą, białą chatę z żółtymi, uchylonymi drzwiami. Ze środka dało się słyszeć damski głos, śpiewający radośnie - na ten dźwięk serce zabiło mu mocniej. Alexa. To był głos jego żony.

Śpiewała. Wspomnienia wróciły, Conven przypomniał sobie śpiewającą Alexę. Bardzo lubiła to robić. Dźwięki jej pieśni wprawiały Convena w większą radość niż cokolwiek innego na świecie.

Jego serce biło teraz szybciej, a on sam ruszył naprzód. Chciał ujrzeć jej twarz, przytulić ją mocno, wszystko jej opowiedzieć. Wiedział, że kiedy zrzuci z siebie cały ten ciężar, poczuje się dużo lepiej. A potem może, ale tylko może, będzie w stanie rozpocząć życie od nowa.

Conven szybko dotarł do chaty i energicznie pchnął drzwi. Wszedł do środka, a serce waliło mu z radości. Tak bardzo pragnął zrobić jej niespodziankę. Już widział tę radość, która odmaluje się na jej twarzy. Wszedł bez pukania, spodziewając się, że ujrzy ją stojącą do niego tyłem. Zapewne będzie myła misę, spoglądając przy tym przez okno i śpiewając - zawsze tak robiła.

Jednak zamiast tego, Conven stanął jak wryty. Nie był w stanie uwierzyć w to co ujrzał. I owszem, w izbie była Alexa. Śpiewająca, uśmiechnięta. Szczęśliwa jak zwykle.

Jednak nie myła żadnych mis. Zamiast tego, patrzyła w czyjeś oczy. I były to oczy innego mężczyzny.

Alexa była pochylona do przodu, uśmiechała się i całowała innego mężczyznę. Ten odwzajemniał jej pocałunki.

Conven stał tam zmrożony, otępiały. Chciał zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Jak to możliwe? Alexa? Jego żona? Z innym mężczyzną?

Nagle Alexa odwróciła się, spojrzała na Convena z przerażeniem i krzyknęła. Mężczyzna siedzący obok niej również odskoczył. Oboje byli bardzo zaskoczeni.



Conven po prostu tam stał, patrzył na nich bez wyrazu. Nie wiedział co powiedzieć. Świat runął mu pod nogami.

- Kim jesteś? - mężczyzna krzyknął na Convena.

- Kim ty jesteś? - wrzasnął Conven, starając się kontrolować swój gniew.

- Jestem mężem Alexy. Jak śmiesz wchodzić do naszego domu!

Na dźwięk tych słów Conven poczuł, że jego serce zamienia się w lód.

- Mężem? - powiedział zaskoczony. - O czym ty mówisz? To *ja* jestem jej mężem.

Mężczyzna odwrócił się i patrzył to na Alexę, to na Convena. Był zupełnie zmieszany.

Alexa wybuchnęła płaczem, szybko zakrywając się szalem. Spojrzała na Convena z przerażeniem na twarzy.

- Conven, - powiedziała - co ty tu robisz? Myślałam, że nie żyjesz.

Conven nie był w stanie nic powiedzieć. Był w zbyt dużym szoku.

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz! - dodała z błaganiem w głosie.

Conven pokręcił głową.

- Nie, to mój brat nie żyje. Jednak teraz żałuję, że to jednak nie byłem ja.

Alexa nie przestawała płakać.

- Czekałam na ciebie! - krzyknęła szlochając. - Czekałam na ciebie przez tak wiele miesięcy. Nigdy nie wróciłeś. Powiedzieli mi, że nie żyjesz Conven!

Podeszła do niego zalana łzami.

- Musisz zrozumieć. Powiedzieli mi, że nie żyjesz! Poślubiłam kogoś innego.

Conven poczuł jak do oczu napływają mu łzy.

- Musisz zrozumieć! - błagała płacząc, podeszła i chwyciła go za ręce. - Nie miałam pojęcia! Przepraszam. Tak bardzo mi przykro!

Conven cofnął ręce tak szybko, jakby właśnie ukąsił go wąż.

- I to tyle? - zapytał łamiącym się głosem - Nasze

małżeństwo nic już dłużej nie znaczy? Nie wróciłem na czas więc odeszłaś i poślubiłaś kogoś innego?

Alexa na nowo zalała się łzami, a jej twarz poczerwieniała.

- Nie wiedziałam! - płakała - Musisz mi uwierzyć!

- No więc jestem - powiedział Conven. - Żywy. Wróciłem do domu. Wróciłem do ciebie. W końcu jestem twoim mężem. To był mój dom.

Alexa zamknęła oczy i ponownie pokiwała głową, jakby chciała, aby wszystko to zniknęło.

- Tak bardzo cię przepraszam - powiedziała. - Musiałam iść naprzód. To wszystko było zbyt bolesne. Mam teraz nowe życie. Przykro mi, ale nie mogę wrócić do starego. Mam nowe życie. Jest już za późno.

Zrozpaczony Conven opuścił głowę, Alexa zbliżyła się i objęła go. Był zdziwiony niesprawiedliwością świata. Tym, jak wielka rozpacz może zmienić się w jeszcze większą. Czy nie wycierpiał już wystarczająco?

Przede wszystkim czuł się jednak jak głupiec, było mu wstyd. Zakładał, że wciąż będzie go kochała, tak samo jak zawsze. I że jego podróż niczego nie zmieni.

Ostatecznie okazało się jednak, że nie został mu już nikt na świecie. Ani brat. Ani żona. Nikt.

Conven odwrócił się bez słowa i wyszedł z chaty.

- Conven! - płacząc, krzyknęła za nim Alexa.

Jednak on już zatrzaskał z sobą drzwi. Zamknął się na jej głos, na jej świat, na wszystko co z nią związane.

\*

Conven szedł oszołomiony przez miasto, zupełnie nie zwracając uwagi na świat wokół siebie. Ludzie wpadali na niego, a on na nich - zupełnie jakby był martwy, jakby z niczego nie zdawał sobie sprawy. Jak to możliwe? Jak to możliwe, że świat zabrał mu wszystko, na czym tylko mu zależało?

Być może instynktownie, udał się do karczmy i usiadł przy barze. Nie pamiętał nawet kiedy zamówił kufle ale, jednak te ni stąd ni z owąd pojawiły się tuż przed nim. Wypił je więc, jeden po drugim. Siedział tam z zamkniętymi oczyma i potrząsał głową, starając się wyrzucić z niej wszystko co się wydarzyło.

To nie mogła być prawda. Zaledwie kilka miesięcy temu, Conven miał wszystko. Po podwójnym weselu, stał się szczęśliwym młodym małżonkiem.

Zaoferowano mu, wraz z bratem, miejsce w Legionie. Mieli zamiar w chwale wrócić z wyprawy do Imperium. Mieli powrócić jako bohaterowie, razem z Thorgrinem, który odzyska Miecz Przeznaczenia. Planowali zostać rycerzami, powrócić do domu i wieść cudowne życie.

Jak to się stało, że wszystko potoczyło się nie tak? Conven nie umiał tego pojąć.

Kiedy pił kolejne piwo, całkiem przyjemną wydała mu się myśl, aby to wszystko zakończyć. Przecież, zgodnie z jego oceną, życie nie miało mu już nic więcej do zaoferowania.

Nagle, wpadł na niego jakiś wysoki i potężny, a nawet gruby, mężczyzna, który usiadł do niego plecami i Conven o mało nie spadł z krzesła. Odzyskał jednak równowagę, a wtedy mężczyzna odwrócił się do niego.

- Uważaj jak siedzisz chudzielcu - powiedział.

Conven gapił się na niego, będąc zupełnie pijanym i kipiąc z wściekłości.

- Nie patrz tak na mnie - uśmiechnął się grubas. - Chyba, że chcesz, żebym przeformatował ci buźkę.

Conven stał tam wściekły, zastanawiając się co zrobić. Zanim zdążył zorientować się, co się dzieje, mężczyzna

nagle wstał ze swojego krzesła, zamachnął się i przywalił mu prosto w twarz swoją wielką, spoconą łapą.

Dźwięk uderzenia rozległ się po całej sali, karczma zamilkła, wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

Kilku innych mężczyzn powoli zgromadziło się wokół wielkiego mężczyzny -najwyraźniej byli to jego koledzy, którzy mieli nadzieję na jakąś jatkę.

I właśnie wtedy to się stało. W Convenie coś pękło. Miarka się przebrała. Conven stanął na krawędzi rozpaczy i nie był w stanie już dłużej się powstrzymać.

Zamachnął się niczym zwierzę przyparte do muru, dopadł mężczyzny, chwycił jego drewniane krzesło, podniósł je wysoko i z całym impetem opuścił je prosto na twarz opryszka.

Ten wrzasnął i chwycił się za zakrwawioną twarz. Mężczyzna potknął się, Conven jednak nie czekał. Dосkoczył do niego i kopnął go tak mocno, że ten upadł na kolana. Conven podszedł bliżej i kopnął go w twarz.

Nos mężczyzny złamał się z trzaskiem. Upadł na podłogę niczym ścięte drzewo tak, że ta aż się zatrzęsała.

Wszyscy koledzy mężczyzny, równie potężni jak on, ruszyli w stronę Convena, najwyraźniej chcąc kontynuować tę bójkę.

Conven również miał ochotę dalej siać spustoszenie. Nie czekał więc, a wręcz przeciwnie - pierwszy skoczył w ich kierunku.

Pierwszy z nich ruszył na Convena z pałą. Chłopak wytrącił mu ją jednak z rąk, obezwładnił go i użył jego własnej broni, aby przywalić mu prosto w głowę.

Conven następnie obrócił się wokół własnej osi i uderzył trzech innych mężczyzn, wytrącając im z rąk prymitywne noże i powalając ich wszystkich na ziemię.

Kilkunastu mężczyzn, najwyraźniej kumple tych wcześniejszych, okrążyło go.

Conven walczył jak opętany, kopał, walił, uderzał z łokcia i pałą - kładł jednego mężczyznę po drugim, i kolejnego, i kolejnego. Podniósł jednego i rzucił nim przez salę łamiąc ładę karczmarza na pół. Jednego walnął głową, kolejnemu przywalił z łokcia w szczękę, a następnego przerzucił przez bark.

Conven stał się jednoosobową maszyną do dewastowania. Miał wszystko gdzieś, był gotowy, aby ponieść lekkomyślną śmierć. Niczym już nie musiał się

martwić, nie miał powodu, by żyć. Miał wielką ochotę tutaj dzisiaj umrzeć i wziąć ze sobą jak najwięcej ludzi.

Conven znał swoje umiejętności, umiejętności członka Legionu. Nawet pijany walczył lepiej niż najlepszy spośród tutejszych ludzi. Już prawie skończył - powalił praktycznie każdego mężczyznę w tym miejscu, aż nagle usłyszał za swoimi plecami dźwięk brzęczącego metalu. To były kajdany.

Obejrzał się przez ramię, jednak było już za późno - zobaczył kilkunastu stróżów prawa. Rzucili się na niego od tyłu, waląc go pałkami w głowę. Z nimi również walczył. Pomimo ich przewagi liczebnej. Kopał i rzucał się.

Jednak był już zbyt zmęczony, a ich było zbyt wielu. Trafiały w niego kolejne ciosy, aż nagle poczuł, że udało im się go skuć. Najpierw w nadgarstkach, a potem w kostkach.

Nie mógł się ruszyć, a kolejne ciosy spadały na niego. Wkrótce jego oczy zaczęły się zamykać, ciężkie od sińców. Usłyszał dźwięk uderzenia i ściemniło mu się przed oczami. Zanim jego twarz całkowicie spuchła, pomyślał, że chciałby, aby był tu jego brat i walczył u jego boku.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Matus zirytowany wszedł do zamku swojego ojca; zaciskając szczękę przygotowywał się na spotkanie ze swoimi braćmi. Przemierzał korytarze miejsca, które swego czasu wypełnione było obecnością jego ojca. Kiedyś było to miejsce zgromadzeń dla Wysp Górnych, a teraz jego bracia, Karus i Falus, używali go jako sali spotkań. Starali się tutaj omówić szczegóły buntu i powstania, które miało na celu uwolnić z więzienia ich ojca.

Matus nie postrzegał świata w ten sam sposób co jego bracia. Nigdy nie postrzegał. Był ulepiony z innej gliny niż Karus i Falus, którzy na każdym polu byli kopiami ojca -nawet fizycznie. Byli wysocy i szczupli, posiadali te same wnikliwe błyszczące czarne oczy i proste włosy. Matus, dla odmiany, był niższy, miał brązowe oczy i kręcone włosy, które odziedziczył po ich zmarłej matce. Był najmłodszy co sprawiało, że w jakiś sposób zawsze był od nich oddzielony, a od kiedy ich ojciec znalazł się w więzieniu, przepaść między nimi była głęboka jak nigdy dotąd.

Matus nigdy nie zgadzał się z poczynaniami swego ojca, z jego obłudnymi zdradami wobec Gwendolyn. Jeśli

jego ojciec się z czymś nie zgadzał, uważał Matus, powinien powiedzieć to otwarcie. Jeśli nie chciał zgadzać się na dane warunki, powinien otwarcie walczyć o swoje na polu bitwy - nie zaś w typowy dla siebie śliski sposób, nie poprzez zdradę. Złe było to, że jego ojciec pogwałcał kodeks honorowy, z wielu powodów. Zdaniem jego rodziny, cel uświęca środki. Matus nigdy się z tym nie zgadzał. Honor był dla niego najważniejszy.

Chłopak uważał, że jego ojciec zasługuje na uwięzienie, a nawet, że samo więzienie było aktem łaski ze strony Gwendolyn.

Jego bracia natomiast, byli przekonani o czymś zgoła przeciwnym - kiedy więc Matus wszedł do sali, spotkał się z wrogim spojrzeniem Karusa. Ten siedział przy długim drewnianym stole i debatował z kilkoma innymi żołnierzami, którzy dotrzymywali mu towarzystwa. Jak zwykle knuł. Matus zastanawiał się gdzie jest Falus. Zapewne z jego nieobecności nie wyniknie nic dobrego.

- Dlaczego próbowałeś otruć Sroga? - zapytał stanowczo Matus.

- A dlaczego ty pozostajesz lojalny w stosunku do tego głupca? - odparował Karus.

Matus skrzywił się.

- Jest regentem Królowej.

- Nie naszej Królowej - odpowiedział Karus. - Twoja umiejętność oceny sytuacji jest zaburzona. Nie umiesz zrozumieć komu należy służyć. Twoim zadaniem jest bronienie twoich braci. I ojca.

- Nasz ojciec nie jest już władcą - powiedział Matus. - Mówisz o przeszłości. Teraz wszystko się zmieniło. Srog jest teraz naszym władcą i odpowiada przed Gwendolyn. Nasz ojciec siedzi w więzieniu i już nigdy się z tego nie podniesie.

- Ależ podniesie się - powiedział Karus zdecydowany. Wstał, żwawym krokiem podszedł do ognia i dorzucił do niego kolejne polano. Rzucił nim z takim gniewem, że o mało brakowało a trafiłby psa, który podskoczył i uciekł gdy iskry pojawiły się nad kamienną podłogą.

- Jeśli sądzisz, że będzie tam siedział i gnił w więzieniu przez resztę swojego życia, to naprawdę bardzo się mylisz.

Matus spojrzał na niego zdziwiony. Jego bracia nigdy nie spoczną.

- Co dokładnie masz na myśli? - zapytał.

Karus odwrócił się i spojrzał znacząco na pozostałych żołnierzy znajdujących się w sali. Byli to prymitywni ludzie, najemnicy, którzy pozostali lojalni wobec jego ojca. Karus zawahał się, jakby skrywał jakąś tajemnicę i ustalał z pozostałymi czy przekazać ją Matusowi, czy nie.

- Mam plany - odpowiedział tajemniczo.

- Jakie plany? - naciskał Matus. - Byłbyś głupi gdybyś planował powstanie. Armia Gwendolyn, Srebrni, MacGilowie są dużo bardziej potężni niż my. Niczego się nie nauczyłeś?

- Jesteś z nami czy przeciwko nam? - zażądał odpowiedzi Karus, uderzając przy tym pięścią w stół. Uczynił krok naprzód. - Muszę to wiedzieć.

- Jeśli masz zamiar przeciwstawić się koronie, jestem przeciwko wam - odpowiedział dumnie Matus.

Karus podszedł do przodu i mocno uderzył Matusa w twarz.

Matus spojrzał na niego w szoku.

- Jesteś zdrajcą naszego ojca - powiedział Karus. - Stawiasz Królową wyżej niż swoją rodzinę, obcych ponad nami. Chcesz pozwolić ojcu zgnić w więzieniu za

próbę poszerzenia naszych wpływów, za próbę uczynienia *nas* władcami Kręgu, za próbę zawalczenia o lepszą przyszłość. Jeśli tak bardzo kochasz MacGilów z kontynentu, to sobie z nimi żyj. Nie jesteś już dłużej częścią tej rodziny.

Matus był oszołomiony - zarówno słowami jak i ciosem.

- Ty również nie jesteś lojalny w stosunku do naszego ojca - odpowiedział Matus pochmurnym, stanowczym głosem. - I nie udawaj, że jest inaczej. Jesteś wierny tylko i wyłącznie sobie. Oszustwu. Zdradzie. Brzydzisz mnie. Mną kieruje honor, niezależnie od kosztów. Jeśli honor wymaga tego, abym stanął przeciwko swojemu ojcu, przeciwko tobie, to tak właśnie będzie.

Karus zadrwił.

- Jesteś młody i naiwny. Zawsze byłeś. Ty i te twoje rycerskość i honor. Do czego cię to doprowadziło? Nie jesteś lepszy niż ktokolwiek z nas.

Karus wyciągnął grożąco palec.

- Jeszcze raz wtrącisz się w nasze sprawy, a nie tylko Srog będzie musiał uważać na to co pije.

Kilkoro szlachciców stało ponuro, wspierając Karusa.

Matus był zniesmaczony nimi wszystkimi, czuł się zdradzony, niczym obcy w swojej własnej rodzinie, wśród własnych ludzi. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Jednak kilkoro żołnierzy przesunęło się w stronę drzwi i zablokowało mu drogę.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem bracie - krzyknął Karus.

Matus oburzony zacisnął pięść i powoli się odwrócił.

- Otwórz drzwi - warknął.

Karus uśmiechnął się.

- Otworzę. Kiedy skończę. Zanim sobie pójdiesz, chciałbym ci coś przekazać.

Karus przechadzał się, a jego uśmiech stawał się coraz szerszy. Matus poczuł, że coś złego czai się za tym wzrokiem. Widział, że niezależnie od tego o co chodzi, to będą bardzo, bardzo złe wieści.

\*

Stara szła po kamiennych schodach w stronę dachu, zmierzała by wypatrywać czy przyleciał jakiś sokół. Chciała sprawdzić, czy z kontynentu nadeszły jakieś

zwoje. Desperacko pragnęła dowiedzieć się, co się stało z Reecem, czy przekazał już trudne wieści Selese - i oczywiście, kiedy do niej wróci.

Stara przeskakiwała po trzy schody, wtem nagle zatrzymała się, słysząc stłumione krzyki dochodzące z jednej z zamkowych komnat.

Odwróciła się i pospieszyła zobaczyć o co chodziło.

Stara minęła kilku żołnierzy, aż wreszcie dotarła do komnaty swojego brata. Przed drzwiami stało dwóch strażników, którzy zagrodzili jej przejście.

- Pani, twoi bracia prowadzą właśnie dość intensywną rozmowę. Radziłbym tam nie wchodzić.

Stara słyszała krzyki, które miały miejsce za drzwiami i była bardzo ciekawa co do licha się dzieje.

Spojrzała na nich chłodno.

- Proszę natychmiast otworzyć drzwi - rozkazała.

Strażnicy rozstąpili się i otworzyli drzwi, a Stara weszła do wypełnionej krzykiem komnaty.

Zdziwiła się kiedy zobaczyła, że Matus i Karus się kłócą. Z wielką nienawiścią, twarzą w twarz, a żaden z

nich nie chce odpuścić. Byli tym tak pochłonięci, że nawet nie odwrócili się, aby ją przywitać.

- To najgłupsza rzecz jaką kiedykolwiek zrobiliście - wrzeszczał Matus, cały czerwony ze złości.

Karus z kolei wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Nie masz pojęcia o czym mówisz. To były rozkazy ojca. Wszystko się teraz zmieni. Droga do ich małżeństwa jest teraz prosta.

Matus pokiwał głową.

- Zostanie to uznane za akt zdrady - powiedział. - Nasz kraj powinien zacząć przygotowywać się do wojny.

Karus prychnął drwiąco.

- Co się tutaj dzieje? - wtrąciła się wreszcie Stara. Była zdziwiona całą tą sytuacją, a kiedy usłyszała słowo „małżeństwo” zaczęła mieć dziwne przeczucie, że to wszystko ma z nią jakiś związek.

Obaj się odwrócili i spojrzeli na nią, zdziwieni jej obecnością. Obaj umilkli. Stali tam ciężko dysząc i trzęsąc się ze złości.

- Pomogliśmy ci osiągnąć twój cel, moja droga siostró -



uśmiechnął się Karus wyciągając zwój. - Mój dzisiejszy sokół.

Kiedy Stara wyciągnęła rękę po zwój, poczuła, że zbliża się wielka katastrofa. Rozwinęła go szybko i czym prędzej ogarnęła list wzrokiem. Czytała słowa, ale linie tekstu rozmazywały jej się przed oczami, jakby wirowały.

- Selese nie żyje? - spytała głośno, ledwie wierząc w to, co czyta - Popełniła samobójstwo... królewski pogrzeb.

- Dokładnie to na co liczyłaś, czyż nie? - spytał Karus uśmiechając się z satysfakcją. - Twoja rywalka została usunięta z drogi. Możesz teraz śmiało poślubić Reece'a.

Ręce Stary zaczęły się trząść, a jej całe ciało oblał zimny pot. Opuściła zwój z niedowierzaniem. Spojrzała na Karusa.

- To prawda - powiedział. - Falus złożył jej drobną wizytę na kontynencie i przekazał jej wieści o waszych zalotach z Reecem. Jak widać, był dość skuteczny w swoim działaniu. Odebrała sobie życie, zanim Reece zdążył w ogóle do niej dotrzeć.

Stara poczuła jak jej świat wiruje. Nie umiała uwierzyć w to co słyszy. Kochała Reece'a. Jednak nigdy nie życzyła swojej rywalce śmierci. A już na pewno nie

chciała, aby ta zabiła się przez nią.

Co gorsza, kiedy pomyślała o konsekwencjach, zdała sobie sprawę z tego, że jej związek z Reecem tylko na tym ucierpi. Królewski pogrzeb. Reece będzie miał ogromne poczucie winy. całe królestwo będzie go o to winić. Będzie ją winić. To ich rozdzieli.

Starze chciało się płakać. Wszystko to sprawi, że Reece *nigdy* jej nie poślubi. Nie będzie miał teraz wyboru.

- Ty GŁUPCZE! - krzyknęła, rzucając Karusowi zwojem w twarz. - Wszystko zniszczyłeś.

Karus patrzył na nią i niczego nie rozumiał.

- O co ci chodzi? - zapytał.

- Czy naprawdę sądzisz, że Reece zechce mnie poślubić po tym jak jego ukochana odebrała sobie życie? I to przez knucie naszej rodziny? Właśnie sprawiłeś, że stałam się. że nasza miłość stała się wrogiem Kręgu. Zniszczyłeś szansę na to małżeństwo!

- O czym ty mówisz? - zapytał Karus. - Powinnaś się cieszyć. Przecież tego chciałaś. Ojciec tego chciał. Powiedział, że to zapewni, że wasze małżeństwo dojdzie do skutku.

- Ojciec jest głupcem - wrzasnęła. - Krótkowzrocznym głupcem! Nie ma zielonego pojęcia o porывach serca. Wszystko zniszczył. Jest kompletnym idiotą. I to właśnie dlatego jest dzisiaj tam, gdzie jest.

- Nie wyrażaj się w ten sposób o ojcu - ostrzegł ją Karus.

- Ona ma rację - powiedział Matus. - Stworzyliście nam wroga. I to nie tylko w postaci Reece'a, ale w postaci całej kontynentalnej części Kręgu. Wszystkie nadzieje, na zawarcie jakichkolwiek unii zostały zaprzepaszczone.

Kiedy Stara pomyślała o konsekwencjach, poczuła, że cały świat wokół niej się zapada. Rozpłakała się na myśl o tym, że cokolwiek łączyło ją z Reecem, właśnie się skończyło. Ich relacja nie ma szans, aby to przetrwać. Jej bracia wraz z ojcem - i cała ta ich śmieszna intryga - zniszczyli jedyną prawdziwą miłość jej życia.

A nawet gorzej, Stara czuła, że ma na rękach krew tej biednej kobiety.

Oczy Stary stawały się coraz chłodniejsze, kiedy patrzyła na Karusa.

- NIENAWIDZĘ cię! - wrzasnęła.

Podbiegła do niego i rzuciła mu się do twarzy -

podrapała go. Jako że stał bez ochrony, podniósł ręce, ale było już za późno - poleciał w tył, na stół, po czym osunął się z hukiem na krzesło.

Stara odwróciła się i wybiegła z komnaty, otwierając drzwi, a następnie zatraskując je za sobą z hukiem. Biegła przez zamkowe korytarze, nie zatrzymując się, szlochając, wiedząc, że wszystko na czym jej zależało na tym świecie, zostało jej odebrane na dobre.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Thor stał w samym środku areny treningowej Legionu i obserwował jak kolejni rekruci przejeżdżają obok niego, galopując na swoich koniach, trzymając swoje lance i próbując trafić w środek małej obręczy. Thor stał tam w swojej nowej, lśniącej zbroi Srebrnego, ze sztyletem przy pasie - ciągle odtwarzał sobie w głowie rytuał przyjęcia do Srebrnych. Został uznany za jednego z tych ludzi. To było zupełnie nierealne. Największy zaszczyt jaki można sobie wyobrazić, zaszczyt, o którym nie śmiał nawet marzyć. A teraz stoi tu w swojej zbroi, czuł się jakby był innym mężczyzną. Spojrzał w dół, zobaczył jak jego ubiór lśni w popołudniowych słońcach i czuł się niesamowicie.

Thor słyszał galopujące konie i spojrzał w górę, aby ujrzeć kilku rekrutów przejeżdżających obok niego, starających się ze wszystkich sił, aby trafić w obręcz, ale jednak niepotrafiących tego zrobić. Pudłowali jeden po drugim, a Thor tylko kiwał głową, zmartwiony kiepskimi umiejętnościami tych chłopców.

Kiedy tak patrzył, tylko nielicznym udawało się utrafić w większą obręcz i zebrać metalowe pierścienie na czubek lancy. Jednak kiedy podjeżdżali do kolejnej, mniejszej, obręczy, również pudłowali. Tylko jeden rekrut, Ario, mały chłopiec z Imperium, potrafił trafić lancą w kolejne obręcze, jedna po drugiej. Thor z zaskoczeniem obserwował jak ten kończy cały objazd po zewnętrznym okręgu areny, triumfalnie trzymając w górze lancę wypełnioną małymi metalowymi krążkami.

Udało mu się ściągnąć wszystkie. Inni chłopcy, dysząc ciężko, patrzyli na niego z zazdrością.

Thor chodził tam i z powrotem wzdłuż linii, egzaminując ich. Po wielu dniach treningu zauważył, że niektórzy chłopcy, którzy są doskonali w wykonywaniu konkretnych ćwiczeń, są słabi gdzie indziej. Była to mieszana grupa. Thor obiecywał sobie wiele patrząc na niektórych, jednak co do innych mógł być przekonany, że nie dadzą sobie rady.

Thor czuł się źle odsyłając kogokolwiek, wiedział jednak, że nie ma sensu odkładać nieuniknionego.

- Ty, ty i ty - powiedział Thor wskazując trzech rekrutów. - Przykro mi, ale będzie lepiej jeśli teraz odejdziecie.

Zapanowała napięta cisza, a trzech rekrutów wystąpiło naprzód i odeszło przygnębionych w stronę bram. Jeden z nich zatrzymał się i odwrócił w stronę Thora.

- Ale Panie, niczego nie rozumiem - powiedział. - Przecież nadziałem kilka pierścieni. Wielu innym chłopcom w ogóle się to nie udawało. Dlaczego postanowiłeś właśnie mnie odesłać do domu?

Thor pokiwał głową.

- Nie rozumiesz - odpowiedział. - W tym ćwiczeniu nie chodzi o to, aby trafić w pierścienie. To tak przy okazji.

Chłopiec spojrzał na niego zdezorientowany.

- O co więc chodziło? - zapytał.

- Twoja lanca, - powiedział Thor - czy naprawdę jest twoja?

Chłopiec spojrzał na lancę, którą zostawił za sobą i

wydawał się speszony.

- Tak, jest. Pobrałem ją, kiedy wszyscy rzucili się do broni.

Thor spojrzał na niego spokojnie, czekając na dobrą odpowiedź. Inną odpowiedź.

Wreszcie chłopiec zrozumiał, że Thor o wszystkim wie i zawstydzony spojrzał na ziemię.

- Zabrałem ją z rąk innemu chłopcu - przyznał.

Thor przytaknął, zadowolony.

- W byciu członkiem Legionu nie chodzi tylko o to, aby być wyćwiczonym wojownikiem - wyjaśnił. - Chodzi o to, aby dbać o swoich braci. Kiedy jesteś na polu bitwy, to co czyni cię silnym, to wspólnota. Najlepszym wojownikiem jest ten, który najpierw myśli o swoich braciach. Tylko myśląc o braciach jesteście w stanie uratować siebie. Właśnie na tym polega męstwo. Właśnie do tego tutaj dążymy. Nie zależy mi tylko na najlepszych wojownikach. Przede wszystkim zależy mi na stworzeniu kampanii braci.

Chłopiec odszedł ze spuszczoną głową, wszystko zrozumiał.

Thor odwrócił się do pozostałych. Wszyscy spoglądali na niego ze strachem i szacunkiem.

Thor rozejrzał się po arenie treningowej, po broni, chcąc sprawdzić tych chłopców w czymś, czego jeszcze nie próbowali.

- Ciężkie miecze! - rozkazał Thor.

Jak jeden, wszyscy podbiegli i ustawili się w kolejce do stojaka z długimi mieczami, dwa razy dłuższymi i dwa razy szerszymi niż pozostałe. Były tak ciężkie, że musieli trzymać je obiema rękami. Thor patrzył jak mierzą się z tym, aby je utrzymać.

- Są ciężkie - krzyknął Thor, patrząc jak z wysiłkiem starają się trzymać miecze, chwiejąc się przy tym. - Zostały w ten sposób zaprojektowane. Są to miecze treningowe, cięższe niż cokolwiek innego, czego używa się w walce. Teraz chciałbym, aby każdy z was podniósł drugi miecz i trzymał oba je razem.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego jakby był szalony.

- Dwa miecze, panie? - zapytał chłopiec. - To będzie za ciężkie.

Thor patrzył na nich, niezłomny, tak długo, aż wykonali



rozkaz i wszyscy chwycili dwa ciężkie miecze i próbowali je podnieść.

- Te dwa miecze są cięższe niż jakikolwiek miecz, jakim będziecie walczyć. Te miecze mają sprawić, że staniecie się silni. Każdy z was odwróci się do chłopca stojącego obok niego i za pomocą lin, które tam leżą, zwiążecie razem dwa miecze, tak, aby stały się jednym.

Chłopcy ruszyli do akcji, wiążąc wzajemnie swoją broń. Kiedy skończyli, każdy z nich trzymał dwa miecze związane razem i starał się obiema rękami podnieść je do góry. Były dwa razy grubsze niż jakikolwiek miecz.

Thor pokiwał zadowolony.

- Każdy z was podniesie swój miecz wysoko i przytrzyma go przed sobą.

Kiedy Thor ich obserwował, każdy chłopiec trzymał przed sobą podwójny miecz. Ich ręce drżały, choć starali się utrzymać je stabilnie. Kołysały się na wietrze, niektórzy chłopcy upuścili swoją broń na ziemię. Tylko nieliczni byli w stanie je utrzymać. Thor zapoznał się z sytuacją.

- To jest za ciężkie panie! - jeden chłopiec krzyknął pocąc się i trzęsąc. - Nikt nigdy nie będzie musiał walczyć mieczem takim jak ten! - Jego miecz upadł na

ziemię. - O co w tym wszystkim chodzi?

Thor odwrócił się i podszedł do niego, patrząc prosto w dół.

- Właśnie o to - powiedział Thor. - W bitwie musisz umieć władać bronią dwa razy cięższą niż twój przeciwnik. Musisz być od niego szybszy i silniejszy. Musisz być w stanie dzierżyć miecz cięższy niż ten, którym walczysz. Jedynie wtedy będziesz w stanie walczyć lepiej od swojego przeciwnika. To właśnie szybkość, nawet jedna sekunda, może zadecydować o waszym życiu lub śmierci.

Thor odwrócił się i przeanalizował szereg. Zobaczył, że jedynie tuzin chłopców wciąż trzyma swoje miecze, jęcząc i walcząc. Chłopcy, którzy pozostali byli najwięksi, najwyżsi, mieli szerokie ramiona i byli wyraźnie silniejsi od pozostałych.

Wszyscy oprócz jednego: Mereka. Złodzieja. Nie był tak duży jak pozostali, a jednak udowodniał właśnie, że był silniejszy od większości z nich. Trzymał swój miecz bardziej stabilnie i wyżej niż chłopcy, którzy byli od niego dwa razy więksi. Thor był pod wrażeniem.

- Dobrze! - krzyknął.

Pozostali chłopcy opuścili broń z ulgą, wszyscy byli

wykończeni i ciężko oddychali.

- Wytrzymałiśmy dłużej niż inni - powiedział jeden chłopiec. - Czy to oznacza, że dostaniemy się do Legionu? - zapytał z nadzieją.

Thor pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Oznacza to jedynie tyle, że będziecie ze sobą walczyć. Pozostali tworzą krąg wokół nich.

- Teraz zmierzycie się ze sobą - powiedział Thor. - Używając do tego podwójnych mieczy! Dobierzcie się w pary i pokażcie na co was stać!

Chłopcy zaczęli dobierać się w pary. Ich miecze były tak ciężkie, że ledwie potrafili je utrzymać, a kiedy próbowali podnieść je wysoko nad głowę, niektórzy przewrócili się do tyłu. Inni uczynili to w tak powolny i niezdany sposób, że nie byli w stanie nawet zbliżyć się do swojego przeciwnika.

Ich przeciwnicy byli jednak równie wolni, ledwie będąc w stanie podnieść własne miecze, aby sparować uderzenie.

Thor przechadzał się pomiędzy walczącymi chłopcami i z obrzydzeniem kiwał głową.

- Jesteście za wolni - krzyczał. - Mogę się pomiędzy wami przechadzać!

Kiedy jeden z chłopców podniósł wysoko miecz, Thor odchylił się w tył, a następnie użył swojej nogi, aby uderzyć go w klatkę piersiową i odesłać do tyłu. Innego chłopca uderzył ramieniem i usadził go, kiedy tamtemu podnosił miecz.

Po kolei każdy z nich dostawał od Thora kuksańca, który usadzał go na tyłku, wszyscy upadali ze swoimi ciężkimi mieczami. Wkrótce wszyscy byli już powaleni na ziemię. Dyszeli ciężko z wyczerpania.

- A ciebie stać na więcej, Panie? - warknął na Thora jeden z rekrutów, siedząc na ziemi cały czerwony.

Wszyscy chłopcy odwrócili się, z przerażeniem patrząc na pokaz braku szacunku dla Thora. Był to duży, dziobaty dzieciak z północno-zachodniej prowincji, dzieciak, za którym Thor nie przepadał. Trzymał go z powodu jego rozmiarów, jednak nie zaskoczył go jego brak subordynacji.

- Sprawdźmy - powiedział Thor. - Weź pojedynczy miecz, a mnie podaj podwójny.

Chłopcu bardzo spodobał się ten pomysł, z pośpiechem chwycił pojedynczy miecz i

spojrzał na Thora z aroganckim uśmiechem, będąc pewnym swojego zwycięstwa.

Thor z łatwością podniósł podwójny miecz, a następnie przerzucił go kilkakrotnie z jednej ręki do drugiej, trzymając go tylko w jednej ręce - chłopcy patrzyli na niego zszokowani.

- Trzeci miecz! - krzyknął.

Chłopcy obserwowali z zaciekawieniem jak Thor bierze trzeci miecz i łączy go liną z pozostałymi dwoma.

Następnie patrzyli z otwartymi ustami jak Thor podnosi obiema rękami potrójny miecz. Na twarzy cały poczerwieniał z wysiłku.

Chłopak, który miał walczyć z Thorem, wyglądał teraz bardzo niepewnie - i na bardzo przestraszonego.

Thor nie czekał, wymierzył w chłopaka, podniósł wysoko swój potrójny miecz i opuścił go w dół z taką siłą, że kiedy chłopiec próbował zablokować cios, jego miecz rozpadł się w pół z donośnym dźwiękiem, który przeszył powietrze.

Thor wbił następnie swój miecz w ziemię i używając go jako słupa, chwycił za rękojeść, wsparł się na nim i wybił się wysoko, aby kopnąć chłopca w klatkę

piersiową. Ten poleciał daleko do tyłu, po czym wylądował na swoim tyłku.

Thor stanął nad nim, a chłopak spojrział na niego w szoku.

- Możesz wracać do domu - powiedział Thor. - Wróć kiedy nauczysz się odzywać do przełożonych z szacunkiem.

Chłopiec powstał czołgając się uprzednio i pobiegł truchtem w stronę bram, chcąc jak najszybciej opuścić tereny treningowe Legionu. Pozostali chłopcy odwrócili się i spojrzeli na Thora z podziwem.

- Phi, tylko trzy miecze? - padły radosne słowa.

Thor odwrócił się, ucieszony na dźwięk znajomego głosu, ucieszył się jeszcze bardziej kiedy zobaczył swoich najbliższych przyjaciół z Legionu - Eldena i O'Connora.

Elden podszedł do podwójnych mieczy, podniósł jeden w górę i jedną ręką trzymał go wysoko nad głową.

- Wygląda na to, że standardowy trening Legionu dobrze się trzyma. Przynajmniej z tego co widzę - powiedział z uśmiechem.

Elden ruszył naprzód, trzymając wysoko miecz i z okrzykiem bojowym przeciął kłodę wiszącą na poligonie. Z pięknym trzaskiem rozłupywania, kłoda rozpadła się na pół.

Wszyscy chłopcy patrzyli na Eldena z zaciekawieniem.

Ten odrzucił miecz, podszedł do Thora i objął go, podobnie jak O'Connor. Thor był bardzo szczęśliwy widząc swoich przyjaciół ze starego Legionu. Wszystkie te treningi, powtarzane każdego dnia, sprawiły, że zbliżyli się do siebie mocniej niż mógł podejrzewać.

- Wygląda na to, że masz tu sporą grupę rekrutów - powiedział głośno Elden, tak żeby chłopcy mogli usłyszeć. - Zastanawiam się, czy którykolwiek byłby w stanie wykonać to cięcie.

- Być może kilku - odpowiedział głośno Thor, tak aby chłopcy słyszeli.

- Jakie ćwiczenie jest zaplanowane jako następne? - zapytał O'Connor z uśmiechem.

- Zabawne, że pytasz - teraz czas na łuki.

Thor miał pewien pomysł. Zwrócił się twarzą do grupy.

- Czy jest tu ktoś, kto sądzi, że potrafi strzelać z łuku

lepiej niż mój przyjaciel O'Connor? Jeśli ktoś zdoła go przebić, zostanie nagrodzony natychmiastowym wciągnięciem do Legionu.

Wszyscy zmierzili wzrokiem O'Connora od stóp do głów i prawdopodobnie uznali, patrząc na jego wątłą postawę i chłopięcy uśmiech oraz rude włosy i piegi, że nie jest on wymagającym przeciwnikiem.

Pobiegli do przodu, złapali łuki i ustawili się w szeregu wzdłuż krawędzi pola. Za cel powzięli sobie ogromne tarcze z siana znajdujące się w odległości trzydziestu jardów. Jedyne garstka z nich trafiła do celu, jedynie kilku zbliżyło się do środkowego kółka i tylko jeden trafił w sam środek celu. Był tu wysoki, szczupły chłopiec, dwa razy wyższy niż pozostali, z długimi brązowymi włosami, które spinał w kucyk. Stał tam zadowolony z siebie, jego strzał był zdecydowanie najlepszy. Thor zapamiętał to sobie.

O'Connor uśmiechając się szeroko, podniósł swój łuk, podszedł do przodu, polizał palec i uniósł go, aby wyczuć wiatr. Spojrzał w górę, jakby go sprawdzał, a następnie opuścił głowę, podniósł łuk i wypuścił trzy szybkie strzały.

Trzy strzały leciały w powietrzu po wysokim łuku i przeleciały obok celu. Leciały dalej i wszystkie trafiły w



najbardziej oddalony cel, znajdujący się w odległości pięćdziesięciu jardów. Wszystkie trafiły w sam środek.

Chłopcom szczęka opadła ze zdziwienia, kiedy to zobaczyli - jednak O'Connor jeszcze nie skończył. Nałożył jeszcze jedną strzałę, wycelował i strzelił. Ta poszybowała i trafiła wprost w strzałę, którą wypuścił wysoki chłopiec. O'Connor wycelował tak precyzyjnie, że strzała chłopca rozdzieliła się na pół.

Rekruci stali tam zadziwieni umiejętnościami O'Connora, a Thor uśmiechał się szeroko.

- O'Connor nabył swoje umiejętności dzięki wieloletnim treningom w Legionie -krzyknął Thor. - Jeśli macie to czego tu potrzeba i będziecie odpowiednio ciężko pracować, kiedyś będziecie walczyć razem z nami. I tego właśnie będziemy od was oczekiwać. Pomyślcie o tym kiedy pójdziecie dzisiaj spać i zdecydujcie czy chcecie powrócić tu rano. A teraz jesteście wolni!

Chłopcy odwrócili się i zaczęli schodzić z pola treningu, wszyscy osuwali się na nogach, wyczerpani po ciężkim dniu.

Thor spojrział na Eldena i O'Connora. Kiedy na nich patrzył, wróciły wspomnienia i bardzo za nimi zatęsknił.

Oczy im się świeciły, gdy oglądali nową zbroję Thora.

- No proszę! - krzyknął Elden. - Członek Srebrnych!

- Twoja zbroja jest taka lśniąca, że chyba będę musiał zasłonić sobie oczy! - dodał O'Connor żartobliwie nakładając dłoń na czoło.

- Pomyśl, - powiedział Elden - jeden z nas został Srebrnym!

- Wiedzieliśmy, że pewnego dnia uda ci się to osiągnąć - powiedział O'Connor.

Pokleпали go po ramieniu, zadowoleni jakby to oni dostąpili tego zaszczytu, a Thor

rozkoszował się ich podziwem.

- Dziękuję wam bracia - powiedział dumny - i dziękuję za to, że przybiliście tak szybko.

- Dla ciebie wszystko - powiedział Elden.

- Wizyta w moim rodzinnym mieście może jeszcze poczekać - stwierdził O'Connor.

- Przepraszam za to - powiedział Thor. - Potrzebuję was tutaj. Chciałbym, abyście jako pierwsi dowiedzieli się,

że opuszczam Krąg.

Obaj spojrzeli na niego wyraźnie zdziwieni.

- Muszę odnaleźć moją matkę, - powiedział Thor - mam zamiar udać się na Ziemię Druidów.

- Sam? - zapytał Elden.

- Dołączymy do ciebie! - zaproponował O'Connor.

Thor pokręcił głową, uderzając każdego z nich w ramię.

- Nie ma na świecie ludzi, których bardziej pragnąłbym u swego boku - powiedział. - Jednak jest to podróż, którą muszę odbyć sam. Polecę na Mycoples. Muszę odnaleźć swoją matkę a następnie wrócić. Wrócę silniejszy. Pomogę uczynić silniejszym Krąg.

Thor spojrział na wychodzących rekrutów.

- W tym czasie - dodał - trening Legionu musi być kontynuowany. Komu mógłbym zaufać bardziej niż moim braciom? Chciałbym, abyście mnie zastąpili, kiedy mnie nie będzie. Czy moglibyście zamienić tych chłopców w mężczyzn?

Na twarzach Eldena i O'Connora można było zobaczyć zaszczyt i uznanie.

- Jesteśmy braćmi z Legionu na zawsze - powiedział Elden. - O cokolwiek poprosisz, jest święte. Jesteśmy zaszczyceni.

- Kiedy powrócisz, ci chłopcy będą mężczyznami - dodał O'Connor. - Będziesz mógł wówczas zdecydować, kogo wybierzesz do formacji.

Thor odetchnął z ulgą, już chciał im odpowiedzieć, kiedy nagle zbliżył się Merek. Stał jedynie stopę od nich, jakby chciał rozmawiać z Thorem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, - powiedział Merek - ale nadeszły wieści, które nie mogą czekać.

- O co chodzi - zapytał podejrzliwie Thor.

Merek odwrócił się i spojrzał na Eldena i O'Connora jakby niepewny czy może przy nich mówić.

- Moi bracia mogą usłyszeć wszelkie wieści, które są skierowane do mnie -zapewnił Thor.

Merek kiwnął i zaczął mówić:

- Jeden z moich znajomych, który siedzi w lochu w związku z naszymi złodziejskimi czasami, wie o wszystkich, którzy są wtrąceni do więzienia, bądź je opuszczają. Powiedział mi właśnie, że jeden z waszych

braci z Legionu został uwięziony w królewskim lochu.  
Chodzi o Convena.

Thor, Elden i O'Connor popatrzyli na siebie z  
ogromnym zdziwieniem

- Conven? - zapytał Thor - Jesteś pewien?

Merek przytaknął.

- Dziękuję - powiedział Thor. - Dobrze się spisałeś. Nie  
zapomnę o tym.

Merek skinął głową i odszedł w pośpiechu.

- Muszę tam natychmiast pójść i dowiedzieć się, co się  
stało. Musi zostać uwolniony.

- Powinniśmy iść z tobą - powiedzieli Elden i O'Connor  
- jest także naszym bratem.

Thor skinął głową i wszyscy trzej wskoczyli na konie i  
udali się w stronę królewskiego lochu. Thor był  
zdeteminowany, aby uwolnić swojego brata,  
niezależnie od tego, w co ten się wplątał.

\*

Thor szedł w kierunku głównych bram królewskiego

lochu w otoczeniu Eldena i O'Connora. Kilku mężczyzn sprawowało straż - zdziwili się na widok Thora. Zasalutowali mu i otwarli szeroko bramy, wszyscy trzej weszli do środka.

Kiedy szli w dół kamiennego korytarza z niskim sufitem w kształcie łuku, ich buty i zbroje rozbrzmiewały echem. Thor zastanawiał się, co do diaska mógł zrobić Conven, że skończył w tym miejscu. Cokolwiek to było, wiedział, że na pewno nic dobrego. Zaczął obawiać się, jak zwykle zresztą, o przyszłość swojego brata. Thor zaczął zdawać sobie sprawę, że wielki żal nie opuszcza niektórych tak łatwo jak innych.

Ruszyli w dół ciemnym, przewiewnym korytarzem lochu. Więźniowie po obu ich stronach robili hałas, uderzając w kraty swoimi cynowymi kubkami. Szli obok nich całą drogę, mijając cele jedną po drugiej, aż wreszcie strażnik doprowadził ich do dużej celi na końcu korytarza.

Strażnik podniósł swój uniwersalny klucz i otworzył kratę, dźwięk metalu rozbrzmiał na całym korytarzu.

Kiedy drzwi się otworzyły, Thor spojrzał do pojedynczej komórki i zobaczył, ledwie widocznego przy słabym świetle pochodni, osuniętego w rogu, swojego brata z Legionu. Conven siedział skulony,

całkowicie przybity, nieogolony, z potarganymi długimi włosami. Thor na ten widok poczuł kłucie w żołądku. Jak mogło do tego dojść? Conven, który był kiedyś tak radosny, pełen młodzieńczego entuzjazmu. Dumny i nieustraszony członek Legionu. A teraz siedział tutaj, wrzucony do celi niczym kolejny, zwykły więzień.

Thor nie umiał znieść tego widoku. Żaden członek Legionu nie powinien być traktowany w ten sposób,

Thor wciąż czuł ogromny smutek z powodu śmierci Convala. Nigdy nie przestał o tym myśleć. Jednak był w stanie ruszyć dalej.

Conven najwyraźniej nie. Od pewnego czasu pograżał się w coraz większym smutku, co doprowadziło go do tego miejsca. Thor obawiał się, że jeśli coś się szybko nie zmieni, jego przyjaciel już długo nie pożyje.

Wszedł do celi, Elden i O'Connor za nim. Wszyscy podeszli do Convena i stanęli nad nim. Ten ledwie na nich spojrział.

Thor przykucnął przy Convenie i spojrział mu w oczy. Wyglądał jakby uszło z niego wszelkie życie. Cała miłość i radość, które miał kiedyś w sobie, zniknęły.

- Conven? - powiedział delikatnie Thor.

Conven nawet nie drgnął.

Thor wyciągnął rękę i trącił go w ramię.

- Conven? - powtórzył.

Conven poruszył się powoli.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytał nie patrząc nawet w oczy Thora.

- Ponieważ jestem twoim bratem - odpowiedział Thor.

- Wszyscy jesteśmy twoimi braćmi - dodali Elden i O'Connor.

Conven spojrział na nich i powoli pokręcił głową.

- Byliście moimi braćmi w innych czasach - powiedział.

- To nieprawda - odpowiedział Thor. - Jesteśmy braćmi na *wszystkie* czasy.

Conven znów pokręcił głową.

- Byliśmy twoimi braćmi, kiedy byłeś na szczycie chwały - dodał Thor - i jesteśmy nimi teraz, kiedy jesteś pogrążony w głębokim smutku. Oto co znaczy być bratem. Brat to więcej niż przyjaciel. Braterstwo



oznacza, że kiedy jeden z nas jest na dnie, wszyscy jesteśmy na dnie.

Conven spojrział mu w oczy.

- *Nikt nie zostanie zostawiony w tyle* - powiedział stanowczo, bez wahania.

Conven odwrócił się i spojrział w dół - Thor zauważył, że łza cieknie mu po

policzku.

- Nie jestem wart tego, aby mnie ocalić - powiedział Conven. - Jestem szczęśliwy tu na dnie. Na górze nic dla mnie nie pozostało.

- My jesteśmy tu dla ciebie - powiedział Elden. - Czy to nic nie znaczy?

Conven siedział w ciszy.

- Masz jeszcze przed sobą całe życie - powiedział O'Connor. - Jesteś młody. Jesteś wspaniałym wojownikiem. Nie możesz tego tutaj zmarnować, niczym jakiś zwykły rzezimieszek.

- Mogę - odpowiedział Conven.

- A właśnie że *nie* - powiedział Thor z empatią. - Nie pozwolę na to.

- Nie jesteś w stanie mnie powstrzymać - powiedział wyzywająco Conven.

Thor zastanowił się nad tym, zdziwiony odpowiedzią Convena. Wreszcie westchnął.

- Masz rację - powiedział w końcu. - Nie mogę cię powstrzymać. Możesz zniszczyć swoje życie. Ale pamiętaj o tym, że jeśli się na to zdecydujesz, zniszczysz nie tylko swoje życie, ale również nasze. Skrzywdzisz nie tylko siebie, ale również ludzi wokół ciebie. Jesteśmy twoimi braćmi. Potrzebujesz nas. Ale zapominasz o tym, że my również możemy cię potrzebować. Może nie dzisiaj. Jednak z pewnością nadejdzie kiedyś dzień, kiedy to my będziemy w dołku i będziemy cię wtedy potrzebować, abyś tam dla nas był.

Thor przerwał, kiedy zobaczył, że Conven słucha go i bierze to wszystko do siebie. Czuł jak ten myśli, zastanawia się. Nastąpiła długa cisza.

- Legion musi zostać odbudowany - kontynuował wreszcie Thor. - Muszę opuścić teraz Krąg. Elden i O'Connor będą teraz za to odpowiedzialni i będą potrzebowali również ciebie. Chodź z nami. Dołącz do

nas. Pomóż nam odbudować Legion. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, to zrób to dla innych. Byłbyś samolubny walając się tutaj, kiedy inni potrzebują twojej pomocy.

Thor pochylił się i wyciągnął rękę, czekając.

Conven siedział tam i się wahał, w ciszy, która zdawała się trwać wiecznie. Thor zaczął się zastanawiać czy Conven nie ma zamiaru mu odpowiedzieć, czy wszystkie jego słowa poszły na marne.

Wreszcie, powoli, Conven podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy Thora. Thor zobaczył w nich błysk czegoś, małą iskierkę dającą nadzieję. Światło.

Conven powoli wyciągnął rękę i uściskał dłoń Thora. Był to uścisk mężczyzny, którego kiedyś znał. Uścisk towarzysza broni.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Reece szedł w górę po długiej drewnianej desce, która opadała stromo w doku. Zmierzał prosto na pokład potężnego statku zacumowanego tuż przed nim. Chwiejna deska miała dobrych pięćdziesiąt stóp długości, a Reece wspinał się po niej szybko. Jego kroki

odbijały się echem na wydrążonym drewnie, które trzęsło się za każdym razem kiedy uczynił krok. Na górze znajdowali się Wyspiarze z Wysp Górnych, ludzie Falusa, wszyscy w pełni zaangażowani w przygotowania do drogi - odwiązywali liny, rozkładali żagle, przygotowywali się do opuszczenia kontynentu i udania się na Wyspy Górne. Reece kipiał z wściekłości, uspokajał się, zmuszał się, aby oddychać głęboko i pozostać spokojnym, by poczekać na odpowiedni moment zanim rozniesie ich wszystkich w pył.

Reece wszedł na główny pokład i natychmiast spojrzął na żołnierzy Falusa, oceniając ich reakcję. Nikt nie spojrzął na niego dwukrotnie. Reece odetchnął z ulgą - to znaczy, że jego przebranie działa. Był ubrany w kompletną zbroję żołnierzy Wysp Górnych, od hełmu po ostrogę. Wszyscy, miał nadzieję, uważają go za jednego z nich.

Reece dobrze wykonał swoją robotę. Kiedy tu szedł, niedaleko doków powalił niespodziewającego się niczego Wyspiarza, kiedy ten nie patrzył. Zaciągnął go w tylną alejkę, rozebrał z jego stroju, a następnie sam ów strój przywdział. Wiedział, że będzie tego potrzebował jeśli ma mieć jakiegokolwiek szanse na wcielenie swojego planu w życie.

Reece galopował przez noc - przyjechał na wybrzeże

prosto z pogrzebu Selese. Wciąż wściekły z żalu, wciąż z przekrwionymi oczyma. Pod paznokciami nadal miał brud ze świeżej ziemi, w której ją pochował i nadal czuł obok siebie jej ducha, wołającego o zemstę. W końcu gdyby nie intryga Falusa, Reece spotkałby się z Selese, która byłaby nie tylko żywa, ale i szczęśliwa. Poślubiłby ją następnego dnia. Coś tak złego nie mogło nikomu ujść płazem.

Reece dowiedział się kiedy i skąd Falus będzie odpływał z kontynentu i przyjechał tutaj. Do tego samotnego doku na granicy Imperium, chciał mieć pewność, że ten, nigdy stąd nie odpłynie. Wiedział, że musi wejść na pokład wrogich Wyspiarzy, wiedział też, że jest to zadanie, które musi wykonać samodzielnie. To przebranie dawało mu przynajmniej nieco czasu.

Reece szedł szybko przez pokład statku, zadowolony, że udało mu się tutaj dostać zaraz przed odpłynięciem. Przebywał wśród setek żołnierzy, którzy w pośpiechu przygotowywali się do drogi. Był zdeterminowany, aby odnaleźć Falusa. Ktoś musiał odpowiedzieć za śmierć Selese.

Zauważył coraz większe poruszenie, coraz więcej lin było wrzuconych na pokład. Wiedział już, że statek może odpłynąć, zanim zdąży z niego zejść. Jednak go to nie obchodziło. Jeśli będzie musiał wypłynąć w morze z

tymi ludźmi, jeśli skończy złapany i zostanie przez nich zabity. wszystko to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jeśli tylko uda mu się najpierw zabić Falusa.

Reece szedł i szedł w dół niekończącego się statku. Przy pasie miał ukryty sztylet. Zaciskał dłoń na jego rękojeści. Serce waliło mu tak głośno, że sam był w stanie je usłyszeć. Wreszcie dotarł do drzwi, za którymi, jak wiedział, znajdowała się kajuta Falusa. Serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej, kiedy zdał sobie sprawę, że za tymi drzwiami znajduje się Falus. Człowiek, przez którego Selese odebrała sobie życie.

Przed kajutą stało dwóch wiernych żołnierzy Falusa, pilnowali jej. Kiedy Reece nadszedł, wystąpili do przodu i opuścili swoje włócznie.

- A dokąd to? - zapytał jeden z nich szyderczo, blokując mu drogę.

Reece przewidział, że tak będzie. Falus miał w końcu pod sobą wielu ludzi, więc Reece podejrzewał, że ktoś z nich będzie trzymał strażę.

Bez mrugnięcia okiem Reece, przygotowany na tę sytuację, sięgnął w dół i wyciągnął z okolic talii długi zwój. Trzymał go teraz przed strażnikami.

- Przynoszę wieści, które nadeszły wraz z porannym

sokołem - powiedział w rzeczowy sposób Reece, licząc na to, że mu uwierzą.

Jeden z nich podejrzliwie spojrział na Reece'a, a następnie wyciągnął rękę, aby chwycić zwój.

Reece cofnął swoją rękę.

- To oficjalne informacje - powiedział. - Nie widzisz pieczęci?

Reece odwrócił zwój i pokazał im odciśniętą w wosku pieczęć.

Strażnicy spojrzeli na siebie niepewnie. Reece stał tam, a serce waliło mu w piersi, miał nadzieję, że nie zauważą, że jego strój nie jest dobrze dopasowany, miał nadzieję, że uwierzą w zwój i że odsuną się, umożliwiając mu przejście. Jeśli nie, będzie musiał sięgnąć po sztylet spoczywający na jego biodrach i obu ich zabić. Ale jeśli to uczyni, przy wszystkich kręcących się tutaj ludziach, może nie udać mu się nawet wejść do kajuty.

Czekał i czekał - były to najdłuższe sekundy jego życia.

Proszę, *modlił się*, Selese, proszę, pomóż mi. Błagam.

Pomóż mi, abym mógł zrobić to dla ciebie. Wiem, że byłem okropnym mężem. Nie musisz mnie kochać. Nie

musisz mi wybaczać. Ale pomóż mi dokonać zemsty, chcę to zrobić dla ciebie.

Wreszcie, ku ogromnej ucieście Reece'a, strażnicy odeszli na boki i podnieśli swoje włócznie, jeden z nich otworzył drzwi.

Reece szybko wszedł do środka, a drzwi za nim się zatrzasnęły.

Oczy powoli przystosowywały się do półmroku kajuty, podczas gdy on szedł w głąb długiego pokoju. W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden człowiek, co Reece zauważył z ulgą. Siedział przy swoim biurku, tyłem do Reece'a, pisząc piórem list. Prawdopodobnie była to wiadomość informująca o zwycięstwie, Reece podejrzewał, że miała ona powiadomić innych o jego sukcesie. O śmierci Selese. O jego zdradzie.

Ciało Reece'a ogarnęła wściekłość. Oto i on - morderca jego przyszłej żony.

Reece szedł przez pokój i dźwięczał ostrogami, Falus odwrócił się zaskoczony.

Staął oburzony.

- Kim jesteś? - powiedział. - Rozkazałem moim ludziom, aby nikt nie przeszkadzał mi przez najbliższą



godzinę. Cóż to za zwój? Jakie wieści przynosisz?

Patrzył na Reece'a, który coraz bardziej się do niego zbliżał, zmarszczył brwi, a Reece nadal podchodził do niego spokojnym krokiem. Następnie zatrzymał się zaledwie stopę od niego.

Reece podniósł przyłbicę, chcąc by Falus zobaczył jego twarz.

Falus spojrział na niego i otworzył szeroko oczy ze zdumienia - wyraźnie go rozpoznał.

- To wiadomość od twojego kuzyna - powiedział Reece.

Kiedy wypowiedział te słowa, podszedł do przodu, wyciągnął zza bioder długi sztylet i dźgnął swojego kuzyna prosto w serce.

Falus dyszał, a krew lała się z jego ust. Zatoczył się w tył. Reece chwycił go mocno drugą ręką za koszulę i ze skrzywioną twarzą wbijał sztylet głębiej i głębiej, wprost w serce Falusa.

Reece krzywiąc się, trzymał w środku ostrze - jego twarz była teraz zaledwie kilka cali od twarzy Falusa, patrzył wprost w jego oczy.

- Spójrz mi w oczy - powiedział Reece. - Chcę, abyś

widział moją twarz, zanim umrzesz.

Falus wytrzeszczył oczy, nie był w stanie się ruszyć, odwzajemnił spojrzenie Reece'a.

- Odebrałeś mi wszystko co miałem, - kontynuował Reece - ukradłeś mi wszystko na czym mi zależało. A teraz, właśnie płacisz za to cenę.

- Nie wymigasz się z tego - jęknął z ledwością Falus, a oczy uciekły mu do góry.

Nagle jego powieki opuściły się, a on sam opadł, jego ciało było już bezwładne.

Reece pozwolił, by jego kuzyn upadł na podłogę kajuty, ze sztyletem wciąż wbitym w ciało. Falus leżał tam zimny. Martwy.

- Już się wymigałem - odpowiedział Reece.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Luanda stała obok Bronsona na dziedzińcu byłego zamku McCloudów, spoglądając w napiętej ciszy na te wszystkie rzędy uwięzionych McCloudów. Stało tutaj czterystu najbardziej osławionych wojowników tego

rodu. Patrzyli na nich z rękami związanymi z tyłu, czekając na swoją karę. Wszyscy ci mężczyźni zostali otoczeni, po sławetnej nocy, podczas której miał miejsce bunt. Byli to ludzie, którzy wiedzieli o tym, co ma nastąpić. Nie było ich tam tej nocy, jednak wszyscy byli zamieszani w spisek z Koovią, który miał na celu uwięzienie i zamordowanie MacGilów.

Luanda patrzyła na tych ludzi, na te mccloudowskie szumowiny i doskonale widziała, co by z nimi zrobiła, gdyby to ona była władczynią: wszyscy zostaliby publicznie straceni. Zrobiłaby z tego przedstawienie. Umocniłaby swoją siłę, raz na zawsze, nauczyłaby wszystkich tych McCloudów czego mogą spodziewać się po swojej władczyni. Nigdy więcej nie wybuchłby tu żaden bunt.

Jednak to nie do Luandy należała władza, nie była to więc jej decyzja. Stała tam bezradna, gotując się ze złości. Widziała, że ta decyzja należy do jej męża, do Bronsona, gdyż to jemu Gwendolyn przekazała władzę. Luanda kochała Bronsona bardziej, niż kogokolwiek innego - jednak nadal gardziła jego słabością. Gardziła tym, że był lojalny wobec Gwendolyn, że wcielał w życie jej politykę. A polityka jej siostry była głupia. Luanda wiedziała, że są to działania oparte na słabości i naiwności. Uspokoić przeciwnika. Mieć nadzieję na pokój, Te same decyzje podjąłby zapewne jej ojciec.

Luandę bolało to, że będąc u władzy miałyby szansę rozegrać to wszystko w inny sposób. Wiedziała jednak, że nigdy to nie nastąpi. Odkąd wróciła tutaj w niełasce, zza drugiej strony Pogórza, po raz kolejny wygnana przez swą siostrę, Luanda wychodziła z siebie. Płakała przez wiele dni, była w żałobie ze względu na swoje wygnanie, ze względu na swoją niemożność powrócenia do Królewskiego Dworu.

Luanda widziała w spojrzeniu swojego rodzeństwa wzgardę i nienawiść. Pozwoliło jej to wreszcie uświadomić sobie, że była wygnańcem w swojej własnej rodzinie, wśród swoich ludzi. Wszyscy oni, jak czuła, byli niezwykle okrutni. Tak, zdarzyło jej się popełnić błędy, ale czy naprawdę zasługiwała na aż taką karę? W jej oczach po raz kolejny dał się widzieć wstyd - może nawet większy niż wcześniej.

Stwardniała w środku od czasu ostatniej podróży, od swojego powrotu tutaj. Coś w niej pękło i teraz nie kochała już swojego rodzeństwa; teraz nienawidziła swoją rodzinę - a najbardziej z wszystkich nienawidziła Gwendolyn. Zabiłaby ich wszystkich, gdyby tylko mogła. Za karę, że uczynili z niej wyrzutka, za to, że ją upokorzyli.

Jedyną osobą na świecie, którą Luanda naprawdę kochała był stojący obok niej Bronson. I tylko lojalność

wobec niego sprawiała, że stała przy jego boku, gotowa okazać poparcie dla decyzji, którą podejmie jako władca. Niezależnie od tego, jaka ona będzie.

- W imieniu Gwendolyn, Królowej Zachodniego Królestwa Kręgu, niniejszym okazuję wszystkim wam, stojącym tutaj przede mną, łaskę - głośno obwieścił Bronson zebrany żołnierzom McCloudów. - Każdy z was zostanie puszczony wolno. Zostaną wybaczone wam wszystkie wcześniejsze winy. Wstąpicie do armii MacGilów i będziecie odbywać wspólne patrole po obu stronach Pogórza. Wszyscy, którzy przysięgają lojalność Gwendolyn i swoje oddanie dla pokoju i harmonii, niech uklęką.

Setki wojowników McCloudów uklękło i pochyliło swoje głowy.

- Czy przysięgacie swoje oddanie Gwendolyn? - wrzasnął Bronson.

- PRZYSIĘGAMY! - wszyscy wrzasnęli zgodnie.

- Czy przysięgacie wiekuiącą lojalność, pokój i harmonię pomiędzy klanami?

- PRZYSIĘGAMY!

Bronson skinął na swoich towarzyszy i dziesiątki jego

ludzi ruszyło między szeregi rozcinając pęta McCloudów. Ci zaś spoglądali na siebie całkowicie zdziwieni.

Tłum żołnierzy rozproszył się, a kiedy to się stało Luanda odwróciła się do Bronsona.

- To największa pomyłka jaką zrobiłeś w życiu - powiedziała do niego w złości. - Czy naprawdę myślisz, że ci ludzie będą lojalni? Że będą walczyć za Gwen?

- Wystarczająco już wycierpieli - powiedział Bronson. - Wszyscy ich przywódcy zostali zabici. Zabicie kolejnych ludzi nie doprowadzi do niczego poza samym rozlewem krwi. Jeśli liczymy na pokój, w pewnym momencie musimy zdać się na wzajemne zaufanie.

Luanda skrzywiła się.

- To polityka mojej siostry. Nie twoja.

- Jestem narzędziem twojej siostry - powiedział Bronson. - Tak samo jak ty. Wypełniam jej politykę.

- Przez jej zasady wszyscy zginiemy. Sprawileś właśnie, że nasze królestwo przestało być bezpieczne.

Pokręcił głową.

- Nie zgadzam się. Wydaje mi się, że uczyniliśmy je właśnie bezpieczniejszym.

Bronson odwrócił się, a doradcy odprowadzili go do innych spraw.

Luanda stała tam, obserwując go, a następnie odwróciła się i spojrzała na żołnierzy McCloudów. Byli tacy szczęśliwi, ciesząc się sobą w mniejszych grupach. Była całkowicie przekonana, że nie doprowadzi to do niczego dobrego.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Thor stał nad Kanionem i patrzył się w wielką przepaść, która znajdowała się przed nim. Otaczała go wielokolorowa mgła. Był załamany. Odwrócił się i zobaczył Gwen, która stała przed nim, trzymając na ręku Guwayne'a. Prawie nie mógł spojrzeć jej w oczy. A już na pewno nie był w stanie patrzeć w oczy Guwayne'a. Gwen trzymała go na rękach, jego syna, a ten patrzył na Thora uważnie. Thor czuł siłę, która od niego pochodzi, siłę, której nie potrafił pojąć.

Thor czuł się związany z tym miejscem, jakby nigdy nie mógł go opuścić. Miał dziwne przeczucie, że jakieś niebezpieczeństwo zmierza w kierunku Kręgu. Wiedział,

że nie ma to żadnego sensu, Tarcza była odbudowana, a Ralibar wszystkiego pilnował -Krağ był silniejszy niż kiedykolwiek. A jednak wciąż się martwił czy jego wyjazd w jakiś sposób nie ściąga na nich niebezpieczeństwa.

W tym samym czasie Thor czuł jednak wielką potrzebę odszukania swojej matki, to uczucie go wzywało. Czuł, że coś doniosłego czeka na niego na Ziemi Druidów. Jakieś moce albo broń, dzięki którym będzie mógł znacząco wzmocnić Krağ. Czuł też, że właśnie tego potrzebował, aby zakończyć swój trening i aby odkryć kim naprawdę jest.

Thor spojrzał w oczy Gwen, świeciły się, ale jeszcze nie płakała. Była silna, szczególnie w obecności wszystkich jej ludzi, tysięcy żołnierzy, którzy przybyli tu, by zobaczyć odejście Thora. Jako że ten pożegnał się już ze swoimi ludźmi, ze swoimi towarzyszami broni, teraz patrzył tylko na Gwendolyn. Przy jego stopach stał Krohn, a za nim zaś siedziała zniecierpliwiona Mycoples. Obok niej siedział Ralibar, który żałośnie opuścił głowę i pocierał nią o szyję Mycoples. Było to dość nietypowe -prawdopodobnie przeczuwał, że odlatują.

Ralibar nagle wygiął kark w tył i wrzasnął. Był to okrutny dźwięk, który zdziwił ich wszystkich. Było to



naprawdę dziwne. Gwen myślała, że go zna, jednak w tym momencie zdała sobie sprawę, że wcale nie. Jego pysk był teraz dziki, jakby udręczony, nagle zamachał skrzydłami, odwrócił się tyłem do wszystkich i odleciał w stronę horyzontu.

Gwen obserwowała go ze strachem, zastanawiając się dokąd zmierza. Zastanawiając się, czy wróci.

Wszyscy obserwowali jak odlatuje, aż wreszcie Thor odwrócił się do niej.

- Nie chcę cię zostawiać kochanie - powiedział Thor do Gwendolyn, starając się jak tylko potrafił powstrzymać się od płaczu. - Tak samo jak nie chcę zostawiać Guwayne'a.

- Odnajdziesz swoją matkę - odpowiedziała Gwen pozostając silną - i wrócisz zanim zdążymy się obejrzeć. Wrócisz silniejszy. Idź. Twoja podróż została przepowiedziana w księgach. Krąg cię potrzebuje. Twoja matka cię potrzebuje.

- Ale teraz - odpowiedział Thor - ty również mnie potrzebujesz.

Skinęła głową.

- To prawda. Ale przede wszystkim potrzebuję, abyś był

silny. Nie odważę się postawić siebie przed Kręgiem.

Thor wyciągnął rękę i uściskał dłoń Gwen.

- Przepraszam, że nie wzięliśmy ślubu kochana.

Oczy Gwen zwilżyły się nieco, tylko troszeczkę, jednak Thor był w stanie to zauważyć.

- To nie jest na to dobry czas- odpowiedziała. - Nie, kiedy w powietrzu wisi pogrzeb.

- Kiedy wrócę, - powiedział Thor - spędzimy ze sobą już całe życie.

Gwen skinęła głową.

- Kiedy wrócisz - powiedziała.

Thorgrin pochylił się, położył obie ręce na czole Guwayne'a, a następnie go pocałował. Poczł ogromną energię, która przepływała przez jego ciało. Nie chciał opuścić swojego dziecka.

Następnie wyciągnął dłonie i chwycił w nie twarz Gwen, pochylił się i pocałował ją. Starł się utrzymać pocałunek tak długo, jak tylko potrafił.

- Opiekuj się naszym dzieckiem - powiedział Thor. -

Strzeż Kręgu. Masz Ralibara i Tarczę, która jest mocniejsza niż kiedykolwiek, no i najwspanialszych wojowników jakich znam. Masz też Krohna. Powinienem wrócić, jak mi się wydaje, jeszcze przed upływem miesiąca.

- Nie ma się czego bać - odpowiedziała Gwen.

Pomimo że starała się być silna, Thor widział, że jej dolna warga drży, widział, że powstrzymuje się od płaczu.

Szybko otarła formującą się łzę.

- Idź - powiedziała, najwyraźniej bojąc się powiedzieć cokolwiek innego, aby nie wybuchnąć płaczem.

Złamało mu to serce. Chciał zmienić zdanie, chciał zostać.

Ale widział, że nie może tego zrobić. Thor odwrócił się i spojrzał ponad horyzont. Mycoples czekała na niego, a on wiedział, że to jest właśnie jego przeznaczenie. Nadszedł czas na jego podróż.

Krohn jęknął, a Thor schylił się i go poklepał, pogłaskał go po sierści i pocałował w pysk. Krohn polizał go w zamian.

- Uważaj na nich - zachęcił go Thor.

Krohn zaskowyczał, jakby w odpowiedzi.

Bez słowa Thor odwrócił się, wszedł na Mycoples i ostatni raz spojrział na swoich rodaków. Stało ich tam tysiące, patrząc, wyczekując jego odejścia. Wśród nich było wielu członków Srebrnych. Serce Thora wypełniło się miłością do wszystkich tych ludzi, którzy również bardzo go kochali.

- THORGRINSON! - krzyknęli wszyscy chórem, podnosząc swoje dłonie i salutując mu z szacunkiem.

Thorgrin również podniósł dłoń i zasalutował.

Następnie Mycoples wrzasnęła, błysnęła swoimi skrzydłami i uniosła się w powietrze. Odwróciła się tyłem do ludzi Thora, do Kręgu, do wszystkiego co Thor znał i wleciała w mgłę nad Kanionem. Zmierzała w kierunku świata, o którym Thor nie miał zielonego pojęcia.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

Godfrey siedział w małej, zagranicznej karczmie w mieście McCloudów. Akorth i Fulton siedzieli po jego

bokach, wszyscy już mocno wypici. Godfrey potrzebował dzisiaj alkoholu bardziej niż zazwyczaj, chciał się w nim zupełnie utopić i wymazać w ten sposób ze swojej głowy obraz pogrzebu matki. Wziął kolejny długi łyk, kończąc w ten sposób następny kufel i natychmiast zabrał się za nowy. Był zdeterminowany, aby pić się do nieprzytomności.

To był ciężki czas. Najpierw starał się zjednać MacGilów i McCloudów, co skończyło się karczmianą bójką - wszystko wybuchło mu w twarz, wszystkie jego plany, co do jednego, zakończyły się klęską. Następnie został wezwany do Królewskiego Dworu na pogrzeb swojej matki. Musiał tam stać i patrzeć jak wkładają jej ciało do grobu. Przypomniało mu to stare czasy; czasy, do których Godfrey wolałby już nigdy nie wracać.

Relacja Godfrey'a z matką zawsze była trudna, mówiąc najłagodniej. Niewiele różniła się od jego relacji z ojcem. Dla obojga był jedynie zawodem, dla obojga oczywistym było, że jest przeciwieństwem królewskiego syna, o którym zawsze marzyli. Godfrey myślał, że stłumił wszystkie swe uczucia do matki lata temu. Kiedy jednak zobaczył jej pochówek, wszystko wróciło. Nigdy w życiu nie otrzymał jej błogosławieństwa i chociaż myślał, że go to nie obchodziło to uczestnictwo w jej pogrzebie pozwoliło mu zrozumieć, że było zupełnie odwrotnie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele

rzeczy pomiędzy nimi pozostało nierozwiązanych. Na pogrzebie wył i szlochał jak jakiś kretyn - przynajmniej tak to postrzegał. Nie potrafił zrozumieć dlaczego. Być może płakał z powodu relacji, którą zawsze chciał z nią mieć.

Nie chciał już tego analizować. Zdecydowanie wolał zatracić się w alkoholu, wygnać z siebie to wszystko. Całe to, okropne, królewskie wychowanie i uczynić z tego wspomnienie tak odległe, jak to tylko możliwe.

Żołnierz McCloudów potrafił Godfrea, a ten otrząsnął się ze swoich myśli i rozejrzał wokół. Teraz, kiedy Bronson uwolnił tych wszystkich ludzi, karczma znów się nimi wypełniła. Nastrój w mieście znów był wesoły, ale i niespokojny. Godfrey spędził w karczmach całe swoje życie. Kręcił się wokół nietaktownych i lekkomyślnych mężczyzn i nic go nie dziwiło. Jednak tutaj, w tym mieście, przy tych ludziach, czuł w powietrzu coś innego. Coś czemu nie ufał. Czuł się jakby w każdej chwili jeden z tych mężczyzn mógł nagle dźgnąć go w plecy. Ale równie dobrze mógł go po nich poklepać.

Jego siostra stwierdziła, że ten gest, uwolnienie ludzi McCloudów, sprawi, iż McCloudowie zapragną pokoju, a sprawy pomiędzy nimi wrócą do normalności. I z zewnątrz tak to właśnie wyglądało. Jednak Godfrey nie

umiał oprzeć się wrażeniu, że w powietrzu wisi coś jeszcze, jakiś ogólny niepokój. W żaden sposób nie umiał tego zignorować.

Godfrey nie znał się na polityce, był tylko zwykłym żołnierzem. Jednak znał ludzi. Znał, przede wszystkim, zwykłych ludzi. I potrafił rozpoznać niechęć wśród mas. Wiedział, że coś się święci. Pomimo tego, że pragnął aby było inaczej, wydawało mu się, że jego siostra podjęła błędną decyzję. Być może, ostatecznie, Gwendolyn porzuci to miejsce i będzie po prostu patrolować granicę, tak jak zwykł robić to ich ojciec. Może pozwoli McCloudom skupić się na ich własnej części królestwa.

Jednak dopóki jej polityka będzie dążyła do utrzymania pokoju pomiędzy nimi, Godfrey tu zostanie, starając się wypełnić jej wolę takimi sposobami, jakie tylko będzie miał w zasięgu. Tak jak jej obiecał, kiedy go tu wysłała.

Nagle z drugiej strony sali dotarł radosny okrzyk. Godfrey rozejrzał się i zobaczył, że kilku McCloudów sprowadziło kilku innych do parteru, a połowa karczmy pogrążyła się w bójce.

Odwrócił się i spojrzał w swój napój. Nie chciał się w to angażować. To był już drugi raz tego wieczoru.

- Niektórzy nigdy nie odpuszczają - zauważył cicho Akorth zwracając się do Godfrey'a i Fultona.

- Nawet silny napitek nie każdego potrafi wyleczyć - dodał Fulton.

Godfrey wzruszył ramionami.

- To nie nasza sprawa - powiedział Akorth. - Dopóki ich alkohol jest dobry i silny, z chęcią będę go spożywał.

- A co jeśli pewnego dnia ich alkohol się skończy? - zapytał Fulton.

- Wtedy pójdziemy sobie gdzie indziej! - odpowiedział Akorth ze śmiechem.

Godfrey starał się nie zwracać na nich uwagi. Był zmęczony ich niekończącymi się żartami, których zawsze musiał wysłuchiwać i ich młodzieńczym patrzaniem na świat. W przeszłości nigdy mu to nie przeszkadzało, ale teraz zaczęła zachodzić w nim jakaś zmiana, szczególnie od czasu pogrzebu matki. Po raz pierwszy zaczynał postrzegać swoich przyjaciół jako dziecinnych. I naprawdę zaczęło mu to przeszkadzać. Po raz pierwszy w życiu, zupełnie wbrew sobie, miał ochotę skarcić ich za to, że nie są zbyt dojrzały. Dojrzały. Dla Godfrey'a to było straszne słowo i nie rozumiał do końca dlaczego zaczynał postrzegać to wszystko inaczej.



Wzruszył ramionami mając nadzieję, że nie stanie się taki sam, jak człowiek, którego nienawidził najbardziej - jak jego ojciec.

Godfrey już chciał wstać i wyjść, aby zażyć nieco świeżego powietrza, gdy nagle rozpoznał znajomą twarz - kobietę, która stała obok niego.

- I cóż najlepszego wyczyniasz? Pijesz? - spytała stojąc nad nim i patrząc z dezaprobatą.

Godfrey był w szoku, że przyjechała za nim aż tutaj, spojrzał w bok, zawstydzony. Obiecał jej, że nie będzie pił, a teraz przyłapała go na gorącym uczynku.

- Wpadłem tylko na szybkie piwo - odpowiedział Godfrey patrząc w dal.

Illepra pokręciła głową i wyrwała mu z ręki kufel.

- Marnujesz sobie życie, nie widzisz tego? Właśnie pochowano twoją matkę. Nie widzisz jak cenne jest życie?

Godfrey się zdenerwował.

- Nie musisz mi tego przypominać - odparł.

- Więc dlaczego tu jesteś? - dociekała nadal.

- A gdzie niby miałbym być? - zapytał.

- *Gdzieś indziej?* - zapytała zdumiona. - Wszędzie tylko nie tutaj. Powinieneś być na zewnątrz, ze swoimi braćmi i siostrami, pomagać odbudować Krąg. Bronić naszego królestwa. Robić jedną z miliona innych rzeczy. Siedząc tutaj, niczego nie osiągniesz.

- A może właśnie, siedząc tutaj osiągam wielkie rzeczy - odpowiedział Godfrey, siadając prościej i bardziej wyzywająco.

- Na przykład? - zapytała.

- Cieszę się sobą - odpowiedział. - To wspaniałe na swój własny sposób, czyż nie? Spójrz jak wielu wspaniałych mężczyzn spędza swoje życie na budowaniu, dowodzeniu i zabijaniu - a żaden z nich, nigdy nie cieszył się zwykłą chwilą swojego życia.

Illepra pokręciła głową zniesmaczona.

- Wierzyłam w ciebie - powiedziała. - Wiem, że możesz być kimś więcej, niż zdajesz się być. Ale nigdy nie staniesz się wielkim człowiekiem, jeśli będziesz topił się w alkoholu. Nigdy.

Wreszcie do niego dotarła, pociągnęła za wszystkie sznurki i przypomniała Godfreyowi o jego ojcu.

Wreszcie stał się przygnębiony i kipiał ze złości.

- A więc wyjaśnij mi - zażądał - co jest takiego w zabijaniu się nawzajem, co sprawia, że mężczyźni są tacy wspaniali? Co jest takiego w podniesieniu miecza i odebraniu komuś życia, że jest to godne naśladowania? Twoja definicja wielkości jest dość wąska. Nie dostrzegam cnoty w zabijaniu innych ludzi i nie rozumiem, w jaki sposób sprawia to, że ktoś staje się mężczyzną. Dla mnie, cnota oznacza cieszenie się życiem. Dlaczego dużo wspanialszym jest dźganie i zabijanie innych niż siedzenie w spokoju, śmianie się i cieszenie się wspólnym napitkiem.

Illepra położyła ręce na biodrach i pokręciła głową.

- To jest tłumaczenie się pijaka, - powiedziała - a nie królewskiego syna.

Godfrey nie dał się w to wciągnąć

- Mylisz się - powiedział. - Chcesz wiedzieć co naprawdę myślę? Myślę, że większość ludzi w tym królestwie - wliczając w to twoich cudownych rycerzy - ma taką obsesję na punkcie zabijania się nawzajem, że zapomnieli co znaczy żyć. Myślę, że zabijają się nawzajem, ponieważ nie mają pojęcia jak mają żyć - jak *naprawdę* żyć. Starają się więc to zatuszować swoimi

wspaniałymi zasadami, tytułami, rycerskością, zaszczytami, chwałą i cnotą. Rycerze, dowódcy... to tylko uciezka. Koniec końców, dużo łatwiej jest stawić czoła śmierci, niż stawić czoła życiu.

Illepra była czerwona na twarzy i zmartwiona.

- A ty doszedłeś do tego jak należy żyć? -  
odpowiedziała. - Na tym polega życie? Na upijaniu się?  
Na topieniu się w alkoholu?

Godfrey stał tam speszony i nie był w stanie wymyślić dobrej odpowiedzi.

Pokiwała głową.

- Wykończysz mnie - powiedziała. - Nie będę cię już więcej szukać. Lubię cię. Jest w tobie coś szczególnego. Ale nie mogę już dłużej tego wszystkiego tolerować. Jeśli kiedykolwiek dorośniesz i staniesz się mężczyzną, wiesz gdzie mnie szukać. W innym przypadku - szczęścia życzę.

Illepra odwróciła się, wyszła z karczmy i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Akorth i Fulton odwrócili się w stronę Godfreya, gwizdząc i przewracając oczami.

- Wygląda na to, że cię lubi - powiedział Akorth.

- Może po prostu powinienes zaprosić ją na piwo! - powiedział Fulton.

Obaj wybuchnęli śmiechem, zachwyceni swoją błyskotliwością.

Ale Godfrey siedział tam, marszcząc brwi i analizując jej słowa. Mocno go zraniły. Być może dlatego, że po części powiedziała coś, nad czym sam od dawna się zastanawiał. Jaki, tak naprawdę, jest cel życia? Godfrey wiedział, że nie jest taki jak inni. Nie uważał, że wszystkim o co chodzi w życiu jest zabijanie innych na polu bitwy. Jednocześnie jednak wiedział, że jego obecna droga życiowa również nie ma nic wspólnego z cnotą. A więc co to jest? Co sprawia, że człowiek jest wart najwięcej?

Godfrey wstał potykając się, złapał nieco równowagi, a kiedy poruszył głową, zdał sobie sprawę z tego jak bardzo jest pijany. Chciał kolejne piwo, jednak karczmarz znajdował się daleko, na drugim końcu lady, więc Godfrey ruszył chwiejnym krokiem w jego kierunku.

Kiedy dotarł do innej części karczmy, podsłuchał dwa głosy, które szeptały coś między sobą. Obejrzał się

przez ramię i zobaczył dwóch żołnierzy McCloudów, którzy przycupnęli obok siebie i spiskowali.

- Kiedy wyruszamy? - zapytał jeden z nich.

- Przed wschodem słońca - odpowiedział drugi. - Właśnie wszystko przygotowują.

- Kto do nas dołączy?

Drugi nachylił się jeszcze bliżej.

- A kto nie dołączy? Będą tam wszyscy ludzie McCloudów. Droga prowadzi tylko w jedną stronę. MacGilowie są na pielgrzymce. Ubarwimy bramy Królewskiego Dworu na czerwono.

Godfrey czuł jak wszystkie włosy na ręce stają mu dęba. Odwrócił się i spojrzał w dal, udając, że niczego nie słyszał.

Powoli i spokojnie odebrał od karczmarza swoje kolejne piwo i ruszył z powrotem przez salę jak gdyby nigdy nic.

Doszedł do Akortha i Fultona. Ręce całe mu się trzęsły. Pochylił się między nimi, tak, aby usłyszeli go pośród swego śmiechu.

- Wyjdźcie za mną, *teraz*, - powiedział cicho i pospiesznie - jeśli chcecie przeżyć.

Godfrey nie czekał na ich reakcję. Szedł dalej wprost w stronę drzwi, mając nadzieję, że nikt go nie widzi. Akorth i Fulton udali się za nim.

Wyszli na zewnątrz, w pochmurne popołudnie. Na świeżym powietrzu Godfrey pozwolił sobie, na to, aby pograć się w panice. Odwrócił się i spojrzął na swoich przyjaciół, których twarze były dość zdziwione. Zanim zdążyli się odezwać, Godfrey powiedział:

- Usłyszałem coś, czego powinienem być nie słyszeć - powiedział. - McCloudowie przygotowują się do powstania. Żaden MacGil nie przeżyje.

Godfrey stał tam, zataczając się. Zastanawiał się co zrobić. Był pijany, nie potrafił utrzymać równowagi. Ostatecznie odwrócił się i ruszył w stronę swojego konia.

- Dokąd idziesz? - zapytał Akorth, bekając.

- Coś z tym zrobić - Godfrey usłyszał swoją odpowiedź, a następnie spiął konia i pojechał pełnym galopem. Nie miał pojęcia co robi - wiedział jednak, że coś zrobić musi.

\*

Godfrey zszedł z konia w najwyższym punkcie Pogórza. Akorth i Fulton przyjechali tuż za nim i również zsiadli z koni. Musiał wjechać tak wysoko, aby mieć ogłęd sytuacji, którego potrzebował, by ocenić czy to wszystko prawda, czy może jedynie zwykłe pijackie gadanie.

Oddychał ciężko, wspinając się pod górę. W ogóle ledwie potrafił oddychać, a Akorth i Fulton potykali się obok niego, nie umiając złapać tchu. Godfrey wiedział, że nie ma kondycji, ale z tą dwójką było jeszcze gorzej. Kiedy jechał, świeże górskie powietrze orzeźwiło go nieco i powoli wychodził ze swojego pijackiego stanu.



- Dokąd teraz biegniesz? - krzyknął za nim Akorth.

- Co w ciebie wstąpiło? - wrzasnął Fulton.

Godfrey ignorował ich i potykając się biegł coraz wyżej i wyżej, aż w końcu, ciężko dysząc, dotarł na szczyt.

Widok potwierdził najgorsze obawy. Tam, na odległym grzbiecie Pogórza, stała rozległa i dobrze zorganizowana armia McCloudów. Wszyscy podzieleni na oddziały, gotowi na coś, co z całą pewnością miało być zorganizowanym atakiem. Z każdą minutą przybywało więcej mężczyzn. Godfrey przeraził się, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że wszystkie jego najgorsze koszmary stają się rzeczywistością: wszyscy ci mężczyźni przeprowadzą atak w dół Pogórza, w samo serce Królewskiego Dworu.

Normalnie Królewski Dwój nie miałby się czego obawiać, ale biorąc pod uwagę, że był to Dzień Pielgrzyma, wszyscy rycerze broniący Królewskiego Dworu byli zapewne nieobecni. McCloudowie dobrze zaplanowali swój spisek. Będzie tam garstka ludzi pozostawionych do ochrony miasta, a jego siostra znajdzie się w niebezpieczeństwie, podobnie jak jego siostrzeniec.

Godfrey stał, sapiąc, wiedział, że musi coś zrobić. Musi

uprzedzić tych mężczyzn w dotarciu do Królewskiego Dworu. Musi ją ostrzec. Godfrey nie był waleczny. Ale nie był też tchórzem.

Jego pierwszą myślą było, aby wysłać sokoła, ale widział, że sokolnik był pusty. McCloudowie doskonale to zaplanowali, pozbywając się wszelkich środków, jakimi można było powiadomić Królewski Dwór. Poza tym musieli dokładnie zaplanować to na Dzień Pielgrzyma. Zapewne więc działali od dłuższego czasu. Godfrey zaczął zastanawiać się, czy zaatakują też Bronsona i miał dziwne przeczucie, że jest to bardzo możliwe.

- Musimy ich powstrzymać - powiedział Godfrey sam do siebie.

Akorth prychnął pogardliwie.

- Oszalałeś? Nasza trójka ma *ich* powstrzymać?

- Dotrą do Królewskiego Dworu bez uprzedzenia. Tam jest moja siostra. Zabij ją.

Fulton pokiwał głową.

- Oszalałeś - powiedział Fulton. - Nie mamy szans dotrzeć przed nimi do Królewskiego Dworu. Chyba że wyruszymy natychmiast i będziemy galopować przez

całą noc i modlić się do boga, aby pokonać tych ludzi zanim nas wszystkich powyrzynają.

Godfrey stał z rękami na biodrach, patrząc w dal. W środku podjął już decyzję.

- A więc to jest dokładnie to, co musimy zrobić.

Obaj odwrócili się do niego.

- Ty *naprawdę* jesteś szalony - powiedział Akorth.

Godfrey wiedział, że to szalony pomysł. I sam siebie nie rozumiał. Jeszcze przed chwilą toczył bój przeciw rycerskości. A teraz, kiedy stanął twarzą w twarz z okolicznościami, postanowił zareagować w ten właśnie sposób. Po raz pierwszy w życiu, Godfrey zaczął rozumieć co miała na myśli Illepra. Myślał o innych, nie tylko o sobie i to sprawiało, że wzrastał we własnych oczach. Jego życie wreszcie miało jakiś sens, i cel.

- Przemyśl to - powiedział Fulton. - Umrzesz podczas tej misji. Może ocalisz siostrę i kilka innych osób, ale sam będziesz martwy.

- Nie proszę, abyś do mnie dołączył - powiedział Godfrey wsiadając na konia i łapiąc za lejce, przygotowując się do odjazdu.

- Godfrey, *jesteś głupcem* - powiedział Fulton.

Fulton i Akorth ze zdziwieniem spojrzeli na Godfreya i po raz pierwszy patrzyli na niego w inny sposób - tak jakby z szacunkiem. Zwiesili głowy ze wstydem i stało się jasne, że nie zamierzają mu towarzyszyć.

Godfrey spał konia, odwrócił się i pogalopował w dół zbocza. Jechał samotnie naprzeciw armii McCloudów, gotowy pędzić całą drogę, gotowy uratować życie swojej siostry.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

Srog siedział za starodawnym dębowym biurkiem w forcie należącym niegdyś do Tirusa. Starał się skoncentrować i napisać list do Gwendolyn. Było to kolejne pochmurne popołudnie na Wyspach Górnych. Za jego oknami wisiała gęsta mgła i panował zawsze obecny mrok. Srog nie chciał zostawać w tym miejscu już choćby jednego dnia dłużej.

Złapał się rękami za głowę, próbując się skupić. Nie był jednak w stanie tego zrobić ponieważ od jakiegoś czasu, pisanie zakłócały mu hałasy, wrzaski i okrzyki pochodzące z jakiegoś oddalonego miejsca. Srog podchodził do okna kilka razy, starając się sprawdzić co

się dzieje - jednak nie był w stanie niczego zobaczyć przez mgłę.

Próbował się od tego odciąć. Prawdopodobnie był to kolejny spór klanów, albo inna sprzeczka handlarzy gdzieś w dole wsi. A może dźwięki dochodziły z jednej z karczm, awanturnicy byli tam stałymi klientami i często wytaczali się na ulicę, aby odbyć kolejną pijacką bójkę.

Jednak kiedy Srog próbował pisać, przełożyć na słowa głębię tutejszej niedoli, drwiny tłumy były coraz silniejsze, aż w końcu Srog był zbyt rozkojarzony, by myśleć.

Sfrustrowany rzucił pióro, wstał i ponownie przeszedł po komnacie, idąc w stronę świeżego powietrza, które przedostawało się przez otwarte okno. Był zdecydowany, alby dowiedzieć się skąd dochodzą te hałasy. Bez wątpienia coś się działo. Czy chodziło o jakąś zabawę? A może o jakiś protest? Na tej wyspie malkontentów, niczego nie można być pewnym.

Nagle wielkie drewniane drzwi komnaty Sroga otworzyły się z trzaskiem, zaskakując go zupełnie. Po raz pierwszy ktoś otworzył je, nie będąc uprzednio zapowiedzianym. Stare drzwi uderzyły z hukiem w ściany. Srog był skołowany, kiedy zobaczył biegnącego

w jego kierunku posłańca, jednego z jego ludzi. Miał szeroko otwarte oczy, które wypełniała panika.

- Panie, musisz natychmiast opuścić to miejsce!  
Szturmują fortecę! Jesteśmy otoczeni!

Srog spojrział na mężczyznę zdezorientowany, starając się zrozumieć o czym on mówi. Otoczeni?

Posłaniec ruszył do przodu i porwał Sroga za rękę.

- Czy możesz wyrażać się jaśniej - zachęcił go Srog. -  
Muszę wyjść? Dlaczego? Kto nas otoczył?

Srog usłyszał kolejny krzyk, tym razem dochodził z wnętrza fortu. Zrozumiał, że coś było bardzo, bardzo nie tak - i to o wiele bliżej niż mu się wydawało.

- To ludzie Tirusa! - odpowiedział posłaniec. - Na wyspie wybuchło powstanie. Tirus został uwolniony. Teraz idą cię zabić!

Srog spojrział na niego w szoku.

- Powstanie? - zapytał. - Z jakiego powodu? I kto do niego wezwał?

Posłaniec pokiwał głową, starając się chwycić oddech.

- Zabili wszystkich naszych ludzi! Nie ma nikogo, kto mógłby cię chronić. Nie słyszałeś? Przyplłynął statek z martwym ciałem. To był syn Tirusa. Falus. Zabity przez Reece'a. To spowodowało bunt. Cała wyspa jest pod bronią. Panie, musisz zrozumieć. Nie mamy czasu-

Nagle posłaniec chwycił Sroga obiema rękami za ramiona i patrząc na niego z szeroko otwartymi oczyma, pochylił się, jakby chciał go przytulić.

Srog odwzajemnił jego spojrzenie, zdziwiony, aż nagle zobaczył krew tryskającą mu z ust. Mężczyzna padł martwy w jego ramiona, a kiedy osunął się na podłogę, Srog zobaczył nóż wystający z jego pleców.

Srog podniósł wzrok i ujrzał pięciu żołnierzy Tirusa, którzy próbowali dostać się do komnaty - wszyscy oczywiście szli po niego.

Serce Sroga waliło jak oszalałe, wiedział, że nie da rady uciec. Został zagoniony w róg. Uwięziony. Pomyślał o ukrytej komnacie, która mieściła się w pokoju. Miała ona tylne wyjście, którym mógłby uciec. Została wykuta w kamiennej ścianie na czasy dokładnie takie jak te. Ale Srog nie był tego typu człowiekiem. Był rycerzem, nie zwykł uciekać. Jeśli miał dziś spotkać się ze śmiercią, to spojrzysz jej prosto w twarz, z mieczem w ręku, mierząc się z wrogiem. Będzie walczył tak długo, aż utoruje

sobie drogę do wyjścia, albo umrze.

To właśnie były trudności, z którymi lubił się mierzyć.

Srog wydał z siebie donośny okrzyk bojowy. Nie czekał aż go dopadną - skierował się w stronę mężczyzn.

Dobył miecza i podniósł go wysoko, a kiedy dowódca tamtych, sięgnął po kolejny krótki sztylet, Srog podbiegł do niego i dokonał swego cięcia, odrąbując mężczyźnie nadgarstek, zanim ten zdążył w niego rzucić. Żołnierz upadł na ziemię, krzycząc.

Srog nie zatrzymywał się, uderzał mieczem raz po raz, szybciej niż wszyscy pozostali, ścinając głowę jednemu, innego godząc prosto w serce. Lata walki sprawiły, że nie bał się zasadzek, nauczyły go nigdy się nie poddawać i dzięki temu Srog zdjął trzech mężczyzn zaledwie w mgnieniu oka.

Pozostali dwaj zaszli go z boku i z tyłu. Srog wirował wokół własnej osi blokując mieczem ich ciosy. W powietrzu latały iskry kiedy z nimi walczył. Srog dawał popis wspaniałej walki z dwoma przeciwnikami, nawet kiedy zepchnęli go w tył pokoju. Brzęk metalu odbijał się echem po ścianach, mężczyźni chrząkali, walcząc o swoje życie.

Srog wreszcie znalazł miejsce, podniósł nogę i kopnął



jednego z nich w klatkę piersiową. Mężczyzna potknął się i wywrócił do tyłu, a Srog zakręcił się i uderzył łokciem w twarz drugiego żołnierza, ten upadł na kolana.

Srog był zadowolony widząc wszystkich swoich pięciu przeciwników powalonych na podłogę. Jednak zanim zdążył dopełnić swego dzieła, poczuł nagle ostry ból w plecach.

Srog odłonił się walcząc z innymi i nie zauważył szóstego żołnierza, który zakradł się do komnaty i dźgnął go w plecy. Jęcząc z bólu, Srog zebrał w sobie resztki sił. Odwrócił się, pochwycił swojego przeciwnika, przyciągnął do siebie i uderzył go głową, łamiąc mu nos i sprawiając, że ten osunął się na podłogę.

Srog wygiął się i sięgnął ręką za plecy, chwycił rękojęć krótkiego miecza, który miał wbity obok kręgosłupa i pociągnął go.

Wrzasnął z rozdzierającego bólu i upadł na kolana. Ale przynajmniej udało mu się usunąć miecz, który trzymał teraz w swoich bladych dłoniach. Wstał i wbił go prosto w serce napastnika.

Ciężko ranny upadł na kolano, zakaszłał i splunął krwią.

Nastąpiła chwilowa cisza w bitwie i Srog zdał sobie sprawę, że z jego obrażeniami, nie pozostało mu zbyt wiele czasu.

Nagle usłyszał, że kolejny żołnierz zbliża się do komnaty. Srog zmusił się, aby wstać i zmierzyć się z nim pomimo bólu. Nie wiedział, czy starczy mu siły, aby znów podnieść miecz.

Odetchnął z wielką ulgą, kiedy zobaczył kto nadchodzi. Był to Matus, najmłodszy syn Króla. Matus wbiegł do sali, odwrócił się, zatrzasnął drzwi i zabarykadował je.

- Panie - powiedział Matus, odwracając się i ruszając w jego stronę - jesteś ranny.

Srog potwierdził upadając znów na jedno kolano, ból go rozdzierał, czuł się coraz słabszy.

Matus podbiegł i chwycił go pod ramię.

- Masz szczęście, że żyjesz - powiedział w pośpiechu. - Wszyscy pozostali w zamku są martwi. Ja jestem żywy tylko dlatego, że jestem Wyspiarzem. Zabiją cię. Musisz się ukryć!

- Co tu robisz Matusie? - zapytał z trudnością Srog. - Zabiją cię jeśli znajdą cię tutaj. Jeśli zobaczą, że mi pomagasz. Idź. Ocal samego siebie.

Matus pokręcił głową.

- Nie, - powiedział - nie zostawię cię.

Nagle rozległo się walenie w drzwi. Jacyś ludzie próbowali je wyważyć.

Matus odwrócił się i ze strachem w oczach spojrzał w oczy Sroga.

- Nie mamy czasu. Musimy się stąd wydostać!  
Natychmiast!

- Zostanę i będę walczył - powiedział Srog.

Matus pokręcił głową.

- Jest ich za dużo. W mgnieniu oka będziesz martwy.  
Jeśli przeżyjesz, będziesz mógł walczyć innego dnia.  
Chodź za mną.

Srog w końcu przyznał rację Matusowi. Chciał, aby chłopiec przeżył, a wiedział, że sam nie da rady walczyć.

Przebiegli przez komnatę do sekretnego przejścia ukrytego w kamiennym murze. Matus dotykał muru, starając się znaleźć odpowiednie miejsce. W końcu wyczuł jeden kamień, który był poluzowany bardziej niż

pozostałe, popchnął go, a kiedy to zrobił, w murze pojawiło się wąskie przejście. Było ono jednak na tyle szerokie, że człowiek, mógł się przez nie prześlizgnąć.

Walenie w drzwi było coraz głośniejsze. Matus pochwycił wahającego się Sroga.

- Martwy nie przydasz się Gwendolyn - powiedział.

Srog ustąpił i pozwolił Matusowi wciągnąć się do środka. Obaj ukryli się w mroku, kamień zamknął się za nimi. A kiedy to się stało, usłyszeli trzask, dźwięk pękających i otwierających się drzwi. Kilkunastu mężczyzn wtargnęło do komnaty. Matus i Srog szli w głąb korytarza. Matus prowadził ich bezpiecznie. Srog kulał za nim nie wiedząc ile życia ma jeszcze przed sobą - wiedział natomiast, że Wyspy Górne i Krąg, nigdy nie będą już takie same.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY**

Gwendolyn siedziała w dawnym gabinecie ojca, przewijając kolejny stos zwojów, starając się dojść do ładu ze sprawami królestwa. Gwen uwielbiała spędzać czas w gabinecie ojca, czuła z nim tu więź. Jako mała dziewczynka spędziła tu niezliczoną ilość dni. Jego ciemne ściany wyłożone były starodawnymi, cennymi

księgami, które Król sprowadził z najdalszych zakątków królestwa, jakby chciał zapewnić jej towarzystwo. I rzeczywiście, kiedy odbudowywała Królewski Dwór, upewniła się, że ten gabinet będzie jego centralnym punktem i że zostanie przywrócona mu dawna świetność. Teraz był nawet piękniejszy, a Gwen bardzo chciałaby zobaczyć twarz ojca, po tym jak odnowiła komnatę. Wiedziała, że byłby zachwycony.

Gwen spojrzała na zwoje i próbowała powrócić do pracy związanej z królestwem, chciała, aby powróciło ono do normalności. Jednak zdawała sobie sprawę, że póki co nigdzie nie było normalnie. Ledwie umiała się skupić, była roztrzęsiona i ogarnięta żalem. Obrazy odlatującego Thora i martwej Selese co chwila pojawiały się jej przed oczami.

W końcu zwinęła zwoje. Potarła oczy i zaczęła masować skronie, wzdychając. Obraz zamazywał jej się przed oczyma od nadmiaru czytania. Sprawy Kręgu nigdy się nie kończyły i niezależnie od tego przez ile zwojów przebrnęła, zawsze pojawiały się nowe. Było już późno. Przez całą noc nie spała czuwając przy Guwaynie. Teraz, kiedy nie było Thora, czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. W ostatnim czasie w ogóle nie była w stanie myśleć, potrzebowała przerwy.

Gwen wstała zza ojcowskiego biurka i podążyła w

stronę wysokich, łukowatych drzwi, prowadzących na kamienny balkon. Był piękny słoneczny dzień. Gwen czuła się wspaniale wychodząc na zewnątrz. Odetchnęła głęboko wiejącą, delikatną bryzą. Spojrzała w dół na Królewski Dwór - wszyscy ludzie kręcili się tam radośnie. Powierzchniowo patrząc, wszystko wyglądało doskonale, ale w środku, Gwen drżała.

Spojrzała na ogromne sztandary powiewające delikatnie na wietrze. Rozkazała, aby uczcić śmierć Selese i opuścić je do połowy masztu. Pogrzeb wciąż siedział głęboko w umyśle Gwen - podobnie jak odwołanie jej ślubu. Była taka roztrzęsiona z powodu śmierci swojej nowej przyjaciółki. Dzień, który miał być radosny i do którego przygotowywała się przez wiele miesięcy, nagle zmienił się w dzień żalu. Zaczęła się zastanawiać czy kiedykolwiek w jej życiu, ktoś zostanie przy niej na stałe. Zastanawiała się też czy ona i Thor kiedykolwiek wezmą ślub. Część niej rozważała, że może powinni gdzieś uciec i wziąć ślub w samotności, w jakimś ustronnym miejscu, z dala od oczu tłumu. Nie chodziło jej o wielką pompę i oprawę ceremonii. Wszystko czego pragnęła to być jego żoną.

Gwen nie miała ochoty na świętowanie. Czuła się bardzo źle, czuła pustkę po tym co stało się Selese. A także z powodu żalu jej brata. Z powodu całego tego tragicznego nieporozumienia. Widziała, że Reece już

nigdy nie będzie taki sam i ta myśl ją przerażała. Jakaś część podpowiadała jej, że straciła brata. Była blisko z Reecem przez całe swoje życie, zawsze cieszyła się jego szczęściem, radością i beztróskim sposobem bycia - i nigdy nie widziała go tak szczęśliwego, jakim był z Selese.

Teraz zaś widziała w jego oczach, że już nigdy nie będzie taki sam. Winił się za to, co się stało.

Gwendolyn nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszyscy, na których jej zależało, byli jej odbierani jeden po drugim. Spojrzała w niebo i pomyślała o Thorze. Zastanawiała się gdzie mógł teraz być. Kiedy do niej wróci. Czy w ogóle wróci.

Całe szczęście, że miała chociaż Guwayne'a. Spędzała z nim praktycznie każdą godzinę, trzymając go blisko, ceniąc tak bardzo. Był największym darem jej życia. Zaczęła płakać bez powodu, czując jak kruche jest życie. Modliła się do każdego boga jakiego znała, aby nigdy nic złego mu się nie stało.

Po raz pierwszy od jakiegoś czasu Gwen poczuła się rozchwiana, bezbronna, niepewna tego co nastąpi. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy, całe jej życie kręciło się wokół ślubu, a teraz, bez ostrzeżenia, wszystko się zmieniło. Gwen nie mogła oprzeć się

wrażeniu, że tragedia z Selese to dopiero początek. Przeczowała, że zdarzą się okropne rzeczy.

Wzdrygnęła się kiedy usłyszała pukanie w drzwi gabinetu ojca. Dźwięk żelaznej kołatki sprawił, że wstrząs przeszedł przez jej ciało - obawiała się, że jej okropne myśli zaraz się potwierdzą.

Gwen odwróciła się i weszła z powrotem do gabinetu - jednak bez oczekiwania na jej zezwolenie, drzwi otwarły się szeroko. W pośpiechu weszli Aberthol, Steffen i kilku innych towarzyszy. Na ich twarzach widać było surowość i pośpiech. Aberthol trzymał w rękach zwój i spieszył z nim wprost do Królowej. Kiedy Gwen ich zobaczyła, pouczyła ukłucie w żołądku. Wiedziała, że o cokolwiek chodziło, musiało to być bardzo, bardzo poważne. Żaden z tych ludzi nie wtargnąłby tutaj bez uprzedniego zaproszenia, chyba że była to sprawa życia i śmierci.

- Pani, - powiedział z niecierpliwością w głosie Aberthol, stając w łuku z pozostałymi - wybac mi to najście, jednak przynoszę wieści absolutnie najwyższej wagi.

- Słucham zatem - powiedziała Gwen.

Aberthol przełknął ślinę. Trzęsącymi się rękami podał



jej zwój, a Gwen go odebrała.

- Wygląda na to, że najstarszy syn Tirusa, Falus, został zamordowany. Został znaleziony nad ranem na swoim statku. Wszystko też wskazuje na to, że zginął z rąk twojego brata - Reece'a.

Na dźwięk tych słów, Gwen poczuła jak krew mrozi jej się w żyłach. Chwyciła zwój i spojrzała na Aberthola. Nie musiała już go otwierać, nie chciała dowiedzieć się niczego więcej. Powoli dotarły do niej jego słowa. Podobnie jak i konsekwencje tych zdarzeń.

- Reece? - zapytała Gwen starając się to wszystko przetworzyć.

Aberthol skinął głową.

Powinna była się domyślić. Reece oszalał z żalu, był żądny zemsty. Jak głupia musiała być, że go nie powstrzymała.

W umyśle Gwen wirowały myśli o konsekwencjach. Najstarszy syn Tirusa nie żyje. Wiedziała, że jego synowie są uwielbiani przez ludzi z Wysp Górnych. Zrozumiała, że wieść prawdopodobnie już do nich dotarła. Kto mógł przypuszczać co się teraz stanie? Wiedziała, że na pewno nic dobrego - cokolwiek miało nadejść, na pewno zrujnuje to jej wysiłki złączenia

dwóch rodów MacGilów.

- Jest jeszcze coś, pani - powiedział Aberthol. -  
Otrzymaliśmy raporty, z których wynika, że na Wyspach  
Górnych wybuchło powstanie. Zniszczyli połowę twojej  
floty pani. A Tirus został uwolniony.

- Uwolniony?! - spytała przerażona Gwen.

Aberthol potwierdził.

- Jest jeszcze gorzej, pani. Napadli na zamek i Srog  
został poważnie zraniony. Jest teraz trzymany w niewoli.  
Przesłano nam informacje, że go zabiją i zniszczą  
pozostałą część floty jeśli nie zadośćuczynisz śmierci  
Falusa.

Serce Gwen waliło. To było jak jakiś koszmar.

- O jakie zadośćuczynienie chodzi? - spytała.

Aberthol oczyścił gardło.

- Chcą, aby Reece przybył na Wyspy Górne i osobiście  
przeprosił Tirusa za śmierć Falusa. Tylko wtedy  
wypuszczą Sroga i zawrą pokój.

Gwen mimowolnie walnęła pięścią w biurko ojca. Taki  
sam gest wykonywał jej ojciec kiedy był zdenerwowany.

Palila się we frustracji. Wszystkie jej starannie ułożone plany zostały zniweczone przez to, że jej brat pod wpływem impulsu dopuścił się morderstwa na Falusie. A teraz Srog, jej zaufany emisariusz, był ranny i pojmany. Połowa jej floty zniszczona. Była odpowiedzialna za tych ludzi - poczuła, że wstępuje w nią poczucie winy.

W tym samym czasie przypomniała sobie przepowiednię Argona o inwazji na Krąg i wiedziała, że nie może zrezygnować z Wysp Górnych. Potrzebowała miejsca schronienia i to bardziej niż kiedykolwiek. To co rozpętał Reece było najgorszą rzeczą jaka mogła się stać i w dodatku stało się to w najgorszym momencie.

Gwen nie mogła porzucić też Sroga. Ani floty. Musiała zrobić wszystko, cokolwiek było w jej mocy, aby im zadośćuczynić. Musiała utrzymać pokój w królestwie. Szczególnie, że jedyne czego żądali to przeprosiny.

- Chcę zobaczyć się z moim bratem - powiedziała twardo Gwen.

Aberthol skinął głową.

- Podejrzywałem, że będziesz chciała, pani. Czeka na zewnątrz.

- Każcie mu wejść - rozkazała. - I zostawcie nas samych.

Aberthol i pozostali skłonili się i pospiesznie opuścili gabinet.

Kiedy wychodzili, wszedł Reece. Sam. Miał przekrwione oczy, patrzył chłodno i twardo jakby oszalał z żalu. W żaden sposób nie przypominał brata, którego Gwendolyn znała przez całe życie.

- Zamknij za sobą drzwi - rozkazała Gwen głosem Królowej, nie siostry, tak chłodno i twardo, jak wyglądał Reece.

Reece wyciągnął rękę i zatrzasnął łukowate dębowe drzwi gabinetu ojca. Gwen podeszła do przodu, aby mógł ją powitać.

Gdy się do siebie zbliżali, Gwen, wściekła na Reece'a, który sprawił, że całe królestwo pograżyło się w chaosie, wyciągnęła rękę i mocno uderzyła go w twarz. To był pierwszy raz w jej życiu, kiedy zrobiła coś takiego. Dźwięk poniósł się echem po komnacie.

Reece spojrział na nią zdumiony.

- Jak śmiesz mi się przeciwstawiać! - powiedziała Gwen z furią w głosie.

Reece spojrział na nią, a jego zdumienie zmieniło się w złość. Policzki miał całe czerwone.

- Nigdy ci się nie sprzeciwiłem!

- Nie? - krzyknęła. - A czy sądzisz, że zabicie naszego kuzyna - członka królewskiej rodziny MacGilów, syna Tirusa, *de facto* jednego z przywódców Wysp Górnych - jest czymś co możesz sobie zrobić, kiedy będziesz miał na to ochotę, bez mojego rozkazu?

- Zasłużył na to - a nawet na więcej!

- Nie obchodzi mnie czy na to zasłużył! - wrzeszczała Gwendolyn, a jej twarz płonęła ze złości. - Muszę władać królestwem! Jest tu wielu ludzi, którzy każdego dnia zasługują na śmierć, ale jednak ich nie zabijam. Masz ten luksus - ja nie.

- A więc poświęcisz to co sprawiedliwe na rzecz polityki? - zapytał.

- Nie mów mi o sprawiedliwości - powiedziała Gwen. - Wielu naszych ludzi -dobrych ludzi - zginęło dzisiaj na Wyspach Górnych za sprawą twojego występku. Uważasz, że było to dla nich sprawiedliwe?

- W takim razie powinniśmy też zabić tych, którzy ich zabili.

Gwendolyn pokiwała głową, sfrustrowana, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- Może i jesteś dobrym wojownikiem, - powiedziała - ale nie masz pojęcia o tym, jak władać królestwem.

- Powinnaś być po mojej stronie - zaprotestował Reece.  
- Jesteś moją siostrą- Jestem *Królową* - poprawiła go Gwen.

Twarz Reece'a ogarnęło zdziwienie.

Stali i patrzyli na siebie w ciszy. Gwen oddychała ciężko, doskwierał jej brak snu, była przytłoczona sprzecznymi uczuciami.

- To co zrobiłeś, wpływa na kraj, wpływa na Krąg, wpływa na bezpieczeństwo nas wszystkich - kontynuowała. - Srog jest ranny. Jego życie jest teraz zagrożone. Połowa mojej floty została zniszczona. Oznacza to, że setki naszych ludzi zginęło. A wszystko to z powodu twojego pochopnego zachowania.

Reece również poczerwieniał.

- To nie ja zacząłem tę wojnę - powiedział. - *Oni* to zrobili. Stało się to za sprawą Falusa. To on mnie zdradził. Zdradził nas wszystkich.

- Zdradziłeś się *sam* - poprawiła go Gwen. - Falus jej nie zamordował. Ledwie przyniósł jej wiadomość. Wiadomość, która częściowo była prawdą, opartą na

twoich działaniach. Okazał się dwulicowy i zasługiwał na karę, a może nawet na śmierć, ale musisz uznać w tym wszystkim swoją rolę. I musisz zrozumieć, że nie możesz sam wymierzać sprawiedliwości - a już na pewno nie bez wcześniejszego uzgodnienia tego ze mną.

Gwendolyn odwróciła się i przebiegła przez pokój. Musiała oczyścić umysł.

Podeszła do biurka ojca, pochyliła się nad nim i rzuciła wszystkie leżące na nim książki. Z wielkim hukiem wysłała je na podłogę. W powietrzu uniosły się tabuny kurzu. Wrzasnęła we frustracji.

Nastąpiła napięta cisza. Reece nie ruszał się, obserwując jedynie Gwen. Ta zaś westchnęła i podeszła do okna, spojrzała na zewnątrz, wzięła głęboki oddech starając się pozostać spokojną. Część niej wiedziała, że Reece ma rację. Ona również nienawidziła MacGilów. I kochała Selese. Tak naprawdę część niej, podziwiała jej brata za to co zrobił. Cieszyła się, że Falus nie żyje.

Jednak była Królową. To czego chciała i kogo podziwiała nie miało żadnego znaczenia. Musiała liczyć się z życiem wielu.

- Nie rozumiem cię - ostatecznie przerwał ciszę Reece. - Kochałaś Selese tak samo jak ja. Czy nigdy nie

pragnęłaś zemścić się za jej śmierć?

- Kochałam ją jako przyjaciółka - odpowiedziała Gwen, była już spokojniejsza - i jako szwagierka.

Westchnęła.

- Jednak jako Królowa muszę ważyć zemstę i sprawiedliwość. Nie zabiję jednego człowieka po to, aby zginęły ich setki. Podobnie jak nie mogę pozwolić tobie tego zrobić - niezależnie czy jesteś moim bratem, czy też nie.

Stała, pochyliła się, schyliła głowę, w której roiło się od myśli.

- Postawiłeś mnie w beznadziejnej sytuacji - powiedziała. - Nie mogę pozwolić, aby Srog zginął - czy ktokolwiek inny z moich ludzi. Co więcej, pozostała część mojej floty również jest cenna i nie mogę porzucić Wysp Górnych, których potrzebuję teraz bardziej niż kiedykolwiek, z powodów, o których nie masz pojęcia.

Znów westchnęła, zastanawiając się nad tym wszystkim.

- Nie mam innego wyjścia - powiedziała, odwracając się do swojego brata. - Pojedziesz na Wyspy Górne i przeprosisz Tirusa.



Reece dyszał ze złości.

- NIGDY tego nie zrobię - wrzasnął.

Gwen zrobiła się harda.

- ALEŻ ZROBISZ! - krzyknęła na niego dwa razy głośniej. Jej twarz była cała czerwona. Był to wrzask, który przestraszył nawet ją samą. Głos twardej Królowej, silnej kobiety. Był to głos jej ojca, który przez nią przemawiał.

Jednak przez Reece'a, jej brata, również przemawiał głos ojca. Stali naprzeciwko siebie w gabinecie, mierząc się wzajemnie z siłą własnych rodziców. Każde z nich było równie pewne swoich racji.

- Jeśli tego nie zrobisz, - powiedziała - każę cię aresztować za twoje bezprawne czyny.

Reece spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Aresztować mnie? Twojego brata? Za dążenie do sprawiedliwości?

Patrzył się na nią wzrokiem, który sprawiał jej ból, wzrokiem, który stwierdzał, że go zdradziła.

- Jesteś moim bratem, - powiedziała - ale przede

wszystkim jesteś moim poddanym. Zrobisz, co każę.  
Zejdź mi z oczu. I nie wracaj dopóki go nie przeprosisz.

Reece otworzył usta ze zdumieniem. Ból i cierpienie wyryły się na jego twarzy. Patrzył na nią bez słowa. Chciałaby móc okazać mu współczucie, jednak miała go zbyt mało, by rozdawać je wokoło.

Powoli Reece odwrócił się, podszedł do drzwi jakby w transie, otworzył i zamknął je za sobą.

Gwen stała tam wśród świdrującej ciszy, marząc, aby być gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. Marząc, aby być kimkolwiek innym, tylko nie Królową.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Erec galopował na swoim pięknym białym rumaku, za jego plecami siedziała Alistair, która obejmowała go rękami w pasie. Nigdy nie był tak szczęśliwy jak w tej chwili. Oto udawał się na południe, do swojej ojczyzny, z Alistair u swojego boku. W końcu, po tych wszystkich latach, powróci do własnego kraju i znów spotka się z rodziną. Erec nie chciał zwlekać z przedstawieniem ukochanej swojej rodzinie, swoim ludziom i z tym, aby ją poślubić. Spotkanie Alistair było najlepszą rzeczą jaka zdarzyła mu się w życiu i nie mógł wyobrazić

sobie, że mógłby się z nią rozstać, choćby na minutę. Był przeszcześnieśliwy, że zdecydowała się z nim pojechać.

Kiedy jechali tak na południe, a robili to od kilku dni, Erec zaczynał wyczuwać, że powietrze staje się coraz bardziej wilgotne, czuł zapach oceanu i wiedział, że zbliżają się do południowego wybrzeża. Jego serce biło teraz szybciej. Wiedział, że zaraz za zakrętem pojawiają się klify, ocean i statek, który czeka na to, aby zabrać go do ojczyzny. Nie było go tam od czasów dzieciństwa, więc przepęłniała go teraz ekscytacja. Bardzo tęsknił za swoją rodziną. Przede wszystkim zaś, cierpiał z powodu zbliżającej się śmierci ojca. Miał nadzieję, że dotrą tam na czas.

Kiedy tak jechał, Erec miał mieszane uczucia co do Kręgu. W końcu Krąg stał się jego domem. Został tu przywieziony jako młody chłopiec i wychowany na najwspanialszego rycerza w królestwie, a Król MacGil był dla niego niczym drugi ojciec. Został zabrany i wychowany w Królewskim Dworze jakby był to jego własny dom. Został wychowany w poczuciu przynależności do Srebrnych - nawet teraz Erec słyszał za sobą szcęk ich ostróg - kilkunastu rycerzy towarzyszyło mu w dowód swojego szacunku. Byli dla niego prawdziwymi braćmi. W jakimś stopniu czuł się winny, że ich opuszcza, że przestaje chronić Krąg.

Jednak z drugiej strony, Erec wiedział, że zostawia Krąg w dobrych rękach - Kendrick i wielu innych pozostali wszak, aby go chronić. Wiedział też, że Krąg był silniejszy niż kiedykolwiek. Wiele fortów i zamków zostało odbudowanych, Kanion jest zabezpieczony, Tarcza podniesiona, mosty i warownie wzmocnione. A przede wszystkim - Ralibar ma na to wszystko baczenie. Odejście stąd było bolesne, ale przynajmniej Erec mógł mieć pewność, że Krąg był nie do zdobycia - więc był to naprawdę najlepszy czas na to, aby wrócić do swej ojczyzny, do swego umierającego ojca i na to, aby złożyć Alistair przysięgę małżeńską na oczach swoich ludzi.

Wreszcie wspięli się na grzbiet i przystanęli, aby spojrzeć na rozpościerający się przed nimi widok. Erec rozejrzał się i zobaczył wielkie, spienione fale Oceanu Południowego. Spojrzał wprost w dół i zobaczył, daleko w dole, ogromne chmury piany rozpryskujące się w powietrzu. Powstawały kiedy fale zderzały się z wybrzeżem. Ocean Południowy.

Erec przyjrzał się brzegowi, spodziewając się ujrzeć tam ogromny statek z wysokimi masztami i białymi żaglami, który czeka tu na niego i wkrótce zabierze go do domu.

Jednak kiedy wszyscy rycerze zatrzymali się za nim,

Erec patrzył w dół z zakłopotaniem.

Na brzegu nie było statku.

Erec, zdumiony, jeszcze raz przeanalizował wybrzeże na całej długości.

- To nie może być prawda - powiedział sam do siebie.

- Co się stało Panie? - zapytał jeden z rycerzy.

- Chodzi o nasz statek - odpowiedział. - Nie ma go tutaj.

Erec siedział na swoim koniu i zastanawiał się cóż takiego mogło się stać, jak mogło do tego dojść. Nie było innej drogi do domu. Czy powinni zawrócić?

Wiedział, że istnieje tylko jeden sposób, aby się wszystkiego dowiedzieć - musieli zjechać na dół i sami sprawdzić.

Erec spiął konia i wraz z innymi pogalopowali w dół klifu krętymi ścieżkami wydrążonymi w skale. Jechali w koło, aż wreszcie dotarli na brzeg.

Jechali po piasku aż do granicy wody, a Erec rozglądał się w prawo i w lewo, szukając jakiegokolwiek znaku żeglarzy. W pewnej odległości po lewej stronie dostrzegł jakiś statek. Widział jednak, że ma inny kolor

żagli, były czarno-zielone - zupełnie ich nie rozpoznawał. Na pewno nie były to jego barwy.

- Nie rozumiem - powiedział Erec. - Był to statek, który przysłał mój ojciec. Powinni tu na nas czekać. Nie rozumiem cóż mogło się stać.

- Odpłynęli! - krzyknął jakiś głos.

Erec odwrócił się i zobaczył wielkiego mężczyznę z szerokim podbródkiem i łysiną na głowie - wyglądał, jakby kiedyś był wojownikiem, jednak teraz czasy jego świetności minęły. Wyszedł zza klifu, otoczony kilkoma mężczyznami w zniszczonych ubraniach. Byli żeglarzami i zmierzali wprost w stronę Erec'a.

- Odpłynęli trzy dni temu! - głośno powiedział mężczyzna kiedy podszedł bliżej. -Czekali, ale chyba doszli do wniosku, że nie macie zamiaru dotrzeć. Odpłynęli tam, skądkolwiek przypłynęli. Najwyraźniej spóźniliście się.

- Bo obraliśmy inną drogę - powiedział jeden z rycerzy Erec'a. - Tam na rozwidleniu.

Erek pokręcił głową,

- Mamy tylko trzy dni spóźnienia - powiedział. - Powinni byli poczekać.

- Inna grupa przyjechała wczoraj - powiedział mężczyzna. - Zapłacili więcej. Mieli klienta, więc skorzystali z okazji.

Erec poczerwieniał ze złości.

- Dali mojemu ojcu swoje słowo. Czy honor dla nikogo już nic nie znaczy? - zapytał na głos sam siebie.

- Dokąd chcecie płynąć? - zapytał mężczyzna, podchodząc bliżej i paląc fajkę. - To jest mój statek - dodał, wskazując na statek zacumowany na brzegu. - Może ja będę mógł was tam zabrać.

Erec zmierzył podejrzliwie mężczyznę od góry do dołu. Nie był co do niego przekonany. Następnie spojrzął na statek. Zdecydowanie minęły już lata jego świetności. Wyglądał na brudny, zużyty i nawet stąd było widać, że załogę stanowią jakieś prymitywne typy.

- Odpływam na Wyspy Południowe - powiedział Erec. - Do mojej ojczyzny, mój ojciec, Król, oczekuje na nas.

- Zabiorę was tam za odpowiednią opłatą - powiedział mężczyzna.

- Za odpowiednią opłatą? - powiedział jeden z rycerzy Erec'a, podchodząc bliżej na swoim koniu. - Czy ty wiesz z kim rozmawiasz? To jest Erec, mistrz Srebrnych.

Powinieneś odzywać się do niego z większym szacunkiem.

Mężczyzna spojrział na niego bez wyrazu, niewzruszony, spokojnie pykając swoją fajkę.

- Srebrny czy nie, każdy ma swoją cenę - powiedział spokojnie mężczyzna. - Ja tu robię interesy. A na rycerskości niczego nie zarobię.

Erec spoglądał na statek i zastanawiał się. Westchnął, wiedząc, że nie ma zbyt wielu opcji. Musiał spotkać się z umierającym ojcem.

- Pieniądze to nie problem - powiedział Erec. - Zależy mi za to na tym, aby twój statek był bezpieczny. Nie narażę życia mojej żony na przeciekającej łajbie.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i spojrział na Alistair w sposób, który bardzo nie spodobał się Erecowi.

- Mój statek jest najbezpieczniejszy na całym morzu. Nie pozwól, aby zwiódł cię jego wygląd. Jeden worek złota i podróż należy do ciebie. Jeśli nie - powiedział unosząc swą czapkę - interesy z tobą to sama przyjemność.

- Cały worek! - krzyknął jeden z rycerzy Ereca. - To jest rozbój w biały dzień!



Erec jeszcze raz przyjrzał się dokładnie mężczyźnie i mocno się zastanowił. Nie podobał mu się ten pomysł, ale wydawało się, że nie ma innej możliwości. Musi spotkać się z ojcem, zanim ten umrze.

Erec sięgnął do swojego pasa, chwycił worek złota i rzucił go mężczyźnie. Worek walnął go w klatkę piersiową, a ten go chwycił, otworzył i uśmiechnął się szeroko.

- Jest tam tyle, ile sobie zażyczyłeś, a nawet więcej - powiedział Erec. - Zawieź nas szybko. I bezpiecznie.

Mężczyzna uklonił się nisko, szeroko się przy tym uśmiechając.

Erec odwrócił się, zszedł z konia i pomógł zejść Alistair. Następnie podszedł do swoich braci i objął ich.

- Brońcie Kręgu - powiedział.

Ci odwzajemnili jego uścisk.

- Już wkrótce się zobaczymy, panie - odpowiedzieli.

- Tak, zobaczymy się.

Erec wziął Alistair za rękę i oboje udali się w dół wybrzeża, podążając za grupą zapuszczonych mężczyzn.

Głęboko w środku Erec wiedział, że coś jest nie tak, ale nie wiedział co. Kiedy szedł w stronę statku, delikatnie chwycił dłoń Alistair, odwrócił się i spojrział w tył. Zobaczył, że jego mężczyźni już odjechali. Spojrział w górę na ogromny statek, który się przed nim znajdował i zaczął zastanawiać się czy nie popełnił właśnie największego błędu w swoim życiu.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY**

Luanda zanurzyła się w jednym z zimnych źródeł. Była sama, wysoko w górach Pogórza. Był to jej codzienny nawyk. Wchodziła do zimnej wody, aż po same włosy, które całkowicie jej odrosły, a dotyk lodowatej wody na głowie sprawiał, że czuła, że żyje, że się przebudziła. Przypominało jej to, gdzie się znajduje. Nie była w domu, zamieszkiwała na obcej ziemi. Po złej stronie Pogórza. Na wygnaniu. Już nigdy nie wróci do domu. Zimna woda przypominała jej o tym każdego ranka i w pewien sposób zaczynało jej się to podobać. Był to jej sposób na to, aby przypomnieć sobie czym stało się jej życie.

Tutaj na górze, przy górskich źródłach było dość pusto. Miejsce położone było wśród gęstych letnich lasów i spowite poranną mgłą. I chociaż nienawidziła

wszystkiego po tej stronie Pogórza, Luanda musiała przyznać, że tutaj zaczynało jej się podobać, w tym miejscu, o którym nie wiedział nikt, oprócz niej. Odkryła je przez przypadek, podczas jednej ze swoich długich, górskich wędrówek. I od tamtego czasu przychodziła tutaj codziennie.

Kiedy Luanda powoli wynurzyła się z wody, osuszyła swoje ciało cienkim wełnianym ręcznikiem, który ze sobą przyniosła. A następnie, jak co rano, wzięła długą gałąź ziół, którą dał jej aptekarz i oddała na nią moc. Położyła zioła na skale w promieniach słonecznych obok wody i czekała. Uważnie obserwowała ich zielony kolor - robiła tak każdego dnia od wielu miesięcy. Czekając, mając nadzieję, że ich kolor zmieni się na biały. Jeśli tak się stanie, powiedział aptekarz, będzie to oznaczało, że jest brzemienna.

Każdego ranka Luanda stała tam, osuszała się i obserwowała długie, obłe liście - i każdego ranka była zawiedziona. W zasadzie porzuciła już nadzieję, teraz było to już tylko zwykłe przyzwyczajenie.

Luanda zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie nigdy nie zajdzie w ciążę. Jej siostra przebiła ją również w tej sprawie. Życie było dla niej okrutne także w tej kwestii, podobnie jak w każdej innej.

Luanda pochyliła się nad wodą i patrzyła na swoje odbicie. Idealnie płaska tafla wody odbijała słoneczne niebo, chmury, dwa słońca i Luandę zastanawiającą się nad meandrami życia, z którymi musiała sobie dotychczas radzić. Czy ktokolwiek w życiu kiedykolwiek ją naprawdę kochał? Nie była już tego pewna. Wiedziała, że kocha Bronsona i że on również ją kocha. Teoretycznie to powinno im wystarczyć - niezależnie czy mieli dziecko, czy też nie.

Luanda zebrała swoje rzeczy i przygotowywała się do odejścia, po chwili refleksji rzuciła jeszcze okiem na leżącą na skale gałąź.

Kiedy to zrobiła, zmroziło ją i wstrzymała oddech.

Nie mogła w to uwierzyć: tam, w słońcu, gałąź zabarwiła się na białe.

Luanda zaczęła ciężko oddychać. Podniosła rękę do ust, bojąc się podejść do gałęzi. Podniosła ją trzęsącymi się rękami, zbadała ją w każdy możliwy sposób. Była biała. Śnieżnobiała. Taka, jak nigdy wcześniej.

Luanda, jak gdyby nie ona, zaczęła płakać. Zalała się łzami, owładnięta emocjami. Chwyciła się za brzuch i poczuła się jak nowo narodzona. Poczuła, że ogarnia ją radość i szczęście. Wreszcie życie odmieniło się na jej

korzyść. Wreszcie będzie miała wszystko, co ma Gwendolyn.

Odwróciła się i pobiegła ze źródeł przez las, z powrotem w dół grzbietu. Z daleka widziała już fort, w którym znajdował się jej mąż. Biegła najszybciej jak tylko potrafiła, a łzy ciekły jej po policzkach, łzy szczęścia. Nie umiała się doczekać, aby przekazać mu wieści. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów była szczęśliwa.

Była naprawdę szczęśliwa.

\*

Luanda wpadła do hali zamkowej, przebiegła obok straży, dotarła na kamienne schody i spieszyła w górę przeskakując trzy stopnie na raz. Biegła do utraty tchu, musiała spotkać się z Bronsonem. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy jego reakcję. On, Bronson, mężczyzna, którego kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie, naprawdę mocno pragnął tego dziecka.

Wreszcie ich marzenia się spełnią. Wreszcie będą rodziną. Założą własną rodzinę.

Luanda gnała korytarzem i przebiegła przez wysokie łukowate drzwi, nie zauważając nawet, że nie było przy nich straży. Drzwi były otwarte, niestrzeżone przez

nikogo - inaczej niż zwykle. Wpadła do pokoju i natychmiast się zatrzymała.

Zdziwiła się. Coś było nie tak.

Świat zaczął poruszać się w zwolnionym tempie, kiedy rozejrzała się po pokoju, na zimnej kamiennej podłodze, obok drzwi, dostrzegła dwa ciała. Byli to strażnicy Bronsona. Obaj martwi.

Zanim zdążyła pojąć okrucieństwo tej sytuacji, zobaczyła, że po drugiej stronie sali leży kolejne ciało. Natychmiast rozpoznała jego ubrania: Bronson. Leżał sztywny na plecach. Nie ruszał się. Jego oczy były szeroko otwarte i gapiły się w sufit.

Luanda poczuła, jak jej ciało zaczyna się gwałtownie trząść, tak, jakby ktoś przeciął ją na pół. Kolana się pod nią ugięły i upadła na podłogę, lądując wprost na ciele jej męża.

Chwyciła zimne dłonie Bronsona i spojrzała na jego siną twarz. Miał rany na całym ciele. Powoli, ale stanowczo, wszystko do niej dotarło.

Jej mąż. Jedyna osoba na świecie, którą wciąż kochała. Ojciec jej dziecka. Martwy.

Zamordowany.

- NIE! - jęknęła Luanda. Potrząsała Bronsonem jakby to mogło przywrócić go do życia. Cały czas płakała, ścisnęła go, jej ciało całe się trzęsło - płakała w konwulsjach.

Luanda miała potrzebę, aby kogoś, coś, za to obwinić. Oczywiście zrobili to na pewno McCloudowie. Ci których chciała zamordować. Gdyby tylko Bronson jej posłuchał, gdyby tylko nie puścił ich wolno.

Ale to jej nie wystarczało. Musiała obwinić też kogoś innego. Kogoś kto stał za tym wszystkim.

Na myśl przyszła jej tylko jedna osoba: jej siostra.

Gwendolyn.

To była jej wina. Jej polityka, jej głupia naiwność. Wszystko to doprowadziło do śmierci męża Luandy. Gwen wszystko zniszczyła. Nie tylko odebrała Luandzie jej życie, ale też odebrała życie jedynej osobie, którą kochała.

Luanda wrzasnęła. Ogarnęła ją wściekłość, była zdecydowana. Teraz, kiedy Bronson nie żyje, nie pozostało jej nic na świecie. Jedyne co mogła zrobić to sprawić, aby wszyscy inni cierpieli równie mocno jak ona. W końcu cierpiała przez nich.

Zrobi to.

Luanda wstała z sercem zimnym i twardym. Odwróciła się i ruszyła wzdłuż korytarza, jej serce przyspieszyło. Miała plan. Coś, co zniszczy Gwendolyn raz na zawsze.

Przyszedł najwyższy czas, by wcielić go w życie.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY**

Kendrick, zdruzgotany od czasu swojego spotkania z matką, starał się oczyścić umysł i ułożyć myśli w tym świętym dniu. Szedł powoli na szczyt, podążając płaską ścieżką, otaczającą górę szerokimi kręgami. Wspinał się wraz z setkami Srebrnych i żołnierzy na świętą górę, każdy trzymał w ręku kamień. Nadszedł Dzień Pielgrzyna, jeden z najbardziej uroczystych dni w roku. Jak co roku, Kendrick podążał w to miejsce otoczony swoimi towarzyszami broni. Ranek spędzali zanurzając się w rzece, wybierając najpiękniejsze kamienie, a popołudniem udawali się na wycieczkę na górę. Szli powoli, okrążając ją i pnąc się w ten sposób coraz wyżej i wyżej.

Po dotarciu na szczyt, zgodnie z tradycją należało położyć kamień, uklęknąć i pomodlić się. Oczyścić się z grzechów minionego roku i przygotować się na rok



nadchodzący. Był to dzień święty dla wszystkich broniących królestwa. Uznano, że szczególnie pomyślne jest dla rycerza, kiedy w podróży towarzyszy mu kobieta, którą kocha. Kendrick poprosił Sandrę, a ta zgodziła się, aby iść z nim. Szła teraz u jego boku, zatopiona w ciszy.

Pomimo tego, że starał się jak mógł, Kendrickowi trudno było pozbyć się myśli dotyczących jego spotkania z matką. Pomimo tego, że od czasu kiedy ją zobaczył, przebył już setki mil, wciąż ta sprawa ciążyła mu na sercu. Żałował teraz, że udało mu się ją odnaleźć. Zamiast tego wolałby już przez całe życie zastanawiać się kim jest, żyć fantazjami na jej temat. Czasem, zrozumiał, fantazje są cenniejsze niż rzeczywistość. Fantazja może podtrzymać cię na duchu, podczas gdy rzeczywistość może cię całkowicie zmiażdżyć.

- Wszystko w porządku, panie? - zapytała Sandra.

Kendrick odwrócił się i spojrzał na nią, wybiła go z zamyślenia. Jak zwykle jej widok uwalniał jego obawy. Kochał Sandrę ponad wszystko. Była taka piękna, wysoka, z szerokimi ramionami, ciemną skórą, ciemnymi oczyma. Jako przedstawicielka rasy imperialnej była tak egzotyczna, tak inna niż wszyscy, których znał. Chwytał ją za rękę.

- Nic mi nie będzie - powiedział.

- Myślę, panie, że cały czas jesteś smutny, od momentu twojego spotkania z matką - powiedziała.

Kendrick ugryzł się w język. Wiedział, że ma rację, ale nie był gotowy z nią o tym porozmawiać.

Sandra westchnęła.

- Moja matka była zimną, okrutną i bezlitosną kobietą - powiedziała. - Nienawidziła mnie. Mój ojciec był wspaniałym wojownikiem, miłym dla każdego. Nie jestem okrutna czy złośliwa niczym moja matka. Zdecydowałam się przejąć cechy mojego ojca.

Spojrzał na nią i zauważył, że intensywnie na niego patrzy.

- Nie rozumiesz? - zapytała. - To kim była twoja matka, czy ojciec, nie wpływa na ciebie. Szukasz rodziców w sobie. Ale jesteś osobną jednostką. Aby zrozumieć kim jesteś, musisz patrzeć w siebie. Bądź osobą, którą *zdecydujesz się* być. Sam możesz wybrać kim jesteś, możesz kształtować się każdego dnia.

Kendrick myślał o jej słowach kiedy zmierzali na szczyt okrążając górę i zrozumiał, że posiada ona wielką mądrość. Trudno było to zrobić, ale powinien odpuścić

ciągłe myślenie o swoich rodzicach. Musiał odkryć kim jest, sam w sobie.

Kendrick poczuł się lepiej. Odwrócił się i zaczął się jej przyglądać.

- Moi rodzice nigdy nie wzięli ślubu - powiedział. - Nie spędzili ze sobą życia. Ja zaś nie chcę spędzić swojego życia samotnie. Chciałbym wziąć ślub. Mieć dzieci, które będą mnie znały. Dzieci, które będą prawowite, Sandro - powiedział Kendrick odchrząkując. - Chciałbym ożenić się z tobą. Wiem, że już cię o to pytałem, ale bardzo chciałbym, abyś poważnie o tym pomyślała. Proszę.

Sandra spojrzała na ziemię, a do jej oczu napłynęły łzy.

- Kocham cię panie, - odpowiedziała - naprawdę kocham. Jednak mój dom jest daleko stąd. Gdyby nie ocean, który leży pomiędzy nami, tak, wtedy wzięłabym z tobą ślub. Ale muszę wrócić do domu. Do moich ludzi. Do Imperium. Do tych, których znam i kocham.

- Ale cię tam teraz nie ma - powiedział Kendrick. - Jesteś teraz tutaj. A twoja rodzina jest tam zniewolona.

Sandra wzruszyła ramionami.

- To prawda. Ale wolałabym być niewolnicą we

własnym domu niż wolnym człowiekiem z dala od moich ludzi.

Kendrick nie rozumiał tego za bardzo, ale wiedział, że musi uszanować jej wolę.

- Przynajmniej jestem z tobą teraz, mój panie - powiedziała. - Nie odjadę jeszcze przez parę dni.

Kendrick mocniej uściśnął rękę Sandry. Zastanawiał się dlaczego wszystkie kobiety, na jakich mu w życiu zależało, musiały go opuścić. Wiedział, że powinien po prostu cieszyć się z czasu jaki może z nią teraz spędzić. Jednak myśl o jej wyjeździe sprawiała, że było to bardzo trudne.

Szli, w ciszy, z setkami innych, aż w końcu dotarli na szczyt góry. Panowała tu solenna atmosfera - w powietrzu unosiło się uczucie świętości. Nagle Kendrick poczuł spokój.

Kendrick ukląkł na trawie szerokiego płaskowyzu i wraz z innymi rycerzami, umieścił swój kamień na rosnącej stercie. Kiedy to robił, pochylił nisko głowę.

Boże, proszę - *modlił się w milczeniu* - nie zabieraj mi tej pięknej kobiety. Pozwól nam być ze sobą. Znaleźć jakiś sposób. Nie chcę się z nią rozstawać.

Kendrick otworzył oczy i powoli wstał, zaskoczony tym o co się pomodlił. Nie planował tego. Zazwyczaj na nadchodzący rok życzył sobie siły do walki z wrogami, odwagi i męstwa. Jednak nagle w jego głowie pojawiła się inna modlitwa, od wypowiedzenia której nie chciał się powstrzymać.

Odwrócił się do Sandry, a ona uśmiechnęła się do niego.

- Modliłam się o ciebie, panie, - powiedziała - abyś odnalazł mądrość i spokój.

Kendrick również się do niej uśmiechnął.

- Moja modlitwa też była bardzo wyjątkowa.

Kiedy Kendrick spojrział Sandrze przez ramię, zobaczył na horyzoncie ruch i nagle mina mu zrzędła. Był całkowicie zaskoczony tym co ujrzał. To nie miało żadnego sensu.

Kendrick popchnął Sandrę na bok i przyglądał się linii horyzontu profesjonalnym okiem wojownika. A kiedy to czynił, serce w jego piersi zaczęło bić coraz szybciej.

To nie mogła być prawda. Na horyzoncie pojawiła się chmura kurzu, czarny dym i tysiące wojowników w zbrojach, jadących, kierujących się drogą prosto w

stronę niestrzeżonego Królewskiego Dworu. To był jedyny dzień w roku, Dzień Pielgrzyma, kiedy bramy pozostawały otwarte. Oczywiście Kendrick nigdy by nie podejrzewał, że miasto potrzebuje dziś ochrony. Któż do diaska mógł atakować ich w momencie kiedy w Kręgu było tak bezpiecznie?

Kiedy Kendrick przyjrzał się bliżej, jego twarz poczerwieniała z wściekłości -rozpoznał zbroje McCloudów. Kipiał ze złości, wściekł na siebie, że nie zabezpieczył lepiej dworu. Był teraz dobre pół dnia drogi od zamku, a McCloudowie byli już bardzo blisko, za blisko, praktycznie dojeżdżali do bram.

W tej chwili Kendrick zdał sobie sprawę z tego, że jego siostra pozostała bez ochrony i zostanie zabita.

Wydał z siebie wielki okrzyk wojenny. Wszyscy mężczyźni odwrócili się i zobaczyli to samo co on. Natychmiast podążyli za nim, kiedy ten w pośpiechu zbiegał z góry. Biegł jak najszybciej, aby czym prędzej dotrzeć do swego konia. Chciał wziąć udział w tej bitwie - miał jednak przeczucie, że niestety było już za późno.

Już za chwilę, wszystkich zna i kocha, będą zupełnie martwi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Godfrey galopował w dół niekończącej się drogi, pędził tak całą noc, sam, oddychając ciężko, spoglądając co chwila przez ramię, czy nie ma gdzieś armii McCloudów. Dostrzegał ich przez całą drogę, jako że wznosili na horyzoncie ogromną chmurę pyłu. Byli nie dalej niż jakieś pół godziny drogi za nim. Godfrey przełknął ślinę i spał konia jeszcze mocniej.

Wiedział, że podczas tego biegu nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek błędy. Był bardziej wyczerpany niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Wytrzeźwiał już całkowicie i czuł się jakby w każdej chwili mógł opaść z sił. Pocił się, mało powiedziane, pot wpadał mu do oczu, kłując go niemiłosiernie. Miał teraz przed sobą grzbiet i modlił się do wszystkich bogów jakich znał o to, aby po dotarciu do niego, jego oczom ukazał się Królewski Dwór.

Jego modły zostały wysłuchane. W końcu jest w zasięgu, Godfrey poczuł ulgę widząc odbudowane bramy Królewskiego Dworu. Tak jak podejrzewał - były szeroko otwarte, a straż trzymała zaledwie garstka żołnierzy. Oczywiście, że tak. Przecież był Dzień Pielgrzyma i setki żołnierzy, którzy zazwyczaj stoją na straży, było teraz daleko stąd, na szczycie góry. Wiadomo było, że nie wrócą aż do wieczora. Godfrey

wiedział jednak, że do tego czasu będzie już za późno. Wszyscy zostaną zabici, a całe miasto splądrowane.

Godfrey kopnął konia wraz z przypływem świeżej determinacji. Gnał na złamanie karku. Ledwie potrafił oddychać, serce waliło mu w piersi.

Zbliżał się do bram miasta. Stało przed nimi kilku żołnierzy, młodych, nowicjuszy. Gapili się na niego ze zdziwieniem i niczego nie rozumieli.

- ZABARYKADUJCIE BRAMY! - krzyczał Godfrey.

- Co?! - wrzasnął do niego jeden z nich.

Żołnierze spojrzeli po sobie, zdezorientowani, podejrzewając, że Godfrey jest szalony. No właśnie, Godfrey zdał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie wygląda jak wariat. Zdecydowanie wyglądał niechlujnie - pocił się, był nieogolony, miał kaca, włosy wpadały mu do oczu i jechał bez przerwy przez całą noc.

Godfrey poczerwieniał.

- NADCHODZI ARMIA! - krzyczał. - ZAMKNIJCIE TE CHOLERNE BRAMY, ALBO SAM WAS POZABIJAM!

Żołnierze spojrzeli wreszcie za Godfreya, patrząc na linię horyzontu. Początkowo byli nieufni i stali bez



wyrazu.

Ale po chwili Godfrey zauważył jak ich oczy szeroko otwierają się w panice -zapewne McCloudowie wyłonili się zza wzgórze.

Żołnierze gorączkowo zaczęli opuszczać bramę.

- ZADMIJ W RÓG! - krzyknął Godfrey, kiedy przejechał przez otwarte bramy, zaraz przed tym jak mężczyźni je opuścili.

Dźwięki rogów wypełniły całe miasto, odbijając się od siebie wzajemnie. Rozbrzmiewały one trójkami, był to sygnał ewakuacji miasta, sygnał, którego Godfrey nie słyszał nigdy w całym swoim życiu.

Tysiące cywili wyłoniło się nagle ze swoich domów. Byli dobre zorganizowani i przygotowani. Spieszyli przez ulice miasta. W zorganizowanych grupach kierowali się drogą ewakuacyjną na tyły miasta. Gwendolyn pomyślała o wszystkim i dobrze przygotowała swoich ludzi. Godfrey ucieszył się, widząc, że wszystko to działa w należyty sposób. Miał dziwne uczucie, uczucie, którego nie znał: było to poczucie celu. Poczucie, że do czegoś się przyczynił, że jego czyny sprawiły jakąś różnicę. Czuł się nieustraszony. Czuł się chciany i potrzebny.

Poczucie odpowiedzialności. Było mu to obce. I bardzo mu się podobało.

Godfrey, ośmielony, udał się prosto do zamku, w którym, jak wiedział, znajdowała się jego siostra. Słudzy otwierali przed nim drzwi, rozpoznając w nim brata Królowej.

Nie miał czasu zsiąść z konia, galopował więc pod samo wejście do wielkiej sali i jeszcze przez cały korytarz, aż dotarł do schodów.

Zeskoczył z konia, przewracając się na ziemię. Złapał powietrze i podbiegł do schodów. Przeskakiwał po trzy, cztery stopnie na raz, chwiejąc się przy tym.

Wreszcie dotarł na górne piętro. Biegł przez korytarz i dotarł do starych drzwi prowadzących do królewskiej komnaty narad, do pomieszczenia, w którym jego ojciec obradował ze swoimi doradcami.

Nie zatrzymał się nawet wtedy, gdy strażę próbowały zablokować mu drogę. Podbiegł do nich nastawiając bark, odepchnął ich z drogi i uderzył ramieniem z całej siły w drzwi - otworzyły się z trzaskiem.

Godfrey wpadł do pomieszczenia, zaskakując wszystkich. Jego siostra wstała z tronu, trzymając Guwayne'a. Wstały również dziesiątki członków rady.

Wszyscy patrzyli na niego w szoku. Najwyraźniej przeszkodził w ważnym spotkaniu.

- Godfrey - powiedziała Gwendolyn. - Dlaczego tu jesteś? Co oznaczają te- Ewakuuj się natychmiast! - Godfrey dyszał, ledwie potrafiąc złapać dech. - Nie słyszałaś rogów? Zaatakowano nas!

Sala pogrążyła się w chaosie - Gwen i wszyscy jej doradcy rzucili się do okien. Gwen trzymała na ręku dziecko. Kiedy otworzyli świeżo zamontowane witraże, dźwięk rogów wpadł do komnaty. Dało się słyszeć również zamieszanie na ulicach.

Godfrey dołączył do nich, a kiedy wszyscy spojrzeli w dal na ich twarzach odmalowało się przerażenie. Godfrey stał obok swojej siostry i widział jak armia McCloudów właśnie dociera do bram.

Panika i przerażenie opadły na zebranych, nawet na tych wszystkich twardych zazwyczaj żołnierzy. Gwen jednak pozostała spokojna. Stała się twardym przywódcą, Godfrey zdał sobie sprawę, że była twardsza nawet od tych wszystkich mężczyzn.

- Ewakuujcie się natychmiast! - rozkazała swoim ludziom Gwendolyn. - Róbcie co mówi mój brat. Wszyscy! Teraz!

Doradcy ruszyli do akcji, wybiegając z sali. Jedynie Steffen odmówił odejścia od jej boku. Podszedł i stanął obok niej.

Gwen stała trzymając Guwayne'a, a Steffen, oprócz Godfrey'a, był jedyną osobą, która pozostała z nią w komnacie.

- Musisz iść z nimi - powiedziała Gwen do Godfrey'a.

- A co z tobą? - zapytał Godfrey, zdumiony jej spokojem i odwagą.

Gwen pokręciła głową.

- Nic mi nie będzie - powiedziała.

Jednak Godfrey podejrzewał, że chciała po prostu być silna. Odwrócił się i Gwen go zainspirowała.

- Nie, - powiedział i coś się w nim zmieniło - nie mogę wyjść. Mężczyźni będą potrzebować pomocy podczas bronienia bram.

Gwen pokręciła głową.

- Umrzesz - powiedziała.

- W takim razie umrę - powiedział Godfrey i po raz

pierwszy się nie bał. Naprawdę się nie bał.

Gwen musiała wyczuć zmianę jaka w nim nastąpiła, ponieważ po raz pierwszy w życiu, patrzyła na niego inaczej.

Podniosła rękę i z aprobatą położyła mu dłoń na ramieniu, a następnie spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ojciec byłby dumny z tego co dzisiaj zrobiłeś - powiedziała.

Godfrey poczuł jak ogarnia go ciepło, czuł się doceniony i kochany. To był pierwszy raz kiedy ktoś z jego rodziny był zadowolony z tego co zrobił i zobaczył w nim coś więcej niż tylko pijaka.

Godfrey skinął głową, oczy mu się świeciły. Na koniec obdarował ją jeszcze długim, ostatnim spojrzeniem, mając nadzieję, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Obawiał się jednak, że nie.

- Dbaj o siebie, siostrzyczko.

Godfrey odwrócił się i wybiegł z sali, zdecydowany, biegł w dół schodów i przez zamkowe drzwi przybiegł wprost do wielkich bram miasta. Nie zatrzymał się nawet na chwilę, wskoczył na rusztowanie i zaczął pomagać kilkunastu żołnierzom je zamykać. Podszedł i

zaparł się barkiem. Jego obecność bardzo pomogła. Dzięki niemu skrzypiąca żelazna brama zamknęła się na dobre. Kiedy to się stało, Godfrey pomógł mężczyznom podnieść gruby metalowy pręt i umieścić go przed kratami.

Zrobili to w ostatniej chwili. Kilka sekund później, a armia McCloudów dopadłaby bram i natarła na nie. Zatrzymali się nagle, nie będąc w stanie przeprowadzić szturmu.

Godfrey ruszył za innym żołnierzem. Wspiął się na górny pokład fortecy i wraz z innymi chwycił za łuk. Podobnie jak pozostali, ukląkł i zajął swe miejsce na murach obronnych. Wymierzył i wypuścił swoją pierwszą strzałę. Czuł się naprawdę dobrze.

Będzie bronił tego miasta. Nie wygra, szczerze mówiąc wiedział, że dzisiaj zginie. Nie miało to jednak dłużej znaczenia. Jedyne co było dla niego ważne to to, że zachował się tego dnia niezwykle honorowo.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY**

Gwendolyn stała na najwyższych murach swojego zamku, z Guwaynem w ramionach. Płakała. Steffen stał u jej boku. Patrzyła w dal, na wschód. Serce rozdarło jej

się na pół, kiedy zobaczyła sięgające aż po horyzont szeregi czarnych chorągwi, dzierzonych przez żołnierzy McCloudów. Tysiące i tysiące z nich siedziało na koniach i zmierzało wprost do Królewskiego Dworu. Daleko za nimi, na horyzoncie widać było czarne chmury dymu unoszące się w powietrzu - prawdopodobnie płonąła wioska, którą właśnie plądrowali.

To było morze zniszczenia - i wszystko wymierzone prosto w nią.

Rogi rozbrzmiewały co chwila, z górnych i dolnych murów zamku. Ludzie Gwendolyn ewakuowali się z Królewskiego Dworu, tak jak ćwiczyła to z nimi przez wszystkie te miesiące. Ewakuacja przebiegała w sposób bardziej zorganizowany, niż mogła to sobie wyobrazić. Nie było się jednak czemu dziwić. Dokładnie to zaplanowała i przećwiczyła z ludźmi wiele razy. Kiedy patrzyła w dół, cieszyła się widząc, że Królewski Dwór był już praktycznie pusty. Wszyscy jej poddani wychodzili przez tylną bramę na nieskończoną przestrzeń, na której czekały na nich konie i wozy. Miały zabrać ich, jak planowała, w kierunku wybrzeża, w kierunku floty statków. Te zaś miały przewieźć ich daleko stąd, na Wyspy Górne. W bezpieczne miejsce.

Nagle usłyszała dźwięk McCloudów walących w jej

żelazne bramy. Uderzali wielokrotnie, a żelazna brama zaczynała się poddawać. Spojrzała w dół i zrozumiała, że McCloudowie zniszczą jej miasto, wszystko co z takim trudem odbudowała.

Nie zabiją jednak jej ludzi. Podczas gdy Gwen cierpiała z powodu tego, co stanie się z jej miastem, miała jednocześnie satysfakcję, wiedząc, że przynajmniej jej poddanym nie stanie się krzywda. McCloudowie mogli zdobyć miasto i wszystkie jego bogactwa, ale jej ludzie pozostaną przy życiu.

- Pani, nie mamy zbyt wiele czasu - powiedział Steffen stojąc obok niej.

Gwendolyn przyjrzała się niebu ze ściskiem w żołądku i marzyła, bardziej niż kiedykolwiek, aby był tu Thor. Aby był u jej boku. Mógłby przylecieć na Mycoples i uratować ich wszystkich.

Jednak jej przyszłego męża nie było tutaj od dawna. Znajdował się daleko stąd i nikt nie mógł wiedzieć, czy kiedykolwiek wróci.

Thor - *modliła się*. - Wróć do mnie. Potrzebuję cię.

Gwen zamknęła oczy i po cichu pragnęła, aby Thor powrócił. Pragnęła również, aby pojawił się Ralibar. Głęboko w środku czuła jednak, że tak się nie stanie.



Odejście Mycoples źle na niego wpłynęło - coś mu się stało. Gwen nie widziała go od tamtego czasu. Wydawało się jakby dopadło go coś w rodzaju depresji. Każdego ranka zwykł do niej przychodzić, a teraz w ogóle się nie pojawiał. Nie mogła przestać się zastanawiać, czy może nie porzucił jej na dobre.

Gwen otworzyła oczy, pełna nadziei - niebo jednak pozostało puste, wypełnione jedynie krzykami mężczyzn, którzy właśnie brali udział w bitwie. Nie było Thora. Ani Ralibara.

Była sama, kolejny raz. Wiedziała, że, jak zawsze, może polegać tylko na sobie i na nikim innym.

- Pani? - szturchnął ją Steffen odzywając się alarmującym głosem.

- Rozkazałam ci iść - powiedziała do niego.

Steffen pokręcił głową.

- Przepraszam pani, - powiedział - jednak jest to rozkaz, któremu muszę się sprzeciwić. Nie odejdę bez ciebie.

Guwayne wiercił się i płakał w jej ramionach. Gwen spojrzała na niego i poczuła całą miłość jaką tylko mogła czuć do swojego dziecka. Nie mogła znieść myśli o konieczności opuszczenia miasta - wiedziała

jednak, że nie pozostało wiele czasu, aby bezpiecznie go stąd wywieźć.

- To jest mój dom - powiedziała Gwen, przywiązana do tego miejsca. - Dom mojego ojca.

Gwen stała, oglądając to wszystko i wciąż nie umiała pogodzić się z myślą, że musi opuścić to miasto. Miejsce, w którym się urodziła. I to po tym wszystkim co zrobiła, aby je odbudować... Było teraz zdane na łaskę tych barbarzyńców.

- Nadszedł czas, aby znaleźć inny dom - powiedział Steffen.

Gwen ostatni raz spojrzała na niebo, mając nadzieję na jakikolwiek znak od Thora czy Ralibara. Spojrzała na drogi mając nadzieję, że ujrzy Srebrnych. Ale drogi również pozostawały puste. Wiedziała, że mogą nie nadejść. Wszyscy byli daleko stąd, na swojej pielgrzymce. McCloudowie doskonale to wszystko zaplanowali.

Gwen westchnęła głęboko i powoli odpuściła.

- Chodźmy - powiedziała.

Królowa odwróciła się i trzymając Guwayne'a, który teraz płakał, pospieszyła wraz ze Steffenem wzdłuż

murów obronnych, a następnie w dół, spiralnym korytarzem. Wkrótce dotarli na parter zamku i pobiegli na tyły, aby dołączyć do reszty ludzi, którzy udawali się w stronę tylnych bram Królewskiego Dworu, gdzie stały konie i wozy.

Kiedy Gwen i Steffen dotarli do tylnej bramy, ta ze wzruszeniem zobaczyła, że stoi przed nią kilkoro jej towarzyszy. Trzymali bramy otwarte, czekając na nią. Tak naprawdę wszyscy jej ludzie na nią czekali. Wszyscy siedzieli w wozach, nikt nie odjechał, dopóki się nie pojawiła.

Gwen była ostatnią osobą, która przeszła przez bramy. Kiedy to uczyniła, słudzy pociągnęli ciężkie żelazne wrota i zatrzasnęli je z hukiem. Trzask odbił się echem.

Gwen weszła z Guwaynem na czekający na nią powóz, ostatni powóz, który opuszczał Królewski Dwór. Woźnica pociągnął konia batem, a ona i wszyscy jej ludzie odjechali w galopie.

Gwen odwróciła się i spojrzała przez ramię w tył. Kiedy jechali, patrzyła jak Królewski Dwór znika jej z zasięgu wzroku. Dźwięk tych zamykających się bram, tego rozbrzmiewającego echem metalu, mocno siedział jej w głowie kiedy patrzyła jak miasto, które kochała, staje się coraz mniejsze i mniejsze. Wkrótce, wiedziała,

zamieni się ono w kupę gruzu i popiołu. Wszystko co kochała, zostanie niedługo zniszczone.

Jechali w stronę Wysp Górnych, w inne nieprzyjazne im miejsce. Nikt nie mógł wiedzieć co ich tam czeka.

Życie, tego natomiast mogła być pewna, już nigdy nie będzie takie samo.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI**

Romulus maszerował na czele swojej armii przez dymiące lasy Dżiczy. Słyszał za sobą dźwięk tysiąca par butów szeleszczących na liściach. Niebo nad nim wypełnione było skrzeczącymi smokami. A on sam triumfalnie się uśmiechał. Oto on, niezwyciężony. Przeprowadził się statkami przez ocean, prowadził swoją armię i smoki - był już prawie u celu, lada moment dotrze do Kanionu i będzie w stanie zniszczyć Tarczę. Nadszedł czas jego zemsty, jego całkowitej kontroli nad światem.

Podczas wędrówki smoki nurkowały w dół i zalewały Dżicz deszczem ognia. Zniszczyły w ten sposób wiele mil lasu, dziesiątkując stworzenia, które żyły po tej stronie Kanionu. Smoki wypłoszyły stworzenia z lasu i teraz ich wrzeszczące hordy ruszyły na Romulusa i jego

ludzi.

Romulus ruszył do przodu z wysoko uniesionym mieczem i strącał jeden łeb po drugim, a wszyscy jego ludzie do niego dołączyli. To była krwawa łaźnia - żołnierze niszczyli każde stworzenie, które stanęło na ich drodze. Byli niczym plaga szarańczy, zabijająca wszystko czego nie udało się unicestwić smokom. Ostatni raz Romulus bawił się tak dobrze, kiedy był jeszcze chłopcem.

Teraz maszerował w poczuciu zwycięstwa i triumfu. Przygotowywał się na najwspanialsze zwycięstwo w swoim życiu. Już za chwilę zniszczy Tarczę, najedzie na Krąg, zajmie Królewski Dwór i zamorduje Gwendolyn. Osiągnie coś, czego nie osiągnął żaden z jego poprzedników, nawet Andronicus: całkowitą władzę nad światem. Wcieli do niewoli i będzie torturował każdego w zasięgu wzroku.

Uśmiechnął się i odetchnął głęboko na samą myśl o tym. Czuł już niemal smak tego rozlewu krwi.

Czarnoksiężnik przepowiedział, że Romulus zniszczy Tarczę - jednak nie określił w jaki sposób. Romulus podejrzewał jedynie, że mając w mocy wszystkie te smoki, będzie w stanie staranować ją ich połączoną siłą. Zniszczy ją, a następnie przeprawi się nad przepaścią,

wprost na ziemię Kręgu. Ostatecznie, w jaki sposób siła Tarczy mogłaby się oprzeć wszystkim tym smokom?

Romulus wreszcie minął ostatni zakręt i wziął głęboki oddech, podziwiając widok, który nigdy mu się nie znudzi: oto przed nim znajdowała się ogromna przepaść, wznosiły się nad nią mgły, wabiąc go, aby się zbliżył. To było jego przeznaczenie.

Romulus podszedł na samą krawędź Kanionu, w miejscu gdzie znajdował się szeroki most łączący dwa światy. Kiedy tam dotarł, spojrział w niebo i czekał. Zamknął oczy i rozkazał swojej gromadzie smoków, aby skierowały się wprost na niewidzialną Tarczę.

Otworzył oczy i obserwował jak wszystkie przelatywały ponad nim, tuż nad otworem przepaści, serce waliło mu z podniecenia. Przygotował się na wielkie zniszczenie. Czekał na tę chwilę.

Jednak zamiast tego, Romulus ze zdziwieniem zobaczył, że wszystkie te smoki z trzaskiem docierają do Tarczy i odbijają się od niej. Smoki wrzasnęły z wściekłością, odwróciły się i odbiły się od niej ponownie. I jeszcze raz i jeszcze.

Nie mogły przedostać się przez Tarczę.

Romulus stał jak wryty, całkowicie rozczarowany.

Jakim cudem Tarcza mogła oprzeć się sile wszystkich tych smoków? Przecież miał wejść do Kręgu. Taka była przepowiednia. Co poszło nie tak?

Zżerała go frustracja. Wiedział, że istnieje jakiś inny sposób na zniszczenie Tarczy. Podszedł do przodu, chwycił jednego ze swoich mężczyzn i rzucił nim w niewidzialną Tarczę.

Mężczyzna leciał twarzą do przodu. Kiedy dotarł do powłoki, wrzasnął, a następnie stanął w płomieniach, lądując u ich stóp w postaci kupki popiołu.

Romulus zmartwił się. To niemożliwe. Co poszło nie tak? Czy został wywieziony na manowce? Czy będzie musiał zawrócić, upokorzony po raz kolejny? Nie umiał znieść tej myśli.

To nie miało żadnego sensu. Był Panem Smoków. Nie istniało nic na tej planecie -absolutnie nic - co byłoby w stanie go powstrzymać.

Romulus stał i patrzył w dal, część kontynentalna Kręgu wydawała się być tak odległa. Kiedy tak patrzył, wszystkie jego nadzieje i marzenia zaczynały się rozpyływać. Po raz pierwszy jego poczucie niezwyciężonej siły zostało podważone. Czego nie potrafił dostrzec?

Kiedy stał i czekał, w upokorzeniu zrozumiał, że musi odwrócić się i raz na zawsze porzucić wszelkie swoje plany. Aż nagle, coś zaczęło pojawiać się w oddali. Była to kobieta. Szła powoli, po drugiej stronie Kanionu. Postawiła stopę na moście.

Początkowo poruszała się asekuracyjnie - bardzo powoli stawiając kolejne kroki. Rozłożyła szeroko ramiona i z każdym krokiem zbliżała się coraz bardziej. Romulus ją rozpoznał.

Czy to możliwe? Czy może oczy płatają mu figle?

To nie miało żadnego sensu. Kobieta dobrowolnie przekraczała most idąc w stronę jego części Kręgu. Kobieta, którą rozpoznawał. Jedna jedyna kobieta, której potrzebował najbardziej na świecie:

**Luanda.**

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI**

Luanda stała przed szerokim mostem przewieszonym nad kanionem. Jej serce było zimne i zatwardziałe, ona zaś zamknięta na świat. Patrzyła na widok rozpościerający się przed nią. Po drugiej stronie Kanionu, na ziemiach Dzikich, znajdowały się tysiące



żołnierzy Imperium, dowodzonych przez Romulusa, który stał tam, mając nadzieję, że uda mu się przepawić przez most. Ponad nimi unosiło się wiele smoków, wrzeszczących, machających skrzydłami przed niewidzialną Tarczą, która nie pozwalała im się zbliżyć. Sam Romulus stał na końcu mostu z rękami na biodrach i obserwował to miejsce.

Luanda była gotowa, aby to wszystko zakończyć więc uczyniła krok, wchodząc na most. Sama, nie miała już bowiem po co żyć. Powiew wiatru uderzył ją w twarz. Był lodowaty, pomimo letniego dnia, doskonale pasował do jej nastroju. Teraz, kiedy Bronson nie żył, Luanda była zimna i zgorzkniała, a jej serce - martwe. Wiedziała, że nosi w sobie dziecko, ale w tej sytuacji był to tylko okrutny żart. Dziecko bez ojca, dziecko skazane przez los. Jakie inne okrutne żarty przygotowało dla niej jeszcze życie? A może dziecko również zostanie jej odebrane?

Wiedziała, że nadszedł czas, aby odejść z tego świata. Opuścić ten Krąg. Opuścić planetę.

Jednak zanim to zrobi, bardziej niż czegokolwiek innego, pragnęła dokonać zemsty na Gwendolyn. Czuła potrzebę zniszczenia Gwendolyn i MacGilów, jej wcześniejszej rodziny, Królewskiego Dworu i wszystkiego dobrego, co jeszcze pozostało w Kręgu.

Chciała, aby wszyscy pogrążyli się w bólu. Żeby przekonali się, co to znaczy cierpieć, czuć się tak jak ona. Chciała, aby dowiedzieli się jak to jest, być wyrzutkiem, być na wygnaniu.

Luanda, o tępiąca, uczyniła kolejny krok na moście. A potem kolejny.

Wiedziała, że Romulus chce, aby przeszła. Wiedziała, że stanowi dla niego rozwiązanie. Wiedziała, że kiedy przejdzie na drugą stronę mostu, Tarcza opadnie. I to było dokładnie to, czego chciała. To była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

Postawiła kolejny krok i kolejny. W połowie mostu zamknęła oczy i rozciągnęła szeroko ręce, trzymając dłonie daleko od siebie. Kontynuowała swój spacer z zamkniętymi oczyma, odchylając głowę w tył, twarzą do nieba.

Luanda pomyślała o swoim martwym ojcu i o martwej matce. I o martwym mężu. Pomyślała o wszystkich, których kiedyś kochała i o tym jak daleko od niej są oni teraz.

Czuła, że świat zapada jej się pod nogami, słyszała krzyki smoków, poczuła zimną wilgoć wirujących mgieł i wiedziała, że lada chwila przejdzie cały most.

Wprost w ramiona Romulusa. Z całą pewnością, zabije ją. Jednak nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Wszystko co liczyło się w chwili obecnej to to, że nie dotarła na czas, aby uratować męża.

Proszę Bronsonie - *modliła się*. - Wybacz mi.

Wybacz mi.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY**

Reece znajdował się w zamku na Wyspach Górnych i szedł powoli po długim czerwonym dywanie prowadzącym do ogromnego tronu, na którym siedział Tirus. W środku gotował się ze złości, ledwie potrafiąc uwierzyć, że się tutaj znajduje. Rozległa komnata wypełniona był setkami lojalnych poddanych Tirusa. Jego ludzie, pod bronią, ustawieni byli po obu stronach sali. Znajdowały się tutaj setki Wyspiarzy - wszyscy zgromadzili się w pomieszczeniu, aby być częścią tego wydarzenia. Aby być świadkami przeprosin Reece'a.

Reece szedł powoli, czując na sobie spojrzenie setek oczu, rozważnie stawiając każdy krok. Spojrzał do przodu i zobaczył, że Tirus patrzy na niego z góry, triumfalnie, napawając się chwilą. Napięcie w powietrzu

było tak ogromne, że można było powiesić siekierę. Przy każdym kroku Reece'a, jego ostrogi dzwoniły, był to jedyny dźwięk, jaki dało się słyszeć w pomieszczeniu, pogrążonym w absolutnej ciszy.

Gwendolyn wysłała Reece'a na tę upokarzającą misję, aby zaprowadzić pokój pomiędzy MacGilami, aby zjednoczyć się z Wyspami Górnymi i wypełnić w ten sposób jej wielki plan, cokolwiek miało to oznaczać. Kochał i szanował swoją siostrę najbardziej na świecie i wiedział, że było jej to potrzebne. Potrzebowała tego, dla dobra całego królestwa, dla Kręgu, dla jej wiernych poddanych, Sroga, który był ranny i którego Reece widział teraz spętanego u boku Tirusa. Jego i swojego kuzyna Matusa. Przeprosiny Reece'a uwolnią ich obu. Zapewni to rozejm pomiędzy królestwami. Pomoże Gwendolyn wypełnić jej większy plan i zjednoczy Wyspy Górne. Uwolni to pozostałą część floty, która wciąż przetrzymywana była pod bronią przy skałach poniżej - z tysiącami żeglarzy na pokładzie - otoczona ludźmi Tirusa. Reece wiedział co należy zrobić, niezależnie od tego, że duma podpowiadała mu co innego.

Z każdym swoim krokiem, Reece myślał o Selese. Myślał o zemście jakiej dokonał na Falusie. Sprawilo mu to satysfakcję. Jednak nigdy nie wróci mu to Selese. Nigdy nie zmieni tego, co ją spotkało. Dla Reece'a, to

był dopiero początek. Chciał pozabijać ich wszystkich. Każdego pojedynczego Wyspiarza, który znajdował się w tej sali. A najbardziej ze wszystkich - Tirusa. Tego samego człowieka, którego teraz był zmuszony przeprosić.

Reece podszedł bliżej i jeszcze bliżej. Tirus wciąż siedział na tronie. Reece wstąpił na prowadzące do tronu schody z kości słoniowej. Wchodził coraz wyżej, jeden po drugim schodzie zbliżał się do niego. Czuł jak wszyscy na niego patrzą - wszyscy aroganccy i próżni Wyspiarze rozkoszowali się tym historycznym momentem. Momentem, w którym prawdziwy i szczerzy wojownik będzie zmuszony uklęknąć i przeprosić zdradziecką, kłamliwą świnię.

Reece gotował się na myśl o tym, do jakich czynów zmusza ludzi polityka - do zdrady swoich obyczajów, do zdrady wyznawanej moralności. Zmusza ludzi do naginania swoich zasad i uczciwości, a wszystko to w imię większego dobra. Ale czy zasady i uczciwość same w sobie nie stanowią większego dobra? Czym byłby człowiek bez nich?

Reece rozumiał decyzje Gwen. Były to postanowienia mądrej i silnej władczyni. Jednak jeśli na tym miało polegać sprawowanie władzy, to Reece nie chciał mieć z tym zupełnie nic wspólnego. Woli być wojownikiem niż

władcą. Woli mieć ograniczoną władzę i żyć w zgodzie ze swoim poczuciem uczciwości, niż mieć największą władzę i musieć godzić się na kompromisy, dotyczące tego kim jest.

Reece zakończył wspinaczkę wchodząc na ostatni schód i stanął przed Tirusem. Patrzył na niego wyzywająco, a Tirus odwzajemnił spojrzenie.

Atmosfera w sali była tak ciężka, tak wyczuwalna w powietrzu, że Reece praktycznie odczuwał ją fizycznie na skórze.

- Odebrałeś mi jednego z synów, - powiedział Tirus chłodnym i twardym głosem -mordując go z zimną krwią.

- On odebrał mi moją żonę - równie ponuro odpowiedział Reece.

Tirus zmarszczył brwi.

- Ona nie była twoją żoną - stwierdził. - Przynajmniej póki co. I on jej nie zamordował. Sama się zabiła,

Reece skrzywił się.

- Odebrała sobie życie z powodu fałszywych raportów jakie złożył jej twój syn. To on ją zamordował.

- Nie posłużył się żadnym ostrzem - powiedział Tirus.

- Posłużył się wiadomością, - odrzekł Reece - która wyrządziła większą szkodę niż ostrze.

Tirus poczerwieniał, mając wyraźnie dość.

- Twój czyn zasługuje na śmierć - zakończył. - Jednak zdecydowałem się na akt łaski ze względu na Gwendolyn. Postanowiłem, że puszcze cię wolno. Jedyne co musisz zrobić, to przeprosić. Uklęknij więc i przeproś za to, że odebrałeś mojemu synowi życie.

Reece czuł jak targają nim sprzeczne emocje - wszystko w nim wrzeszczało, że to co robił było złe. Wszystko to było złe. Może prowadził w ten sposób dobrą politykę, jednak było to sprzeczne z jego rycerskim kodeksem honorowym. Syn Tirusa zasługiwał na śmierć. Sam Tirus również zasługuje na śmierć, ta świnią, która zdradziła Krąg, która dołączyła do Andronicusa i próbowała ich wszystkich zabić.

Jednak pomimo tego, że każda część jego ciała protestowała, Reece powoli, z bólem serca, zmusił się do tego, aby uklęknąć przed Tirusem.

Tirus uśmiechnął się, napawając się chwilą.

- Bardzo dobrze - powiedział. - A teraz, przeproś. I

wszystko naprawisz.

- Przepraszam. - zaczął Reece, a potem ucichł, jako że słowa utknęły mu w gardle.

- Za co? - zażądał odpowiedzi Tirus.

Reece czuł, że obezwładniają go emocje, pasje, że nie jest w stanie ich powstrzymać. Świat rozmył mu się przed oczami, a jego umysł wirował. Czuł się jakby całe życie, miało na celu doprowadzić go do tego właśnie momentu. Jakby całe jego przeznaczenie miało wypełnić się właśnie tutaj. Jakby była to chwila, w której mają się spotkać wszystkie ścieżki jego życia. W tym punkcie przecięcia tego co mądre z tym co *właściwe*.

Reece podniósł głowę i spojrzał Tirusowi prosto w oczy.

- Przepraszam. - kontynuował - że nie zbiłem cię razem z nim.

Kiedy wypowiadał te słowa, schylił się, wyciągnął zza pasa sztylet i rzucił się do przodu. Zanim Tirus, czy ktokolwiek inny, zdążył zareagować, Reece wbił go Tirusowi prosto w serce.

Ten wrzasnął okrutnie, a Reece pochylił się bliżej, krzywiąc się i wciąż trzymając za sztylet. Reece



doskonale wiedział, że właśnie podpisał swój wyrok śmierci. Wiedział, że był całkowicie otoczony i każdy w tej komnacie będzie chciał go zabić. Wiedział, że właśnie pogrzył Krąg w chaosie, w wojnie domowej, że niezliczone ilości ludzi spotkają się teraz ze śmiercią.

Nie obchodziło go to jednak. Zrobił to, co było *słuszne*. Jego ukochana Selese została pomszczona. Honor został odzyskany. Rycerskość była wciąż żywa. Niezależnie od tego co się stanie, będzie mógł umrzeć z honorem.

- Pozdrowienia od Selese - powiedział.